

Przełożył: Włodzimierz nowaczyk

Wydanie oryginalne: 1973

Wydanie polskie: 1995





Nie doszłoby do tego wypadku, gdyby nawierzchnia głównej autostrady przecinającej Jerhattan z północy na południe nie była mokra od deszczu i śliska od oleju wyciekłego z setek źle utrzymanych pojazdów. Henry Darrow wcale nie rozwinął nadmiernej prędkości przy wyprzedzaniu leciwego kabrioletu. To przeznaczenie wyznaczyło mu randkę i nie spóźnił się na nią.

Gdyby tego dnia nie padało lub gdyby, zgodnie z planem, zamknięto ten pas jezdni do wymiany asfaltu albo gdyby kabriolet utrzymywał choćby minimalną szybkość na lewym pasie, Henry nie wkurzyłby się na tyle, żeby zacząć manewr wyprzedzania, nie wpadłby w poślizg, nie uderzyłby w barierkę ochronną i nie uszkodziłby sobie czaszki tak, że odprysk kości uciskał oponę mózgową. Jeśliby wypadek zdarzył się choć o pół mili dalej na północ, Henry Darrow nie trafiłby do jedynej w tym rejonie szpitala wyposażonego w elektroencefalograf najnowszej generacji.

Wszystko zresztą odbyło się zgodnie z przewidywaniami. Dawno temu zapisał w swym astralnym notesie dokładną godzinę wypadku: 22:02:50. Pamiętał nawet, aby tego dnia nie wracać do Jerhattanu główną autostradą. Lecz nie przewidział drobnego opóźnienia na stacji benzynowej, przez które zmienił plan i zapominając na moment o przepowiedni, skierował się na zgubną trasę.

Ponieważ jednak ten wypadek miał być zwrotnym punktem nie tylko w jego życiu, ale i w życiu milionów ludzi, nie było siły, która pomogłaby mu go uniknąć. Chyba dlatego właśnie podświadomość w krytycznym momencie zablokowała mu pamięć.

Henry Darrow został ciężko ranny: oprócz skomplikowanego złamania lewej nogi, uznanego za mniej ważne, stwierdzono u niego uciskowe wgniecenie kości czaszki. Gdyby podczas operacji Henry zachował przytomność, mógłby pocieszyć operujących go lekarzy, że nie umrze im na stole. Chybaby mu nie uwierzyli. Trudno byłoby im pogodzić się z faktem, że Henry Darrow doskonale wiedział, iż

zejdzie z tego świata - z powodu zawału - za jakieś piętnaście lat, cztery miesiące i dziewięć dni.

Jednak nie był w stanie ich o tym poinformować ze względu na to, że odłamek kości czaszkowej uciskał mu ośrodek mowy w mózgu, a poza tym Henry na szczęście dla siebie był kompletnie nieświadomy otaczającego go świata. Zabieg na otwartym mózgu, może być przeżyciem, które trudno wymazać z pamięci.

Z technicznego punktu widzenia operacja się udała. Henry wylądował na łóżku na oddziale intensywnej opieki medycznej, podłączony do monitorów elektrokardiografu i encefalografu, które pozwalały śledzić działanie głównych systemów utrzymujących go przy życiu. Szpital ogólny Southside szczycił się najnowszym wyposażeniem, a w szczególności superczułym encefalografem, pieczołliwie zwanym „gęsie jajo”. Urządzenie to zaprojektowano dla potrzeb programu Apollo w latach siedemdziesiątych, aby skontrolować działanie tajemniczych „świateł”, na które okresowo narażeni byli astronauty, i żeby rejestrować wszelkie możliwe uszkodzenia tkanki mózgowej wywołane promieniowaniem kosmicznym. Później ten superczuły sprzęt zaczęto wykorzystywać w szpitalach do wykrywania zmian w mózгах noworodków wywołanych niedotlenieniem lub też, jak w przypadku Darrowa, do ustalania stopnia niedotlenienia mózgu w wyniku krwawień bądź ucisków po urazach czaszkowych.

W momencie kiedy Darrow odzyskał przytomność, dyżurną pielęgniarką na oddziale intensywnej opieki medycznej była, zgodnie z tym, co zarządziło Przeznaczenie, Molly Mahony - przeciętnej urody dziewczyna, która z humorem zносиła docinki koleżanek na temat swego całkowitego oddania się pielęgnacji chorych. Zawsze przydzielano jej najcięższe przypadki, gdyż posiadała dar wyprowadzania ich z kryzysu.

- Doktorze Scherman, czy nie zechciałby pan rzucić okiem na wydruk EEG pana Darrowa? - powiedziała na widok dyżurnego lekarza, mijającego jej stanowisko. - Linie alfa są wyjątkowo wyraźne jak na tak poważny wypadek, nie sądzi pan?

Scherman posłusznie spojrział na wykres, pokiwał głową i puścił do niej oko.

- Już się obudził? Dostawiał się do ciebie?

Molly, choć wiedziała, że się z niej nabija, nie dała się zbić z pantałyku i z powagą pokręciła przecząco głową. Scherman zawsze starał się z niej żartować.

- Doktorze Scherman, on jeszcze nie odzyskał przytomności. Mam natychmiast poinformować doktora Wahlmana, kiedy to się stanie. Ale może powinnam zawiadomić go o tym wykresie?

- Nie przejmuj się tym, Molly. Facet ma szczęście, że to jajco w ogóle coś wykrywa. Można by się spodziewać, że będzie mądrzejszy.

- Mądrzejszy? Pod jakim względem? Przywieziono go z wypadku.

- W ogóle nie powinien wyjeżdżać. Przecież to Henry Darrow, astrolog. Nieźle zdiera skórę z ludzi, którzy chcą poznać swoją przyszłość. - Scherman prychnął pogardliwie. - A sam nie był w stanie przewidzieć własnej.

Ledwie rzuciwszy okiem na monitory pozostałych pacjentów, Scherman wyszedł z dyżurki. Molly Mahony ze wzmożonym zainteresowaniem skupiła się na pacjencie z uszkodzonym mózgiem. Oczywiście słyszała wcześniej o Henrym Darrowie, choć niewielu osobom przyznałaby się do tego. Równie niewiele osób usłyszałoby od niej, że odkryła w sobie dar uzdrawiania. Jej babcia, mimo braku przygotowania medycznego, śmiało ingerowała w sprawy znajomych chorych, przykładając im swe „uzdrawiające dłonie”, jednak Molly ostrożnie podchodziła do swych możliwości.

Świadoma daru, który niewątpliwie posiadała, szczerze interesowała się wszelkimi zjawiskami przekraczającymi ludzkie pojęcie. Zgodnie z jej przekonaniem, astrologi byli ludźmi wykorzystującymi znaki zodiaku jedynie po to, aby skoncentrować swe zdolności przewidywania przyszłości na czymś bardziej naukowym niż wróżenie z fusów bądź kart. Dokładnie w ten sam sposób fachowe przygotowanie umożliwiło jej samej wykorzystywanie daru uzdrawiania przy użyciu metod uznanych za naukowe. Stąd dowiedziawszy się, kim jest powierzony jej pieczy pacjent, podeszła do niego na palcach niczym bezkrytyczna wielbicielka i wbiła wzrok w jego twarz, dziwiąc się, że wcześniej nie dostrzegła jej niezwykłych cech.

Nawet mimo nienormalnie rozluźnionych mięśni podtrzymujących szczękę, twarz chorego znamionowała silny charakter. Oczy były podkrążone i zapadłe, a skóra twarzy zabrudzona krwią, której nie zmyto przed operacją. Czują, że przyglądając mu się w takim stanie,

niechący ingeruje w jego prywatność. Delikatnie dotknęła policzka chorego wierzchem dłoni. Nie podobała się jej barwa ściągniętej skóry. Odsunęła nieco prześcieradło i gwałtownie uszczypnęła go w pierś. Dobrze, że w ogóle zareagował. Zaciągnęła z powrotem prześcieradło i poklepała go po policzku.

Kardiograf pulsował powoli, choć regularnie, wykazując jednak początki arteriosklerozy charakterystyczne dla każdego czterdziestodwulatka, który się w życiu nie oszczędzał.

Silnymi, szczupłymi palcami dotknęła skroni chorego, lekko je uciskając, starając się „wyczuć” miejsce prawdziwego uszkodzenia. Nie szukała wcale punktu, z którego chirurdzy usunęli odłamek kości, eliminując ucisk na tkankę mózgową, lecz miejsca urazu psychicznego, które przyjęło na siebie zasadniczy impet ciosu zadanego siłom witalnym, amortyzowało szok wywołany bliskością śmierci, ryzykiem operacji - naruszeniem integralności człowieka.

Czytając karty pacjentów, często widywała proste określenie „atak serca” lub bardziej skomplikowane medyczne terminy opisujące zatrzymanie akcji serca z różnych niejasnych i zaskakujących powodów. Nie znajdując lepszego wyjaśnienia, lekarze uznawali to za wynik szoku: „pacjent zmarł na skutek szoku”. Molly używała innego słowa: strach. Kiedy któryś z jej pacjentów uciekał z realnego świata w ten rodzaj lęku, Molly starała się ściągnąć go z powrotem, korzystając ze swego Talentu.

Reakcja Henry’ego Darrowa na jej leczniczy dotyk była inna niż zwykle i dość zagadkowa. Na elektrokardiogramie pojawiło się wyraźniejsze, silniejsze pulsowanie, a pisaki „jaja” rozszalały się na wszystkich czterech pasmach.

Powieki chorego zadrgały, otworzył oczy, a na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Co mnie tak, do diabła, urządziło? - spytał.

- Sam pan się tak urządził, panie Darrow - odpowiedziała. - Uderzył pan głową w słupek dachu, kiedy samochód wpadł na barierkę autostrady. Boli głowa?

- Jezu, strasznie! - jęknął i spróbował się podnieść.

- Niech pan tego nie robi. Ma pan silny wstrząs mózgu, rozbitą czaszkę i połamał pan lewą nogę.

W zielonych oczach Darrowa pojawiły się figlarne ogniki.

- Chyba nie powinna mi pani tego mówić, co?

Molly uśmiechnęła się.

- I tak pan wie. Powinien pan bardziej brać sobie do serca własne przepowiednie, panie Darrow.

Encefalograf stukał jak szalony. Podniosła się, żeby zobaczyć, co się dzieje, jednak powstrzymała ją ręka Darrowa. W jego szeroko otwartych oczach dostrzegła bezgraniczne zdumienie.

- Jesteś spod znaku Bliźniąt? Jak się nazywasz? Będiesz moją żoną.

Mimo wszelkich bzdur, które można znaleźć w romansach, miłość od pierwszego wejrzenia, zwłaszcza w szpitalnym otoczeniu, zdarza się stosunkowo rzadko. Jeszcze rzadziej zdarzają się przypadki potwierdzające dawno przeczuwane prawdy naukowe. Zapis z „gęsiego jaja” był niekwestionowanym dowodem na istnienie zdolności parapsychicznych. Patrząc na Molly Mahony jak na kobietę, a nie jedynie dyżurną pielęgniarkę, Henry Darrow przeżył doświadczenie prekognitywne, miał wizję i „wiedział”, że to ona będzie jego żoną.

I pobrali się naprawdę natychmiast po zdjęciu gipsu z połamanej nogi Darrowa. Zresztą małżeństwo nie było jedyną rzeczą dotyczącą Molly, którą Henry przewidział - znał również datę jej śmierci, do czego zresztą nigdy się nie przyznał. Dość prędko zrozumiał, że osoby obdarzone Talentem musiały szybko zapominać tego typu informacje na swój temat, jeżeli miały skutecznie działać na rzecz innych. Przez całe swe małżeństwo Molly była doceniana, kochana, a nawet hołubiona przez męża, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak niewielką częścią przeznaczonego jej czasu będzie mógł się nacieszyć.

Znaczenie niezwykłego działania encefalografu nie od razu dotarło do Henry’ego. Dlatego to właśnie Molly należy przypisać zasługę podniesienia funkcji parapsychicznych do rangi nauki.

Od pierwszej chwili niezwykła siła i wzór wykresów EEG Henry’ego zafascynowały Molly. Nie mogła przejść do porządku dziennego nad ich odmiennością. Trzeba przyznać, że w przeciwieństwie do doktora Schermana była skłonna zaliczyć umysłowość Henry’ego do szczególnej kategorii. W dodatku tylko ona wiedziała, że w momencie kiedy aparat najwyraźniej oszalał, Henry miał wizję ich przyszłego małżeństwa. Przy pierwszej

nadarzającej się sposobności przeprowadziła eksperyment. Kiedy zdarzyła się okazja wykorzystania własnych uzdrowicielskich zdolności, podłączyła się do elektroencefalografii. Także i jej wykres wykazywał podobne odchylenia, nie tak silne jak Henry'ego, ale równie istotne. Wykonała kilka encefalogramów w podobnych okolicznościach i skopiowała fragment zapisu Henry'ego, który wykazywał dziwne pobudzenie.

Trochę dziwiło ją to, że doktor Wahlman, lekarz prowadzący Henry'ego, nie zaprzestał badania go elektroencefalografem, kiedy ustąpiły już najgorsze objawy wstrząśnienia mózgu. Zastanawiała się, czy doktor był również zainteresowany nietypowym zapisem.

Zanim poczuła się na tyle pewnie, żeby zwrócić się do niego ze swymi wątpliwościami, Henry'emu przytrafiły się jeszcze dwa przypadki jasnowidzenia wychwycone przez aparat.

- Doktorze, dla mojej informacji, co pan sądzi o znaczeniu tej aktywności w EEG?

- No cóż - odezwał się Wahlman nieśmiało, sięgając po wykresy i przyglądając się im w taki sposób, że Molly bez trudu mogła się domyślić, iż nie ma pojęcia, co jej odpowiedzieć. - Prawdę mówiąc, siostró, sam nie wiem. Taki wzór obserwujemy zwykle tuż przed zgonem, a pan Darrow ma się świetnie.

Lekarz rzucił gniewne spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi pokoju Darrowa. Henry uparł się, że w szpitalu nie przestanie stawiać horoskopów swoim klientom, nawet przemycił tu komputer, zajmując się pracą umysłową, która najwyraźniej nie opóźniała jego powrotu do zdrowia, choć, zdaniem Wahlmana, nie była to działalność odpowiednia dla człowieka, który przeżył taki wypadek.

- A te? - Molly pokazała mu własne zapisy.

- Czyje to? Kogoś umierającego? Nie, to niemożliwe. Załamki alfa są zbyt intensywne. O co w tym wszystkim chodzi, Mahony?

- Nie jestem pewna, doktorze, ale wiem, że kiedy pan Darrow... pracuje najciężej, wówczas pojawia się taki wzór.

- Matko Boska, czyżby to cholerne „jajo” miało świra na punkcie astrologii?

Molly uśmiechnęła się i przeprosiła lekarza za zawracanie mu głowy.

- Pani Mahony, gdyby nie była pani naszą najlepszą pielęgniarką, poradziłbym pani, żeby się pani odchrzaniła. Ale jeżeli ma pani jakiś

pomysł, choćby najbardziej zwariowany, który mógłby pomóc to zrozumieć, to może dopuściłaby mnie pani do tajemnicy?

Uznała, że Henry pierwszy powinien poznać tę tajemnicę.

- Czy kiedy obudziłeś się po wypadku i spytałeś, czy jestem spod znaku Bliźniąt, a potem powiedziałeś, że się ze mną ożenisz, miałeś wizję?

- Ależ skąd, kotku! To było proste stwierdzenie faktu.

- Daj spokój, Henry. Odpowiedz. Miałeś wtedy wizję?

- Jasne. I to bardzo wyraźną. - Mimo że bandaże na głowie nie nadawały mu zbyt poważnego wyglądu, puścił jej dłoń, dostosowując się do jej poważnego tonu.

- A gdy była tu pani Rellahan, powiedziałeś, że wyraźnie zobaczyłeś... - Zauważyła, że nie spodobały mu się jej pytania. - Spójrz tylko na te wykresy. Widzisz, tu igła podskoczyła. Zobacz, jakie silne uchyłki i jak długo trwają... No, a tu...

- To nie jest mój zapis, prawda? Spore różnice.

- Nie. To mój. Coś takiego dzieje się zawsze, kiedy uzdrawiam.

Henry powoli podniósł wzrok na Molly. Na jego twarzy zaczął malować się nie skrywany podziw, który wynagrodził jej wszelkie starania i kłopoty.

- Molly, kotku mój najmilszy, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co wykryłaś?

W zasadzie świat odniósł się dość sceptycznie do tego odkrycia. Na szczęście Henry Darrow był uodporniony na takie reakcje. Wiedział, że tym razem jest w stanie udowodnić, iż niektórzy ludzie rzeczywiście posiadają zdolności parapsychiczne i mogą z nich korzystać zgodnie ze swoją wolą.

Zarówno osoby prywatne, jak i firmy, które od dawna miały nadzieję, że paranormalne zdolności zostaną kiedyś uznane przez oficjalną naukę, rozpoczęły zupełnie nowe kierunki badań.

- Zawsze czułem, że jestem o krok od jakiegoś przełomu - przyznał się Henry, kiedy wraz z Molly przygotowywali się gorączkowo do otwarcia pierwszego Centrum Parapsychologii. - Większość paranoików ma takie odczucia. Wszyscy ci Neronowie, Napoleonowie, Hitlerzy... Dlatego zebrałem zespół psychiatrów, którzy mieli mnie zbadać, czy czasem do nich nie należę. Zresztą, chyba nie jestem szczerzy, nawet względem siebie samego. Wiedziałaś,

że bałem się zbyt daleko sięgać w swoją przyszłość? Niedobrze byłoby znać wszystkie szczegóły własnej przyszłości. - Przez moment w zamyśleniu wpatrywał się w ścianę, potem jakby się ocknął i uśmiechnął. - Przez wiele lat aż do tej chwili byłem dyletantem. Teraz moi przeciwnicy mogą powiedzieć, że albo odzyskałem rozum na skutek wypadku, albo też straciłem tę resztkę, jaka mi jeszcze pozostała, jednak nikt nie zaprzeczy, że to wydarzenie było zwrotnym punktem w moim... w naszym przeznaczeniu.

- Niech diabli wezmą torpedy. Cała naprzód! - odpowiedziała Molly, wyciągając rękę w teatralnym geście.

- Niejedna torpeda w nas trafi - przytaknął ponuro Henry.

- Sądziłam, że nie wybiegasz zbyt daleko w przyszłość...

- Tylko jeśli chodzi o moje własne sprawy. Nie o to, co musimy zrobić. - Chwilę milczał. - To będzie niezła zabawa.

Molly dostrzegła rozbawienie w jego oczach - zapowiedź złośliwości.

- Dla kogo? - spytała.

- Dla nas - odpowiedział, przytulając ją mocno. - Dla nas wszystkich - dodał, mając na myśli wszystkie nowo zwerbowane Talenty. - Potrafimy z góry przewidzieć rezultat, ale połowa zabawy, a właściwie większa część przyjemności, to dążenie do niego. Ja zaś mam dokładnie tyle czasu, ile mi potrzeba.

Kiedy tylko przyszedł do siebie na tyle, by móc kłócić się z lekarzami (których Molly zapewniła, że nie uda mu się wyrwać spod jej opieki), pozwolono mu wrócić do pracy w pełnym wymiarze. Pracował już nie jako astrolog-dyletant, lecz jako menedżer, organizator, prokurent funduszy i główny werbownik personelu Centrum Parapsychologii.

- Mary-Molly, kochanie, wprowadzanie Utalentowanych do ogólnego układu musi odbywać się stopniowo. Pamiętaj, że nie chodzi tu o znalezienie dla nas miejsca w społeczeństwie; przecież z samego założenia jesteśmy nonkonformistami. - Palcami dotknął czoła tuż przy jasno-różowym śladzie po świeżo zagojonej ranie. - Zresztą społeczeństwo nigdy nie pozwoli się nam w pełni zintegrować z sobą. W porządku! - Strzelił w powietrzu palcami. - Utalentowani stworzą własne społeczeństwo, i tak ma być: jesteśmy ptakami. Nie, nie ptakami. Talent przypomina raczej skrzydlatego konia z

niepohamowanych wzlotów ludzkiej fantazji. To Pegaz może być naszym symbolem. A z grzbietu skrzydlatego konia niejedno da się zobaczyć...

- Jasne, z okna samolotu mniej widać. Gdzie umieścisz siodło? - Molly jak zwykle starała się być praktyczna.

Roześmiał się i przytulił ją mocno do siebie. Częste manifestowanie przez niego uczuć sprawiało Molly wiele radości. Sama przecież uzdrawiała przez dotyk.

- Nie mam pojęcia. Mój Boże, jak można osiodłać skrzydlatego konia?

- Może sercem?

- Bez wątpienia! - Był wyraźnie zadowolony. - Tak, sercem i rozumem, ponieważ Pegaz jest zbyt potężny, aby można go opanować zwykłymi sposobami.

- Nie ma żadnej metody, żeby opanować Pegaza - stwierdziła Molly. Nikt nie odważyłby się nawet spróbować, gdy lata tak wysoko... - Wtuliła się w ramiona Henry'ego, jakby nagle przestraszona analogią.

- Tak, kochanie. Nie można zsiąść ze skrzydlatego konia. Nie można też stłumić Talentu, którym zostało się obdarowanym. Tylko upływ czasu i praktyka pozwalają nauczyć się nad nim panować.

- Ten nowy encefalograf spowodował naprawdę istotny przełom. Teraz jesteśmy w stanie udowodnić, że zdolności parapsychiczne rzeczywiście istnieją. Możemy odciąć się od szarlatanów i kłownów, którzy wyrobili nam złą opinię. Centrum będzie wyławiać prawdziwe Talenty. Będziemy dysponować zapisami świadczącymi, że ludzie ci mieli udokumentowane wizje. Centrum będzie kierować ich do pracy, w której wykorzystają swe zdolności. Już pobieżny przegląd tych, którzy się do nas zgłosili, pozwala mi myśleć o setkach ważnych stanowisk dla nich.

- Nawet dla Tittera Beyleya i dla Charity McGillicuddy? - W oczach Molly pojawiły się iskierki rozbawienia, ponieważ oboje wiedzieli, że Titter był stale pijany, a Charity oddawała się najstarszej profesji świata.

- Złodziej najlepiej potrafi złapać drugiego, a Titter przez całe lata kradł, żeby zaspokoić swoje potrzeby. Pamiętaj też, że złote serce Charity bije w piersi prawdziwej telepatki.

- Rozmiar numer pięć.

- Molly!

- Mów dalej o naszej przyszłości.

- Chcę, żeby Watson Claire był naszym rzecznikiem, bo jestem absolutnie przekonany, że potrafi czytać w ludzkich myślach. Świetnie radzi sobie z dotychczasowymi klientami. Potrafi genialnie przeprowadzić naszą kampanię. Claire jest facetem, którego musimy zatrudnić zarówno dla naszego, jak i jego własnego dobra. Dla naszego, bo musimy się uporać z największą akcją reklamową wszechczasów, a opinia publiczna może nas albo zniszczyć, albo postawić na nogi. Dla jego dobra, ponieważ nie jest szczęśliwy, wciskając klientom produkty, których sam nie cierpi.

Molly pokiwała głową, całkowicie się z nim zgadzając.

- Uruchomimy intensywny program informacyjny, a to pomoże nam znaleźć współpracowników. Potem będziemy musieli rozpocząć działania ratunkowe dla ukrytych Talentów, szczególnie dla biedaków zamkniętych w domach wariatów, ponieważ słyszeli głosy, co zresztą było prawdą... lub wyobrażali sobie niestworzone rzeczy, co im wmówiono. Albo też do tego stopnia współodczuwali otaczający ich świat, że woleli uciec od rzeczywistości. Musimy wypracować najlepsze sposoby szkolenia takich Talentów, kiedy tylko przejdą naszą weryfikację. Następnie będziemy musieli znaleźć sobie odpowiednie miejsce do zamieszkania...

- Miejsce do zamieszkania? Przecież to mieszkanie jest...

- Dobrze dla nas dwojga, i to na razie. Ale dla wszystkich? Nie, nie martw się, Molly, moja droga. Dobrze wiem, dokąd zmierzamy.

Przez chwilę Molly przyglądała mu się uważnie.

- Nie wiesz przecież dokładnie, jak tam dojść, prawda?

Henry roześmiał się i pokiwał głową.

- Niezłe wyzwanie, co?

- A dalsze plany? Chciałabym poznać najgorsze.

Henry śmiał się jeszcze przez chwilę, aby zyskać czas na zastanowienie.

- Potem czeka nas jedno z trudniejszych zadań...

Molly szerzej otworzyła oczy.

- Przedstawiłeś mi dotąd plan pracy, na którą ledwie starczy jednego życia, a teraz mówisz o jednym z trudniejszych zadań.

- Trzeba będzie wypracować immunitet dla Talentów, abyśmy nie byli ciągnieni po sądach, kiedy powiemy, że coś się wydarzy, a to

dojdzie do skutku właśnie dlatego, że przed tym przestrzegaliśmy. Na pewno uda nam się to osiągnąć. Prędzej czy później. Ale lepiej, żeby to się stało jak najwcześniej i nie blokowało pieniędzy wydanych na sądy. Jednak to już nie mój kłopot.

- Nie?

- Nie będę żył wiecznie, kochanie.

Przywarła do niego, lecz jego uścisk trwał tylko chwilę.

- Będę żył wystarczająco długo, kochana Mary-Molly, i ty też. - Odsunął ją od siebie, nie chcąc, aby pożądanie przeszkadzało mu w spełnieniu obowiązku wobec Przeznaczenia.

- Proszę panów o uwagę. Mężczyzna podłączony do elektroencefalografii nowej generacji, potocznie znanego jako „gęsie jajo”, jest obdarzony Talentem telekinetycznym. Oznacza to, panowie, że potrafi on przenosić obiekty, nie korzystając z niczego oprócz siły swego umysłu. Ralph, czy mógłbyś przystąpić do demonstracji?

Ralph, znany jako Szczur Wilson, nie wyglądał zbyt okazale. Był przeraźliwie chudy, rzeczywiście miał coś szczurzego w twarzy i stale otwarte usta z powodu zaniedbanych w dzieciństwie migdałków. Jednak w jego dość dużych, szarych oczach migotały iskierki rozbawienia i zainteresowania. To, co miał teraz publicznie zaprezentować, doskonalił latami w instytucjach penitencjarnych, bezskutecznie starających się ukształtować go zgodnie z wymaganiami społeczeństwa.

Usiadł pod siecią przewodów elektrod encefalografu, którego wydruk przechwytywała kamera telewizyjna przekazująca zapis na wielki ekran na ścianie. Czterdziestu siedmiu naukowców i biznesmenów zgromadziło się w pomieszczeniu, w którego centrum stał stolik zagracony wieloma przedmiotami: były na nim młotek, gwoździe i kawałek deski, taca z dzbankiem kawy, filiżankami, śmietanką i cukrem, gitara i para treningowych rękawic bokserskich.

Henry Darrow przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, jak najdalej od Ralpa i stolika.

Zapadła cisza. Widownia usiłowała nie tracić z oczu Ralpa, stołu ani Henry'ego. Nagle filiżanka zadrżała, uniosła się w powietrze, osiadła na podstawku i podsunęła się pod dziobek dzbanka, który niemal równocześnie pochylił się, aby napełnić ją kawą. Łyżeczka, jakby zdziwiona, wskoczyła na podstawek.

- Kto woli czarną? - spytał Ralph, kiedy spodek z filiżanką sunął w stronę najbliższych widzów.

- Ja - zareagował jeden z najbardziej opanowanych biznesmenów, podnosząc rękę.

- No to łap ją, chłopie - powiedział Ralph. - Złapałeś?

- Hej!

Mężczyzna zdołał uchwycić krawędź podstawki, ale kiedy Ralph uwolnił przedmiot spod swojej mocy, uchwyt okazał się zbyt niezdecydowany i czarna kawa wylała się na podstawek.

Rozległy się przytłumione śmiechy, przerwane przez stuk młotka wbijającego gwóźdź w deskę.

- Następna kawa będzie ze śmietanką. Dla kogo? Druga filiżanka dotarła do adresata dokładnie w czasie, kiedy młotek zręcznie wbił gwóźdź w drewno. Jednocześnie rękawice ożyły i zaczęły ustawiać filiżanki na podstawkach, a gitara zagrała rzewną balladę.

Kiedy filiżanki fruwały po pokoju, docierając bezpiecznie do odbiorców, młotek stukał w rytm ballady, a zręczność ruchów rękawic zapierała dech w piersiach, Henry wrócił na scenę, chwycił wskaźnik i podszedł do ekranu.

- Jeśli tylko oderwiecie się od latających spodków, zobaczycie, że kiedy Ralph wykorzystuje swój Talent, jego fale alfa zmieniają się znacznie, o tu, i w tym miejscu. Pulsowanie fal beta jest szybsze i głębsze. Proszę zauważyć różnicę między zapisem obecnym, a tym sprzed rozpoczęcia przez Ralpa pokazu. Widać też istotny wzrost, w miarę jak w coraz większym stopniu wykorzystywał swe parapsychologiczne zdolności. Czy ktoś powątpiewa w autentyczność tej demonstracji? Czy jesteście państwo gotowi uznać ten zapis za wiarygodny i przedstawiający nadzwyczajne możliwości Ralpa?

- Niech pan go powstrzyma!

Henry dał znak Ralphowi i filiżanki z kawą upadły na podłogę. Młotek podskoczył ostatni raz i opadł na blat stolika. Rękawice zamarły przy akompaniamencie gasnącego akordu gitary.

- Na miłość Boską... - Mężczyzna, na którym wylądowała jedna z filiżanek, skoczył na równe nogi, ścierając gorący płyn z przemoczonych spodni. Filiżanka natychmiast wyprostowała się i wypełniła dopiero co wylaną kawą.

- Przepraszam za to, chłopie, ale ktoś kazał mi przerwać.

Nagły powrót działania energii parapsychicznej został natychmiast odnotowany na wykresie, podobnie jak niezbyt absorbujące naprawianie wyrządzonych szkód.

- Hej, moje spodnie są już suche!

- Czy macie państwo jeszcze jakieś pytania? - spytał Henry, puszczając oko w stronę uśmiechniętego Ralpha.

- Tak - odezwał się potężnie zbudowany mężczyzna z tylnego rzędu. - Automaty do kawy bez trudu radzą sobie z taką obsługą, a każdy idiota potrafi wbić gwóźdź. Rękawice bokserskie mogą być pod pewnymi warunkami wykorzystywane do najdelikatniejszych operacji, a długim włosom można grać na gitarze, choć, przyznaję, trudno robić to wszystko jednocześnie. Chciałbym jednak spytać, jak można kogoś takiego jak Ralph przyjąć do pracy? Pragnę tu nadmienić, że znam jego przeszłość.

- Można by powiedzieć - stwierdził Henry z uśmiechem - że Ralph jest prawdziwym wytworem swojej przeszłości, że poprawczaki i więzienie przyczyniły się do rozwoju jego Talentu. Społeczeństwo nie było przygotowane na przyjęcie go w swoje szeregi. My jesteśmy. Zademonstrowaliśmy tutaj, że Ralph jest w stanie wykonywać jednocześnie kilka czynności, które, każda z osobna, są dość złożone, jak na przykład przygotowanie kawy i przesłanie jej do właściwych osób. Inne wymagały od niego pewnej siły i precyzji. Jednak wszystkie te jego zdolności mają ograniczenia. Próbowaliśmy, jak poradzi sobie z identycznymi zadaniami z odległości pół mili, ale okazało się, że nie potrafi być równie silny i dokładny. Ralph nie jest supermenem. Chciałbym, abyście państwo właśnie to zapamiętali. Posiada on pewien Talent, który jednak podlega ograniczeniom. Dla kogoś takiego jak pan, panie Gregory, Ralph byłby niezastąpiony, jeśli chodzi o precyzyjny montaż elementów w warunkach próżni, promieniowania lub pełnej sterylności. Wcale nie chcę twierdzić, że Ralph jest w pełni odmienionym człowiekiem. - Henry znów uśmiechnął się do Ralpha. - Ale teraz jest w stanie legalnie nabywać rzeczy, które przedtem zdarzało mu się kraść. Obecnie podlega ścisłej kontroli telepaty o dużych możliwościach, z czego w pełni zdaje sobie sprawę. Jak dotąd nowe zajęcie jest dla niego fascynujące.

- Jasne, chłopie. - Ralph kłaniający się widowni nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że naprawdę bawi go wprowadzanie w osłupienie tyłu wysoko postawionych osób.

- Jeśli nie można ich wyleczyć, trzeba ich zatrudnić - dodał Henry.

- Czy chce pan w ten sposób zasugerować, panie Darrow, że połowa pensjonariuszy więzień i szpitali dla umysłowo chorych to pańscy nie do końca rozumiani Utalentowani sprzymierzeńcy?

- Ależ skąd. Przyznaję, że badamy wiele tak zwanych nie przystosowanych osób, żeby przekonać się, czy źródłem ich kłopotów nie są czasem zdolności paranormalne. Jednak w najmniejszym stopniu nie oznacza to, że wszyscy Utalentowani wywodzą się właśnie z takich instytucji.

Talent, moi panowie, może obejmować coś tak prostego, jak bycie tak zwanym urodzonym mechanikiem. Wszyscy chyba znamy facetów, którzy wsłuchując się w pracę silnika, potrafią określić, co w nim nie działa jak należy. Słyszeliśmy też o hydraulikach, którzy bez wahania wskazują miejsce w rurach, gdzie coś zablokowało przepływ wody. Znamy speców od pożarów, którzy „wiedzą”, kiedy one wybuchną na tyle dokładnie, że często bywają oskarżani o podłożenie ognia; znamy kobiety, których dłonie potrafią obniżyć gorączkę bądź złagodzić ból; pracowników, którzy instynktownie odgadują życzenia przełożonych; osoby, które bezbłędnie odnajdują zagubione przedmioty. Wszystko to są znaczące dowody na istnienie zdolności parapsychicznych. Takich właśnie ludzi chcemy zgromadzić w naszych centrach, nie tylko telepatów czy jasnowidzów. Utalentowani rzadko kiedy są supermenami. Są to po prostu ludzie odbierający na innych falach niż większość. Zatrudniajcie ich u siebie zgodnie z ich możliwościami i wykorzystujcie ich talenty dla własnych potrzeb.

- Czego, oczywiście oprócz pieniędzy, oczekuje pan od nas?

- Pan doktor Abbey, nieprawdaż? Od pana i pańskich kolegów z całego świata oczekuję publicznego oświadczenia, że Utalentowani opuścili salony historycznych kobiet i przeszli do laboratorium. Mamy naukowe dowody potwierdzające, że zdolności parapsychiczne rzeczywiście istnieją i mogą być dowolnie wykorzystywane z możliwymi do przewidzenia skutkami. Nauka, panowie, z samej swej definicji jest zdolnością przewidywania rezultatów ścisłego przestrzegania ustalonych przez nią zasad. W wypadku Ralpha taką zasadą jest przemieszczanie się przedmiotów bez, żadnych sztuczek.

- Mógłbym jeszcze pogodzić się z teleportacją, Darrow - odpowiedział doktor Abbey z nieco zbyt dużą pewnością siebie - lecz

niech mi pan da przykład naukowych podstaw przewidywania przyszłości.

- Wiedziałem, że pan o to poprosi, doktorze. Mogę panu tylko powiedzieć, że wkrótce otrzyma pan pozytywne odpowiedzi na pańskie pytanie dotyczące... - Henry podniósł rękę, żeby powstrzymać krzyk Abbeya - ...nie zapominam o dyskrecji, doktorze... problemu, który bada pan wspólnie z doktorami Schwartzem, Vosoginem i Clasmirem. Myślę, doktorze Abbey, że to, co powiedziałem, jest wystarczająco przewidywalne, naukowe i dokładne, żeby pana przekonać, ponieważ pańska korespondencja z tymi osobami jest najściślej strzeżonym sekretem. Nieprawdaż?

Sądząc po zdumionym wyrazie twarzy doktora, który bezwiednie opadł na fotel, Darrow domyślił się, że trafił celnie i Abbey pozbył się swych wątpliwości.

- No cóż - Henry zwrócił się znów do całej widowni - wszyscy tu obecni państwo macie problemy, które, jak sądzę, niektórzy nasi Utalentowani potrafią rozwiązać. Czym mogę państwu służyć?

- Dlaczego po czternastu latach mieszkania tu i dziewięciu podwyżkach czynszu, przeciw którym, nawiasem mówiąc, nie protestowałem, nie chcesz mi przedłużyć umowy?

- Panie Darrow, proszę mnie zrozumieć: powiedziano mi, że pańska umowa nie podlega prolongacie i tyle tylko kazano mi przekazać.

- Skąd się nagle wzięło to „panie Darrow”, Frank? Posłuchaj, przez czternaście lat ani razu nie spóźniłem się z zapłatą. Nie robiłem żadnych niedozwolonych zmian, więc dlaczego ni stąd, ni zowąd nie mogę przedłużyć umowy? - Henry doskonale wiedział, w czym rzecz, przewidział tę sytuację, ale, jak wszyscy, lubił stawiać bliźnich w niezręcznych sytuacjach. Zwłaszcza kiedy mogło to pomóc im w zrozumieniu potęgi Talentu.

Frank Hummel miał strasznie nieszczęśliwą minę.

- Śmiało, Frank. Przecież wiesz. Chyba nie próbujesz mi wmówić, że nie wiesz?

Frank spojrział na niego z desperacją.

- Daruj sobie, Hank. Przecież i tak wiesz. Cholernie dobrze wiesz, że lokatorzy boją się ciebie i twojego czytania w ich myślach.

Henry roześmiał się.

- Co, nikt nie ma czystego sumienia? Mój Boże, Frank, czy oni naprawdę myślą, że cokolwiek mnie obchodzą ich małe grzeszki i intrygi? - Kiedy spostrzegł, że uraził Franka, pożałował, że jest jasnowidzem, a nie telepatą. - Frank, przecież teraz wcale nie „widzę” więcej niż, wówczas, gdy potrzebowałem astrologii, żeby uaktywnić swój Talent. Nikt się mnie nie bał, kiedy czytałem z gwiazd, kiedy wszyscy uważali mnie za domowego cudaka.

Frank zamrugnął oczami na dźwięk tych słów, ponieważ sam często tak nazywał swojego klienta.

- Nie potrafię czytać w ludzkich myślach - ciągnął dalej Henry - i nie rozumiem, co się tu dzieje. Mój Talent nie jest dla jednostek, ma służyć przewidywaniu przyszłości całych społeczeństw. Mogę wprawdzie zobaczyć przyszłość jednostek, ale tych ważnych, mających wpływ na losy milionów, nie zaś to, czy pani Walters z mieszkania 4-C oczekuje dziecka. Chyba że mógłbym postawić jej indywidualny horoskop, ale ona zbyt boi się swojego męża, aby przyjść z tym do mnie. - Henry westchnął, uświadomiwszy sobie, że pośrednik znów mógł opacznie pojąć jego słowa. - Przecież wszyscy w kamienicy wiedzą, co o mnie myśli pan Walters i jak bardzo boi się go własna żona. Żeby tego się domyślić, nie potrzeba żadnego specjalnego talentu. Nie trzeba też być jasnowidzem, by wiedzieć, iż to właśnie Walters naciska na właścicieli, żeby mnie wyrzucili.

- Wcale nie jest pan wyrzucany, panie Darrow.

- Czyżby?

- Nie! Po prostu pańska umowa nie podlega prolongacie.

- Ile mam czasu na znalezienie nowego mieszkania? Wiesz, jak trudno coś znaleźć w Jerhattanie.

Frank usilnie starał się nie patrzeć Henry'emu w twarz.

- Frank... Frank? Spójrz na mnie. - Pośrednik z wahaniem spełnił tę prośbę. - Słuchaj, przecież znamy się od czternastu lat. Dlaczego nagle zacząłeś się mnie bać?

Henry oczywiście znał odpowiedź, ale chciał, żeby Frank przyznał się do tego przed samym sobą. Jeden człowiek, jeden Frank Hummel nie był w stanie przesądzić o wyniku walki, jaką Utalentowani prowadzili, by zyskać akceptację; jednak teraz przekonany, jutro może przekonać paru innych. Każdy sprzymierzeniec był ważny; trzeba uszanować przeciwników, aby zyskać sojuszników.

- Chodzi o to, że... A do diabła, nie jest pan już domowym cudakiem, panie Darrow. Naprawdę jest pan jasnowidzem. - Obawa malująca się na twarzy Franka Hummela była również prawdziwa.

- Dziękuję ci, Frank. Wiem, że to dla ciebie niełatwe, a ja jeszcze ci to utrudnię, lecz chciałbym, żebyś pamiętał te czternaście lat miłej znajomości. Wiedziałem, że przyjdiesz dziś do mnie. Wiedziałem o tym już cztery miesiące temu, kiedy na naszych drzwiach pojawiły się te napisy i kiedy na niby usiłowano się do nas włamać. Wynająłem już nowe mieszkanie. Jutro się wyprowadzamy.

Frank zdawał się z początku nie pojmować znaczenia wypowiedzianych słów.

- Chcesz mi powiedzieć, że wiedziałeś? Od czterech miesięcy? Ależ dopiero wczoraj dostałem dyspozycje, a sam przecież mówiłeś przed chwilą, że nie widzisz przyszłości jednostek.

- Nie okłamałem cię, Frank. Chyba nie ma nic dziwnego w tym, że chcę poznać wydarzenia, które wpłyną na moje życie, na życie domowego dziwaka, jakim dotąd byłem. Nieprawdaż?

Hummel zaczął zbierać się do wyjścia, jakby coraz mniej przekonany. Henry znów pożałował, że nie jest telepatą lub że nie posiada chociażby zdolności empatycznych, przez co znałby myśli kłębiące się w głowie pośrednika i mógłby dać im należyty odpór.

- Ostatnie słowo, Frank - powiedział. - W przyszłym miesiącu, osiemnastego, w czwartej gonitwie w Belmont postaw wszystko, co masz, na komu imieniem Mibimi. Zrób to tuż przed zamknięciem kasy. Mogę cię o to prosić? A potem, kiedy Mibimi wygra, pamiętaj, że talent może być pożyteczny.

Frank wycofał się do windy, a Henry zastanawiał się, czy skołowany facet skorzysta z jego rady. Nie dawał podobnych wskazówek zbyt często, ale czego się nie robi dla przyjaciół, żeby scementować przyjaźń.

Henry zamknął drzwi. Scena, jaka rozegrała się przed chwilą w jego pokoju nie była niczym nadzwyczajnym. Podobne przeżywały niemal wszystkie osoby o uznanym Talencie. Był to jeden z wielu paradoksów, z którymi mieli do czynienia od chwili, kiedy Talent stał się godny szacunku. Po zdjęciu odium szarlatanerii i zarejestrowaniu się w Centrum Utalentowani mogli domagać się najwyższych stawek za świadczone usługi, ale jednocześnie stali się rodzajem „pariasów”. Stwierdzili, że znaleźli się w kategorii niedotykalnych, nie chcianych,

budzących lęk. Wszystko to przez zwykłe nieporozumienie i stare przesady.

Watson Claire rozwijał szeroką, nieszkową kampanię informacyjną, rozrastającą się dzięki kontaktom, jakie miał wśród wiecznie głodnych informacji dziennikarzy. Rozsądnie dawkowany szantaż trzymał w ryzach tych, którzy wszędzie wietrzyli jedynie sensację. Jednak, jak twierdził Claire (a Henry doskonale to rozumiał), trzeba czasu, zanim prawdziwe informacje dotrą tam, gdzie aktualnie były najbardziej potrzebne - do osiedli mieszkaniowych, z których nagminnie wyrzucano wszystkich podejrzanych o to, że są Utalentowani.

No cóż, olbrzymi magazyn wynajęty w dzielnicy portowej będzie musiał wystarczyć, dopóki Henry nie znajdzie sposobu na podejście George'a Hennera. Ten finansowy czarodziej miał rachunki do spłacenia, a Henry'emu udało się ostatnio wykryć coś naprawdę zabawnego. Ciekawe, jak Henner na to zareaguje.

Podniósł słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do magazynu. Roboty budowlane zakończono tydzień temu i pozostało jedynie wyposażenie mieszkań. Może powinien był skorzystać z telekinetyki przy przeprowadzce? Nie, mimo wszystko nie zrobiłoby to najlepszego wrażenia. Nawet Utalentowani powinni niektóre prace wykonywać tradycyjnymi metodami.

- Komisarzu Mailer, nazywam się Henry Darrow. Oto moja żona, Molly, to Barbara Holland, która potrafi odnajdywać różne zguby, a za nią Jerry taszczyący encefalograf. Czy to jest pańska lista osób najbardziej poszukiwanych?

- Co to ma znaczyć? - Komisarz, zajmujący się przestrzeganiem prawa i porządku, w oburzeniu wstał zza swego pustego biurka. - Byłem umówiony z Jamesem Marshalllem, a nie z panem, Darrow.

- Wiem. Jim zrobił to dla nas, ponieważ odmówił pan spotkania z...

- Bandą pajaców z wodewilu!

- Cóż, skoro już tu jesteśmy, zechce pan wysłuchać...

- W żadnym wypadku! - Komisarz bezskutecznie dusił przycisk w blacie biurka i zaklął, kiedy nie zapaliła się kontrolka.

- To nie działa, komisarzu Mailer - odezwał się Henry. - Zapomniałem panu powiedzieć, że Jerry zajmuje się telekinetyką i za każdym razem, kiedy pan przyciska guzik, on go wyłącza.

Przepraszam. Dopóki pan nas nie wysłucha, nie będzie pan miał kontaktu ze światem. Barbaro, proszę cię. Oto lista. Usiądź tutaj. Gotowa, Molly?

Wrzaski komisarza nie dały żadnego efektu, ponieważ biuro było wygłuszone. Mailer cały czas zmagał się z telefonem, nie mogąc uwierzyć, że nie działa tylko dlatego, iż jakiś podejrzany typ nie odrywał od niego oczu. Nawet nie zauważył, kiedy Molly spokojnie założyła siatkę elektrod na głowę Barbary, przykleiła je do wygolonych punktów na czaszce dziewczyny i skinęła głową w stronę Henry'ego.

- Zakładam, że lista ułożona jest według preferencji, prawda? - spytał Henry.

Siedział na biurku komisarza, nie zwracając uwagi na jego wściekłe okrzyki.

- Preferencji? O czym, do diabłu, pan mówi, Darrow? Niech pan zabiera stąd cały ten cyrk. Chodzi o przestrzeganie prawa i porządku...

- ...czego nie jest pan w stanie zapewnić przy ostatnich ograniczeniach, które narzucił pan swoim ludziom - przerwał mu Henry tak stanowczym tonem, że komisarz przestał się pienieć i spojrzał na niego zdumiony. Niewiele osób ośmieliłoby się odezwać do Mailera w podobny sposób. - I dlatego właśnie jestem tu, żeby panu pomóc, tak jak nikt inny nie jest w stanie tego zrobić Teraz, niech pan usiądzie, zamknie się i słucha. Kogo mamy panu najpierw odszukać?

- Odszukać?

- Odszukać!

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Widocznie w spojrzeniu Henry'ego było coś szczególnego, bo nagle komisarz ustąpił.

- No dobrze - powiedział ze zwykłą stanowczością. - Znajdźcie mi faceta, którego nazywają Joe Blow.

- Tego od narkotyków?

- Tego samego.

Henry wyciągnął z pliku drugą kartę IBM i podał ją Barbarze Holland.

- Wystarczy, Babs?

Dziewczyna przyglądała się szkicowi wykonanemu przez policyjnego rysownika na podstawie ustnych opisów ofiar nieuchwytnego Joego Blowa. Czytała zapiski na temat miejsc, w

których bywał najczęściej oraz na temat jego ogólnego modus operandi. Po chwili spojrzała na Henry'ego z uśmiechem.

- To nie jest uczciwy test, Henry - powiedziała.

- Ha! - krzyknął komisarz z nie skrywanym triumfem w głosie.

- Nie jest uczciwy - kontynuowała dziewczyna - bo spotkałam już tego człowieka, więc łatwiej go będzie odnaleźć.

Zamknęła oczy, trzymając kartę między zaciśniętymi dłońmi. Pisaki encefalografu rozszalały się na wolno sunącej taśmie papieru. Uśmiechnęła się szerzej i otworzyła oczy.

- Stoi na rogu Czwartej Nowej Alei Wschodniej i Sto Dziewięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Ubrany jest w długi niebieski płaszcz z ramionami obszytymi nieprzemakalnym plastykiem. Dziś jest bez wąsów, ale w blond peruce. Ma przy sobie masę forsy i jakieś poskładane papiery. Nic nielegalnego.

Komisarz znów majstrował przy telefonie.

- Na miłość Boską, uruchomcie to. Muszę go dostać.

- Po co? - spytała Barbara. - Przecież chce pan go złapać z prochami, kwasem lub Brązową Radością, prawda?

- Chcę go bez względu na wszystko.

- Może go pan oskarżyć?

- Wystarczy, że go dopadnę.

Nagle telefon odżył i to od razu na wszystkich liniach. Komisarz sprawnie zapanował nad chwilowym chaosem i kazał natychmiast wysłać wozy patrolowe we wskazane miejsce, żeby zatrzymać człowieka o rysopisie podanym przez Barbarę. Odwrócił się z kwaśnym uśmiechem.

- Poczekamy, zobaczymy. Jeżeli jest tam taki facet, to będziemy go tu mieli za trzy minuty. Moi ludzie są szybcy i sprawni.

- Moi też - powiedział Henry i spojrzał wyczekująco na Barbarę, która skinęła głową.

- O co chodzi? - zaniepokoił się komisarz.

- Śledzę go - wyjaśniła Barbara i nagle trzecie pasmo encefalografu zaczęło wykazywać ożywienie.

- To „gęsie jajo” przy pracy, komisarzu - rzekł Henry.

- Czytacie w moich myślach? - Mailer wyglądał na zaniepokojonego i jeszcze bardziej rozzłoszczonego.

- Nic z tych rzeczy - uspokajał go Henry. - Nie jestem telepatą. Ja tylko potrafię czytać z liści herbacianych na dużą skalę.

Komisarz na moment zamilkł, zdumiony faktem, że usłyszał własny opis działalności Henry'ego.

- No dobrze, może mi pan zdradzić, czy moim ludziom się powiedzie?

- Barbara zrobi to lepiej niż ja. Z zasady nie zajmuję się indywidualnymi przypadkami. Moją specjalnością są ruchy masowe. Barbara jest w stanie odnaleźć Joe'ego Blowa nie tylko teraz, ale i za każdym razem, kiedy będzie pan potrzebował jakichś informacji na jego temat.

- Mają go - odezwała się Barbara i wyciągnęła rękę po następną kartę.

Komisarz popatrzył na nią podejrzliwie.

- Poczekaj na wiadomość z policji, Babs.

Wzruszyła ramionami i wygodniej rozsiadła się w fotelu. Nagle uśmiechnęła się promiennie do Mailera.

- Zostawił pan swoją fajkę w kieszeni kurtki narciarskiej, komisarzu, tej błękitnej, którą rzadko pan nosi. Jeśli zaraz zadzwoni pan do domu, zastanie pan żonę. Niech pan jej przypomni, że kurtka wisi pod czerwonym płaszczem kąpielowym w pierwszej szafie.

Mailer przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- Wydawało mi się, że mówiła pani, iż nie umie czytać w myślach.

- Ja tego nie powiedziałam. - Barbara wskazała palcem Henry'ego.

- To on. Ja potrafię dostrzec obrazy zagubionych przedmiotów. Pan rzeczywiście zgubił fajkę i właśnie zastanawiał się, gdzie też mógł ją posiać. O żonie tylko dlatego zdołałam powiedzieć, że zawsze pan powtarza, iż nie można jej znaleźć, kiedy jest potrzebna. - Barbara mówiła bardzo rzeczowym tonem, lecz Henry wiedział, jak bardzo lubi bawić się zdumieniem ludzi, którym służy pomocą.

Te „odkrycia” wywarły na komisarzu większe wrażenie niż zlokalizowanie Joego Blowa. Zadzwonił telefon.

- Złapali człowieka o podanym rysopisie. Co mają z nim zrobić? Domaga się poszanowania jego praw.

Zaskoczenie Mailera trwało tylko chwilę.

- Przeszukajcie go. Mamy raport o kradzieży w pobliżu tego miejsca, a świadkowie podali jego rysopis. Powinniście znaleźć przy nim zwitek banknotów i jakieś papiery. Powołajcie się na przepis o rewidowaniu podejrzanych.

- On ma około ośmiu tysięcy kredytów - powiedziała Barbara.

- Skradziono osiem tysięcy.

Nastąpiła pełna napięcia cisza.

- Znaleźliśmy właśnie tyle, komisarzu.

- Zamknijcie go!

Wyraz twarzy Mailera świadczył o poważnym konflikcie wewnętrznym. Wyglądał jak ktoś, komu oddano do dyspozycji cudowne narzędzie, a on był zbyt przerażony, żeby je przyjąć.

- Barbara jest parapsychicznym talentem, komisarzu. Przywieźliśmy elektroencefalograf, aby udowodnić naukowo, bez żadnych fusów herbacianych, że jej umysł generuje specyficzny impuls elektryczny, kiedy korzysta z tego Talentu. Nie potrafi czytać w pańskich myślach, dopóki pan, lub ktokolwiek inny, nie zacznie martwić się jakąś zagubioną czy skradzioną rzeczą.

- Skradzioną też?

- Komisarzu - wtrącała się Barbara - jeśli chodzi o ten ukradziony transport gazu łzawiącego, to można go znaleźć w magazynie, gdzieś w południowej dzielnicy. W środku jest bardzo ciemno, co utrudnia sprawę - nie widzę dobrze w mroku. Tam coś jest, jakby białe kontenery do przewozów lotniczych, bardziej plastikowe niż drewniane lub ze stali. Na dole lewej ściany mają jakiś znak geometryczny. - Zmarszczyła się, encefalograf zaterkotał gwałtownie i wrócił do normalnego, spokojnego rytmu. - Przepraszam. Tam jest jednak zbyt ciemno.

Komisarz prychnął lekceważąco, lecz uzyskane informacje dały mu do myślenia.

- Południowa dzielnica... transport lotniczy... białe... - Pięścią wduśli przycisk interkomu. - Jack, które towarzystwa przewozów lotniczych używają białych kontenerów ze wzorem geometrycznym na lewej ścianie? Ach tak, rzeczywiście. A które mają magazyny w południowej dzielnicy? No dobrze, sprawdź swoje kontakty jak najprędzej. - Spojrzał chłodno na Barbarę. - Nie może pani podać więcej szczegółów?

Barbara rzuciła Henry'emu szybkie spojrzenie.

- Już zawęziłam obszar poszukiwań do małego skrawka miasta i powiedziałam o wszystkim, co udało mi się zobaczyć. Przecież nie ma tam zbyt wielu magazynów lotniczych. Zrobiłam więcej niż pan dotąd, panie Mailer.

- Chwileczkę, młoda damo...

- Dostał pan już więcej niż chwilę, komisarzu, a mój czas jest bardzo cenny. - Barbara wstała i zdjęła siatkę elektrod z głowy. - Tracimy tu z nim czas, Henry. On mi się nie podoba. Wydziela żałosne fluidy, po prostu żałosne!

Zdecydowanym krokiem opuściła gabinet. Molly zaczęła pakować encefalograf, a oniemiały komisarz wpatrywał się w otwarte drzwi, zanim przeniósł wzrok na Henry'ego.

- Barbara działa skuteczniej, kiedy od czasu do czasu usłyszy podziękowanie, panie Mailer. Zresztą podobnie jak większość ludzi.

Henry otoczył Molly ramieniem, dał znak Jerry'emu, żeby zabrał aparat i życząc komisarzowi przyjemnego dnia, ruszył do wyjścia.

- Chwileczkę...

Henry zatrzymał się na progu.

- Jak już Barbara powiedziała, dostał pan więcej niż chwilę, Mailer, a nasz czas jest bardzo cenny.

- Czy Charity znów musi dostać środki uspokajające, Gus? - Henry skierował to pytanie do lekarza zatrudnionego w Centrum. - Podpisaliśmy dla niej umowę o znalezienie jakiegoś rozrabiaki w Arrow Shirt Company.

Gus przechylił głowę i wykrzywił twarz. Chciałby bardzo powiedzieć „nie”, ale doskonale wiedział, że tylko „tak” będzie zgodne z prawdą. Oparł się o wyłożone kamiennymi płytami drzwi dwupokojowego mieszkania Charity McGillicuddy na mieszkalnym piętrze siedziby Centrum, przerobionej z magazynu.

- Nawet przy tych wszystkich osłonach, jakie tu mamy, Hank, telepaci i empaci nie są w stanie odizolować się od otoczenia. Za mało tu przestrzeni. Nie mogą ani na moment oderwać się od nas, rozumiesz? W pewnym sensie jesteśmy tu stłoczeni jak króliki, mimo wszystkich wygod i uroków tego miejsca. Można powiedzieć: za dużo dobroci naraz, zbyt wiele przyjaźni. To jak nadmierna dawka środków wywołujących euforie. Wszyscy tutaj jesteśmy nabuzowani braterstwem. To więcej, niż Charity może wytrzymać.

Henry spojrzał na okno, na którym wyświetlano obraz skąpanego w słońcu trawnika z wielkim bukiem. Rdzawe liście kontrastowały ślicznie z jesiennym błękitem nieba. Chociaż obraz był szalenie realistyczny: liście poruszały się owiewane łagodną bryzą, a kąta padania promieni słonecznych zmieniał się z upływem czasu, Henry

wiedział, że to jedynie projekcja i jego umysł buntował się przeciw iluzji, mamiącej miliony mieszkańców królikarni.

- Talent potrzebuje czegoś, co trudno znaleźć w naszych czasach - ciągnął dalej Gus. - Najważniejsze jest poczucie fizycznej wolności i przestrzeni. - Z rezygnacją machnął ręką, wyrażając tym swe przekonanie, że spełnienie takich warunków w granicach przepełnionego ponad miarę Jerhattanu jest czystą mrzonką.

- Proponowano nam dawne tereny łowieckie w...

- Za daleko, żeby stamtąd dojeżdżać, a większość z nas musi tu pracować.

Molnar był naczelnym neurologiem śródmiejskiego szpitala, choć więcej czasu zabierały mu obowiązki lekarza Centrum.

- No dobrze - powiedział Henry. - Zrobię, co w mojej mocy.

- Henry? - Gus spojrzał na niego podejrzliwie. - Co chcesz tym razem wyczarować?

- Ja? - zdziwił się Darrow. - Nic. - Stał w pozycji czarnoksiężnika z dawnych obrazków, złożył dłonie i zachichotał złowrogo. - Ale Przeznaczenie... hahaha! Wiem, kiedy się sprzymierzimy. Wkrótce!

Gus spojrzał w niebo, jakby tam szukał siły, która pozwoli mu przetrzymać mistyczne wysoki Henry'ego.

- Nie martw się, Gus - rzekł Henry już normalnym tonem. - Czasem musimy odwoływać się do tajemnych mocy.

Gus kwaśno pokiwał głową.

- Musi ci wystarczyć pocieszenie, że kiedy umrę, będziesz mógł pokroić mój mózg na kawałki, żeby się wreszcie dowiedzieć, jak ja to wszystko robię.

- Ha!

- Nie może pan wezwać Barbary Holland tak, jak powołuje pan świadka. Nie ma do tego prawnych podstaw, komisarzu - mówił Henry Darrow. - Ale może pan ją zatrudnić za pośrednictwem Centrum.

- Jakiego Centrum? - spytał Mailer, rozglądając się z wyraźną niechęcią po mikroskopijnym pomieszczeniu służącym Henry'emu za biuro.

- Centrum, jakie wkrótce powołamy do życia za pieniądze, którymi będzie pan opłacał pracę takich Talentów, jak Barbara, Titter Beyley, Gil Gracie i innych.

- Titter Beyley? - Komisarz wyglądał, jakby zaraz miał dostać ataku apopleksji.

- Tak, Titter. Pił, żeby móc przestać odnajdywać zagubione przez innych przedmioty. Alkohol ma wpływ na zdolności parapsychiczne - czasami je hamuje, jak w przypadku Tittera, a czasami wzmacnia.

- Chwileczkę, Darrow...

- Moje chwile są bardzo cenne, Mailer. Nie mam ich nieskończenie wiele. Pan szuka rzeczy i ludzi. Barbara i Titter Beyley potrafią wszystko odnaleźć. Jeśli chodzi o przedmioty, Titter jest nawet lepszy od Barbary. Nie przepada za ludźmi. Jeżeli złapie pan go pijanego na służbie, wówczas może pan złożyć skargę.

- Stoi pan tu przede mną, młodzieńcze, i twierdzi, że w sobotę zostanę zastrzelony? A to dobre! - Gubernator Lawson opadł na oparcie fotela i zaniósł się gromkim śmiechem.

Przerwał równie gwałtownie, jak zaczął, po czym wbił wzrok w Darrowa i towarzyszącego mu Steve'a Hawkinsa. Nie było to przyjemne spojrzenie.

- Już to słyszałem. Są nowe wiadomości?

- Z wizji wynika, że pocisk kalibru 38 przebije prawy przedsionek serca. - Głos Steve'a drżał lekko. Henry zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zabierając ze sobą chłopaka, który całkiem niedawno opanował swój dar i dobił do personelu Centrum. - Zamachowiec zajdzie pana od lewej.

- Jakie to ma znaczenie, z której strony nadejdzie? - Głos gubernatora brzmiał zdecydowanie wrogo. - Nie myślcie, panowie, że wam nie wierzę. Zbyt wiele już o was słyszałem, żeby wątpić w wasze zdolności. Ale jeżeli się nie pojawię...

- Pan musi się tam pojawić i wystąpić - przerwał mu Henry. - Zbadaliśmy sprawę za pomocą rachunku prawdopodobieństwa i stwierdziliśmy, że musi pan być obecny na forum, żeby przekonać niezdecydowane osiem procent do głosowania na pańską partię. Bez tych ośmiu procent nie zdobędziecie większości, a wtedy laburzyści zyskają możliwość przeciwstawienia się waszym posunięciom, co będzie miało tragiczne skutki gospodarcze.

Gubernator Lawson znów zaczął się śmiać, tym razem spokojniej niż przedtem.

- A więc tak to widzicie, co?

- Tak, o ile nie zepsuje pan czegoś, znając przyszłość.

- Jak to możliwe?

- Przedstawiliśmy panu wizję najbliższej przyszłości. Taka wiedza sama w sobie może wpłynąć na zmianę okoliczności, a więc i skutków. Nie zawsze jesteśmy w stanie to zrobić. Nie zawsze mamy pod ręką odpowiednią osobę lub wiemy, co się zdarzy. W pana przypadku zrobimy wyjątek i zmienimy przyszłość. Laburzystowska większość nie byłaby korzystnym zjawiskiem dla Utalentowanych.

Gubernator Lawson pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Pański człowiek przechwyci kulę?

Henry przytaknął.

- A ten świr zostanie złapany, żeby nie mógł oddać drugiego strzału? Świetnie! Ilu polityków chronicie w ten sposób?

- Tych, którzy tego potrzebują. Chętnie usłyszelibyśmy dobre słowo pod adresem Centrum, kiedy Steve zmieni tor lotu tej kuli.

Lawson zgodził się ruchem głowy.

- Tych, którzy tego potrzebują? Czy tych, których pan potrzebuje, Darrow? Nie, niech pan nie odpowiada. Proszę mi lepiej powiedzieć: wygram wybory?

Henry uśmiechnął się.

- Przecież zna pan odpowiedź na to pytanie, gubernatorze, ale cała zabawa polega na tym, żeby nie popełnić żadnego błędu w tej grze.

- Do jakiego stopnia ingerujecie w te gry i zabawy?

- Tyle, ile trzeba!

- No, panie Rambley, na czym polega pański kłopot?

- Nie mój kłopot, panie. Darrow, lecz pański! - Przedstawiciel urzędu skarbowego uśmiechnął się jadownicie i zaczął wyciągać karty IBM z aktówki wykonanej z imitacji świńskiej skóry.

- Czyżby?

- Mam tu sprawozdania z Departamentu Przestrzegania Prawa i Porządku, ze szpitali Johns Hopkins, Bethel General, od Duponta, Merck Pharmaceuticals... mówić dalej?

- Jak pan sobie życzy...

- Te kwity wypłat są świadectwem dochodów uzyskanych przez Barbarę Holland, Tittera Beyleya, Charity McGillicuddy, Gila Gracie'ego, Franka Negelsco, Augustusa Molnara... - Urzędnik ponownie zawiesił głos i spojrzał na Henry'ego. - Mógłbym wymieniać dalej...

- Jak pan sobie życzy. Zawsze staram się należycie traktować urzędników administracji rządowej. - Henry pochylił się w stronę Rambleya, który po raz pierwszy od chwili wejścia do kantorku poczuł się jakby mniej pewnie. - W końcu moi najlepsi ludzie też są zatrudniani przez urzędy państwowe.

Rambley z irytacją złożył karty w plik i trzepnął nim oskarżycielsko o blat biurka.

- Niech pan sobie daruje, panie Darrow. Ci ludzie - potrzęsnał kartami - zarabiają mnóstwo pieniędzy, a mimo to nie mamy najmniejszego dowodu, że płacą podatki.

- Przekazują swoje zarobki in toto na rzecz Centrum Parapsychologii. Świadczą usługi różnym pracodawcom w ramach umowy-zlecenia. Centrum Parapsychologii rozlicza się za nich zgodnie z prawem o korporacjach.

- Nikt normalny nie... - Rambley aż podskoczył na krześle z oburzenia.

- Nigdy nie twierdziłem, że Utalentowani są normalnymi ludźmi. Wręcz przeciwnie, ich szczególne zdolności dowodzą, że odbiegają od ogólnie przyjętych norm.

- Panie Darrow... - Rambley zerwał się na równe nogi. - Mówił pan, że traktuje urzędników państwowych z szacunkiem!

- Oczywiście. W związku z tym widzę, że traci pan czas, panie Rambley. Osoby opisane na pańskich kartach przekazują wszystkie swe dochody Centrum Parapsychologii. Nasz księgowy z przyjemnością przedstawi panu niezbędne dokumenty.

- Ale ja przecież wiem, że ten typ, Titter Beyley, jeździ wozem z silnikiem o mocy trzystu pięćdziesięciu koni mechanicznych! - Taka niestosowność najwyraźniej szokowała pana Rambleya.

- Tak, Titter zawsze marzył o potężnym samochodzie. Wóz należy do Centrum. Może pan sprawdzić papiery.

- A ta, ta Charity McGillicuddy ma futro z norek.

- Rzeczywiście. Pobrała je z działu zaopatrzenia jakieś cztery miesiące temu.

- Pobrała? Z działu zaopatrzenia?

- Musi godnie reprezentować swoją obecną pozycję społeczną; Departament Prawa i Porządku bardzo dba o odpowiedni image swoich pracowników. Poza tym niech pan pomyśli, jaki to byłby skandal, gdyby ktoś przez nich zatrudniony chodził w kradzionym futrze. Oczywiście, Chatrity wie doskonale, że teraz nie musi kraść, by móc włożyć na siebie coś wspaniałego. Kradzieże straciły dla niej dawną atrakcyjność. Mimo wszystko czuje się prawdziwie dowartościowana, mogąc chodzić po ich kwaterze w norkach. Robimy wszystko, żeby zadowolić naszych pracowników.

Rambley nie odrywał wzroku od Henry'ego, ale trudno byłoby uznać, że słowa Darrowa go przekonywały. Przeciwnie: czuło się w nim narastającą wrogość.

- Jeszcze pan o mnie usłyszysz, panie Darrow. Nikt nie wykiwa urzędu skarbowego. - Zamaszyście schował plik kart do aktówki. Wyraźnie było widać, jak drżą mu ręce. - Jeszcze pan o nas usłyszysz.

- Nie ma sprawy. Niech pan umówi się telefonicznie na następne spotkanie. Proszę tylko wziąć pod uwagę, że senatorowie Maxwell, Abrahams, Montello i Gratz zatwierdzili naszą korporacyjną strukturę.

Oczy Rambleya otworzyły się nieco szerzej.

- A doradca prezydenta, pan Killiney, jest naszym ekspertem finansowym. Czyżby nie miał pan jego karty w swoim zbiorze?

Rambley opuścił biuro wyraźnie zmieszany.

- Często zdarza się panu wdzierać podstępem do prywatnych domów, panie Darrow?

- Owszem, panie Henner, o ile nie jestem w stanie umówić się z kimś w normalny sposób. - Henry uśmiechnął się uprzejmie, starając się nie rozglądać z zazdrością po obszernym, wspaniale umeblowanym pokoju. Dawno już nie widział czegoś równie przestronnego.

George Henner wydawał się bardziej rozbawiony niż zirytowany bezczelnością Darrowa. Rozsiadł się wygodnie w fotelu pokrytym włoskim brokatem.

- Jeżeli chodzi panu o to, żebym finansowo wsparł pańskie hokus-pokus, to chyba traci pan czas.

- Wręcz przeciwnie, szanowny panie. Zostałem upoważniony do zaproszenia pana jako członka naszej wesołej gromadki. - Henry nie mógł nie uśmiechnąć się, widząc zaskoczenie na twarzy Hennera.

- Mam się do was przyłączyć? - Miliarder wybuchnął śmiechem.

Odchylił głowę, ukazując rząd złotych plomb w górnych zębach. - Mój Boże, Darrow, to mi dopiero nowina! Stara zasada: jeśli nie możesz dać sobie z kimś rady, przyjmij go do siebie?

- Prawdę mówiąc... - Henry starał się zachowywać jak najbardziej swobodnie, nawet pretensjonalnie zagłębił się w fotelu i niedbale założył nogę na nogę, udając, że nie dostrzega błysku zniecierpliwienia w oczach bankiera. - Prawdę mówiąc, panie Henner, pańskie umiejętności poruszania się w sferze finansów są równie głęboko zakotwiczone w parapsychologii, jak moje własne. Znaczy to, że potrafi pan widzieć przyszłość w szklanej kuli, choć zdaje się, że woli pan raczej posługiwać się komputerem, który dostarcza panu danych z giełdy.

Henner mruknął rozbawiony, ale nie odezwał się słowem, zachęcając tym samym Henry'ego do kontynuowania przemowy.

- Jest pan znany z tego - ciągnął posłusznie Darrow - że posiada pan pewien geniusz, głębsze spojrzenie, jeśli chodzi o przewidywanie, które akcje pójdą w górę, a które spadną; które obligacje dadzą na dłuższą metę największe korzyści. A ja jestem w stanie udowodnić, że to zdolności parapsychiczne.

Henner przechylił nieco głowę coraz bardziej rozbawiony, zachęcając Henry'ego do przedstawienia dowodów na prawdziwość jego teorii. Darrow rozwinął wydruk encefalografu na stole.

- Wiem, że śledzi pan wiadomości na tyle, by wiedzieć, co to jest. Być może tylko nie od razu dociera do pana fakt, że to pański wykres.

Henner znieruchomiał.

- Kiedy w zeszłym miesiącu przechodził pan ostatnie badania kontrolne, pański lekarz zrobił test na „gęsim jaju”. Nie wiedział, że to nie jego własny aparat, więc nie może pan go o nic oskarżyć. Jednak doświadczył pan wówczas czegoś, co nazywamy incydem jasnowidzenia, o tu, w tym momencie, i tutaj. Sądzę, że miało to związek z fuzją Allied Metals i Mining, którą przeprowadził pan w mistrzowski sposób.

- Nie jest pan w stanie odczytać ludzkich myśli z wykresu encefalografu, Darrow.

- Oczywiście. Wiem jednak, że natychmiast po badaniu zadzwonił pan do swego biura, a po paru godzinach fuzja została publicznie ogłoszona, choć stało się to dopiero po tym, gdy nabył pan niezły pliczek akcji Allied. Czy te fakty są prawdziwe?

Henner niechętnie skinął głową, przyglądając się Henry'emu spod w półprzymkniętych powiek.

- Oto dowód na to, że ma pan zdolności parapsychiczne - zakończył Henry, zwiłając wykres.

Cisza, która teraz nastąpiła, powinna była wytrącić Henry'ego z równowagi, jednak nie spełniła swego zadania. Przez dłuższy czas wytrzymał świdrujące spojrzenie finansisty, a potem zaczął się rozglądać po pokoju, podziwiając jego piękno. Wreszcie znów spojrzął Hennerowi w oczy i uśmiechnął się.

- Czy to szantaż? - spytał miliarder.

Darrow potrząsnął głową.

- Jasne. Na to jest pan za mądry. Zaryzykowałbym przypuszczenie, że chce pan wynająć mój talent do pomnażania pańskich pieniędzy. Ale to znów byłby rodzaj szantażu, nieprawdaż, panie Darrow?

Henry nic nie odrzekł, lecz jego mina wskazywała na to, że przypuszczenia Hennera były bezpodstawne.

- No więc, czego pan ode mnie chce? Przecież o coś w tym wszystkim chodzi.

- Chodzi o dwunastoakrowy skrawek ziemi w Palisades.

Kolejny raz Henry żałował, że nie jest telepatą i nie potrafi odczytać dokładnych przyczyn emocji, jakie malowały się na twarzy George'a Hennera. Najwyraźniej wprowadził go w osłupienie, trafił w najczulszy punkt: w coś, co kochał bezgranicznie i bez czego nie mógł żyć - w piękną posiadłość Beechwoods. Należała do rodziny Hennera od stu czterdziestu lat z górą i niewielu dostąpiło zaszczytu goszczenia w jej granicach. Henner potrzebował jej dokładnie z tych samych powodów, co Henry Darrow.

- Skąd pan wie? - spytał finansista ochrypłym szeptem.

- Że państwo zamierza skonfiskować wszystkie tereny prywatne w promieniu stu mil od granic miasta Jerhattan? Wiem, bo jest to dla mnie równie ważne, jak dla pana.

Henner wstał i zaczął chodzić po pokoju, dając upust złości. Mruczał pod nosem obelgi pod adresem państwa jako takiego, potrzeb bezdomnych, nie domytych tak zwanych mas oraz tych urzędników

rządowych, którym nie udało się zadbać o nienaruszalność rodowej siedziby Hennerów.

- Jeżeli jednak teren jest już własnością jakiejś religijnej, medycznej, edukacyjnej lub dobroczynnej organizacji i da schronienie odpowiedniej liczbie ludności, wówczas nie podlega konfiskacie, nawet według przepisów ustawy mieszkaniowej z 1998 roku.

- Człowieku, mamy przecież dopiero 1997 rok i ustawa jeszcze nie przeszła. Nadal mogę ją obalić!

- Nie. Zostanie uchwalona.

Henner nienawidził Henry'ego. Przynajmniej jego oczy na to wskazywały.

- Przecież potrafi się pan pogodzić z tym, co nieuniknione, panie Henner. Nikt nie robi panu nadziei, że można obalić ten projekt i ocalić Beechwoods.

- Więc to pańscy czarodzieje i magicy mają zaśmieszyć mój dom?

- Panie Henner, pański stan zdrowia jest kiepski, a nerwy ma pan kompletnie stargane. Odosobnienie i spokój, jakie daje panu ten dom, mają zasadnicze znaczenie dla pańskiego przetrwania. To samo odczuwa każdy Talent parapsychiczny, zmuszany obecnie do przystosowania się do emocjonalnego chaosu, który nas otacza. Wie pan doskonale, że cudem przeżył pan zeszły rok. Wie pan również, co by się stało, gdyby musiał pan zmienić miejsce zamieszkania.

- Czy zna pan przypadkiem dokładną datę mojej śmierci? - spytał Henner, odzyskawszy nagle panowanie nad sobą.

- Dokładnie tak samo, jak znam swoją własną, panie Henner. Umrze pan na atak serca, pańska aorta zostanie zablokowana przez grudkę zwapniałej materii wyściełającej naczynia krwionośne. Wydarzy się to o dwudziestą pierwszą dwadzieścia jeden, dokładnie za rok, dziewięć miesięcy i czternaście dni.

W spojrzeniu Hennera pojawiło się coś, jakby wyzwanie.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie, to wycofa pan akt nadania Beechwoods. Tymczasem zapewni pan sobie prawa do zamieszkania w domu ojców, co ma dla pana podstawowe znaczenie.

- Mógłbym, na przykład, załatwić sobie przeszczep serca. - Hennerowi wyraźnie spodobał się ten pomysł.

- Nie z taką wątrową i przy takim stanie tętnic.

- Taka jest pańska przepowiednia, Darrow?

- To stan faktyczny - odrzekł Henry. - Sam zastanawiałem się nad przeszczepem, ponieważ też umrę na zawał pewnego dwunastego maja o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt dwie. Jednak do tego dnia uda mi się zakończyć większość pracy niezbędnej do założenia trwałego, samowystarczającego Centrum Parapsychologicznego Ameryki Północnej.

- W posiadłości Beechwoods?

- W posiadłości Beechwoods. Owego dwunastego maja zatuszuję za ciszą i spokojem własnego grobu.

W oczach Darrowa ukazał się jakiś blask, który sprawił, że cyniczna twarz finansisty nieco złagodniała.

- Pokój po wojnie, śmierć po życiu radością są człowieka? - Choć słowa te wypowiedziane zostały łagodnym tonem, trudno było dostrzec delikatność w spojrzeniu Hennera, kiedy ten skierował wzrok na Darrowa.

- Jaką rolę odegra Beechwoods w tej całej intrydze?

- Będzie integralną częścią Centrum.

Henner uśmiechnął się ironicznie.

- A moje pieniądze? Nie mam potomka.

Darrow roześmiał się.

- Stale martwi się pan o swoje pieniądze, panie Henner. My nie potrzebujemy pieniędzy. Może pan sprawdzić nasze księgi. Ale jedynie Centrum potrafi zaofiarować swoim członkom coś, czego nie można kupić za pieniądze.

Dłuższą chwilę Henner wyglądał przez wielkie okno, wychodzące na kamienny taras i rozległy trawnik porośnięty cudowną, szmaragdową trawą, uwieńczony przez wspaniałe, stare buki. Kiedy wreszcie odwrócił się do Henry'ego, trzymał wyciągniętą przed siebie rękę. Trzykrotnym uściskiem dłoni obaj mężczyźni potwierdzili zawartą umowę.

- Niech mi pan jedno powie, panie Darrow: przewidział pan, że zwycięży?

- Wiedziałem, że Beechwoods w końcu będzie nasze, panie Henner

- odpowiedział z żalem Henry - ale chciałem, żeby to się stało za pana zgodą.

- Za moją zgodą? Przecież doskonale pan wiedział, że nie miałem wyboru!

- Na pewno?

George Henner wszedł do pokoju wykresów w chwili, gdy zanotowano pierwszą z wizji. Miał zwyczaj zjawiania się w różnych wydziałach, wykazując, jak to sam określał, perwersyjne zainteresowanie ostatecznym eksmitowaniem Centrum z Beechwoods. W gruncie rzeczy jednak Henner przyznał się raz Molly Darrow, że Centrum nadało sens jego życiu. Od czasu kiedy zrzekł się posiadłości, czuł się o wiele lepiej. Mimo głoszonej stale chęci dokuczenia Henry'emu, często udzielał mu naprawdę cennych rad, zakamuflowanych pod postacią mało znaczących uwag. Również utalentowani powoli zaczęli się do niego przywiązywać, mimo jego dziwacznych czasami zachowań i wybuchowego charakteru.

- Mamy silną wizję - meldował Henry'emu przez interkom dyżurny oficer, Ben Avedon, kiedy Henner wkraczał do pokoju. - Od Patsy Tucker.

Henry i Molly zjawili się, zanim jeszcze Patsy zadzwoniła, żeby opowiedzieć swoją wizję.

- Jestem znów nad wodą - mówiła zdyszana, chcąc opisać wszystko jak najdokładniej, nim umkną jej szczegóły. - Są tam statki. Cztery. Minęło już południe i słońce jest po mojej lewej stronie, tak więc muszę stać twarzą na północ, za statkami, z tyłu, jest jakiś brzeg, drzewa, sosny. Na wodzie rozlała się ropa. Widzę, jak mieni się kolorami. Ta ropa mnie przeraża. Zaraz się zapali, na wodzie rozszaleją się płomienie, pożar obejmie statki.. Ach, to będzie straszne, Hen. Możesz to zlokalizować? Dałam ci dość informacji? Nic więcej nie pamiętam, płomienie wszystko zakryły.

- Czy to ma się zdarzyć wkrótce?

- O, tak. Dzisiaj. Jestem pewna. Ale jest dopiero rano, a ja widziałam późne popołudnie. Czy starczy nam czasu?

- Jasne, mamy mnóstwo czasu. Właśnie wprowadzam dane do komputera. Staruszek zaraz odnajdzie to miejsce. Nie martw się, Pat. Pamiętasz rozmiary statków?

- Ach, tak, oczywiście. Jestem głupia, że od razu nie powiedziałam. Zapomniałam, że ty tego nie widziałeś. Jeden z nich był mały, jacht motorowy, żadnych żagli. Ten się zapalił. Potem były dwa długie i niskie, myślę, że to tankowce. I jeszcze jeden, wyższy. To znaczy wyżej wystawał nad powierzchnię wody. One wszystkie są zbyt blisko siebie. Przez to właśnie wszystkie się zapala.

- Jacht motorowy, dwa tankowce i drobnicowiec późnym popołudniem. Świetnie, Pat. Sosny i brzeg, no i to, że są tak blisko siebie, wskazują na jakiś kanał. Uważaj, Pat, skup się mocno: czy dostrzegłaś jakieś oznakowanie statków, nazwy, bandery?

Po chwili zastanowienia Pat grobowym głosem powiedziała, że nic takiego nie zauważyła, bo dym wszystko zasłonił.

- Niech się jakiś specjalista od ognia tym zajmie - powiedział Henry do Bena. - Patsy, mówi Henry. Świetna robota, dziewczyno. Nie denerwuj się. Zadzwoń, gdy wszystko potwierdzimy. Naprawdę wspaniała robota.

Henry odłożył słuchawkę. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, w jakim napięciu będzie ta dziewczyna, dopóki nie dowie się, że udało się zapobiec kolizji. Gdyby tylko mieli więcej danych przyspieszających identyfikację miejsca i gdyby zdołali potem namówić przyszłych uczestników zdarzenia na zmianę trasy... Przeszedł na stanowisko komputerowe i zaczął wprowadzać dane.

- To na pewno szlak statków pełnomorskich, może rejon Zatoki Sheepshead na East River? Nie, nie tam. Może któryś z kanałów?

- Rzeka Świętego Wawrzyńca z tankowcami i frachtowcami - zasugerował Ben.

- Albo Wielkie Jeziora - rzuciła Molly.

Zanim otrzymali wydruk możliwych lokalizacji i informacje o ruchu statków na Drodze Wodnej Świętego Wawrzyńca, rozterkował się drugi elektroencefalograf.

- Najwyższy czas - powiedział Ben. - To Terry, nasz niezawodny spec od pożarów.

- Jak to możliwe, że ty nie wiesz, Hank? - spytał George Henner, sadowiąc się na wysokim stołku w rogu pokoju.

- Zbyt mało ludzi jest w to zamieszanych, George, no i jest to zbyt blisko jak na mnie. To specjalność Patsy. Zresztą, chyba się zgodzisz, że dobry kierownik podejmuje decyzje długofalowe, zostawiając szczegóły personelowi.

George uśmiechnął się szeroko, ale nie odezwał się więcej, wsłuchując się z napięciem w relację Terry'ego Cle. W zasadzie nie różniła się ona zbyt wiele od wizji Patsy, choć Terry „widział” całe wydarzenie z innej perspektywy. Podał sporo szczegółów o jednym z tankowców i o jachcie, co umożliwiło ich dokładną identyfikację w rejestrze jednostek pływających. Tankowiec należał do Iricoil Line i

zdążyć do Toronto, gdzie spodziewano się go około piętnastej pięćdziesiąt. Jacht „Aitch Bee” był zarejestrowany na nazwisko niejakiego A. Frascatego i stał w tej chwili w małej przystani po amerykańskiej stronie kanału.

Rachunek prawdopodobieństwa wykazał straty wywołane pożarem i kolizją sięgające kilku milionów oraz konieczność zamknięcia szlaku na trzydzieści sześć godzin plus koszty wynikłe z opóźnienia dostaw, które zakłóciłyby pracę dziewięćdziesięciu dwóch przedsiębiorstw, odbierając zatrudnienie około osiemnastu tysiącom ludzi.

- Okay, Ben. Nadaj zwykłe ostrzeżenie. Zobaczymy, czy Iricoil nas posłucha.

- A jeżeli Iricoil nie uwierzy?

- Wtedy zajmiemy się tym Frascatim. Jego chyba będzie łatwiej przestrzec, ale i tak musisz zawiadomić Iricoil.

W Iricoil okazano niezwykłą podejrzliwość; odmówiono wszelkiej współpracy i nie zgodzono się, używając słów zgoła niewybrednych, na skierowanie tankowca inną trasą. Towar, który przewoził, musiał dotrzeć do Toronto przed wieczorem. Frascati był nieobecny w domu i nieosiągalny w biurze. Wszędzie zostawiono pilne wiadomości nakazujące mu skontaktowanie się z centrum, zanim wyruszy w rejs. Henry wykręcał właśnie numer Biura Kontroli Drogi Wodnej, kiedy George przerwał połączenie.

- Mam pomysł, Hank - powiedział. - Wiele razy obserwowałem wasze działania i wiem, jak często jesteście obrażani, ignorowani i obrzucani kalumniami. Minęły czasy, kiedy wierzy się altruistom, bez względu na to, czy są Utalentowani czy nie. Ostrzeżliście Iricoil, wyrządzając im przysługę. Nie idą na to. Nie pozostaje więc nic innego, jak pozwolić im się sparzyć.

- Mamy dopuścić do katastrofy?

- Mniej więcej. Biorąc pod uwagę straty materialne i redukcje stanowisk pracy, a także to, że mam udziały w czterech przedsiębiorstwach, które mogą na tym ucierpieć, czy zgodzisz się ten jedyne raz rozegrać to po mojemu?

Henry rozluźnił się trochę.

- O co ci chodzi, George?

- Czy przesłaliście Iricoil i Frascatemu ostrzeżenia, podając godzinę nadania?

Ben Avedon poklepał panel komputera.

- Wszystko udokumentowane, George.

- Świetnie. Teraz wyślijcie teleks do Biura Kontroli Drogi Wodnej. Potem udostępnicie mi kilka linii telefonicznych i pozwólcie, żeby Molly mi pomogła. Irenee mówiła mi niedawno o nowym środku do zwalczania wycieków ropy, produkowanym przez Duponta. To pomoże go rozreklamować. Zawsze lubię wspomagać przyjaciół. A propos przyjaciół, zadzwoń do Jima Lawsona, naszego szanownego gubernatora, który jest ci chyba coś winien za to, że Steve powstrzymał przeznaczoną mu kulkę. Poproś go o kilka helikopterów i paru nurków.

- Po co?

- Ty nie wiesz?

- Uwierzysz, kiedy powiem, że zgaduję?

Henner roześmiał się.

- Patrzcie, patrzcie, wielcy upadają - zgadywanie!

- Prowadź sprawę na swój sposób, George.

- Wspaniale, panie Darrow, zobaczy pan, jak to robią profesjonaliści! Jesteś zbyt miękki. Za dużo gadasz. Działanie więcej znaczy niż setki twoich utalentowanych słów.

Dokładnie o szesnastej trzydzieści dwie, w słoneczny, wiosenny dzień, śruba tankowca linii Iricoil, płynącego w dół Drogi Wodnej Świętego Wawrzyńca, ugrzęzła w plątaniu stalowych lin nieznanego pochodzenia. Tankowiec wszedł w dryf w chwili, kiedy frachtowiec United Line wpłynął do kanału z przeciwnej strony. Drugi tankowiec, również należący do United Line, a mający dotrzeć do Toronto przed zmrokiem, znalazł się w zagrożonej strefie, choć było jasne, że statek Iricoil jest w niebezpieczeństwie. Obie jednostki United Line nie przerwały podróży, najwyraźniej licząc na to, że zdołają wyminąć uszkodzony tankowiec, jedna z lewej, druga z prawej strony. Udałoby się to, gdyby nie „Aitch Bee”, również spieszący się do portu, który pojawił się niespodzianie, blokując drogę. Jacht zbliżył się niebezpiecznie do zagrożonego statku. Frascati twierdził później, że chciał się przekonać, czy może być pomocny w przekazywaniu wiadomości na brzeg. Było to śmieszne alibi, ponieważ tankowiec miał sprawną radiostację i kablowe połączenie z nabrzeżem. Śruba jachtu zaplątała się w ten sam zwój lin. Frachtowiec próbował wyminąć unieruchomione jednostki, lecz wytworzona przezeń fala rzuciła jachtem o burtę tankowca Iricoil, którego dziób zaczął

dryfować ku przepływającemu właśnie po przeciwnej stronie tankowcowi United Line. Kapitan tego statku wykonał zwrot, chcąc uniknąć kolizji, lecz potężna jednostka uderzyła w burtę Iricoil, rozpruwając ścianę ładowni w momencie, gdy jacht znalazł się pomiędzy zbliżającymi się do siebie kadłubami. Miażdżące uderzenie wywołało pożar w kabinie Frascatiego; jeszcze chwila, a ogień przerzuciłby się na ropę wyciekającą z uszkodzonego zbiornika Iricoil...

W tym momencie interweniowały helikoptery ratownicze filmowane przez liczne ekipy telewizyjne. Jacht został błyskawicznie pokryty warstwą piany, specjalna substancja Duponta pochłonęła wyciekającą ropę, która załata powierzchnię wody, a dyżurni kinetycy powstrzymali dalszy wypływ paliwa, dopóki teleportyści nie załatali dziury stalowymi płytami. Inni kinetycy współpracowali z pletwonurkami nad usunięciem lin blokujących śruby. „Kapitan” Frascati i jego synowie zostali wyciągnięci z uszkodzonego jachtu przez załogi helikopterów, a kolejny zespół kinetyków utrzymywał łódź na powierzchni do czasu, kiedy kuter straży przybrzeżnej odholował ją do najbliższego portu.

Szlak nie został zablokowany, ponieważ zdołano wyprowadzić wszystkie cztery jednostki z kanału, zanim dotarły tam kolejne statki. Nikt nie był ranny i uniknięto trwałego skażenia środowiska. Zespołom z Centrum Parapsychologii długo dziękowano za pomoc w zapobieżeniu poważnej katastrofie i przed wieczorem wszyscy byli zadowoleni, a najbardziej Patsy Tycker i Terry Cle.

Euforia trwała zaledwie dwanaście godzin, kiedy to Biuro Kontroli Drogi Wodnej zorientowało się, że możliwe skutki tragedii przekraczają wszelkie wyobrażenia.

- Dlaczego zawiadomiliście nas o przewidywanej katastrofie jedynie zwyczajnym teleksem?! - Szef Biura wrzeszczał tak, że George Henner nie musiał korzystać z interkomu, żeby wiedzieć, o czym mówi się w sąsiednim pomieszczeniu.

- Zawiadomiliśmy was normalnym trybem - odpowiedział Henry cichym głosem.

- Zwyczajny teleks! Kiedy w grę wchodziły miliony kredytów! Nie mówiąc już o zablokowaniu najważniejszej drogi wodnej Ameryki Północnej! Czy zdaje pan sobie sprawę, jak krucha jest równowaga ekologiczna na tym obszarze? Ta ropa...

- Byliście ostrzeżeni.

- Ostrzegam, że oskarżymy pana o zbrodnicze zaniechanie.

- Zaniechanie czego, komisarzu? Byliście poinformowani o zagrożeniu na dziewięć godzin i trzydzieści osiem minut przed wypadkiem przez nieoficjalną grupę, w żaden sposób nie powiązaną z agendami rządu. Działamy jedynie w interesie publicznym i nie czerpiemy z tego żadnych korzyści materialnych. Dysponujemy małym personelem i jesteśmy przepracowani. Mógł pan zadzwonić do nas i poznać szczegóły sprawy, choć i tak wszystko zawarliśmy w teleksie. Pańskie Biuro było w stanie zatrzymać każdy z tych statków i tym samym zapobiec tragedii.

- Czy oskarża pan Biuro o zaniedbanie?

Henry odsunął słuchawkę od ucha, potrząsnął głową i odpowiedział najłagodniej, jak potrafił.

- Nie mamy sobie nic do zarzucenia.

George Henner, który właśnie wszedł do biura, skinął głową, pochwalając jego postawę.

- Jeszcze pan o nas usłyszy, panie Darrow. Nie ujdzie wam na sucho takie nieodpowiedzialne zachowanie.

Komisarz rzucił słuchawką.

- Czy uwzględniłeś sprawę sądową w swoich kalkulacjach, George?

Henner radośnie zatarł dłonie.

- Jeżeli nas oskarżą - wygramy!

Henry niezupełnie podzielał optymizm Hennera. Dawno już przewidywał wiele procesów wytaczanych Utalentowanym w zbliżających się dekadach i myśl o kosztach, jakie trzeba będzie ponieść z tego tytułu, przerażała go. Pieniądze da się zgromadzić, ale widział dla nich lepsze zastosowanie w szkoleniu i wynajdywaniu Utalentowanych. Nie chciał tracić środków na korygowanie błędnych wyobrażeń i zwalczanie ludzkiej chciwości. Do wieczora jego przewidywania umocniły się z powodu napływu kolejnych oskarżeń ze strony United Line, Iricoil Tankers i A. Frascatiego.

- Pozwólcie, że ja się tym zajmę - oznajmił Henner Henry'emu i zgromadzonemu pośpiesznie zarządowi Centrum. - Nie potrzebuję żadnych kryształowych kul ani wykresów encefalografu, żeby wiedzieć, jak opanować tę masę bzdur.

Zanim jeszcze Henry zdążył wyrazić zgodę, Henner połączył się telefonicznie z głównymi stacjami telewizyjnymi i wdał się w przyjazne pogawędki z ich szefami. Gdy tylko filmy prezentujące działania Centrum podczas wczorajszych wydarzeń zostały wyemitowane i opatrzone komentarzami omawiającymi akcję, która zapobiegła katastrofie, pozwy wycofano. Wystąpiono nawet z wnioskiem o ukaranie Biura Kontroli Drogi Wodnej za karygodne zaniedbania. Następnie, zgodnie z radą Hennera („Niech płacą, jeśli nie chcą cię słuchać”), Centrum wysłało Frascatiemu, United Line i Iricoil Tankers rachunki za przeprowadzenie akcji ratunkowej.

- Od tej chwili, Henry - powiedział George - nigdy nie waż się dzwonić ani w jakiś inny sposób interweniować po wysłaniu teleksu z ostrzeżeniem. Do diabła, przestań być petentem! Jesteś kimś ważnym!

Henry przyglądał mu się z wyraźnym rozbawieniem, kiedy tak kroczył po pokoju z groźnym błyskiem w oku, dając pokaz siły, która pozwoliła mu zgromadzić znaczną fortunę i która miażdżyła jego przeciwników ze świata biznesu.

- Nie ma sensu nadwerężyć sobie krtani zbędną gadaniną. Nie raz udowodniłeś swoją wartość i te patafiany z Biura Kontroli Drogi Wodnej powinny traktować twoje przesyłki z większym szacunkiem, niż wart jest papier, na którym je wysyłasz. Nawet przy dzisiejszych cenach papieru!

- Dobry argument, George, i na pewno nie zapomnę twojej pomocy.

George zatrzymał się gwałtownie, patrząc na Henry'ego spod zmrużonych powiek.

- O właśnie! Pomagam ci! Chyba nie powinienem tego robić, co?

- Mój przyjazny wróg - roześmiał się Henry.

- Ciekawe, czy to powtórzysz, kiedy egzekutorzy mojego testamentu wyrwą dywanik Beechwoods spod twoich stóp!

- Przecież wiesz, jak bardzo jesteś nam potrzebny, George - powiedział Henry, podnosząc głos, żeby zaciętrzewiony finansista dobrze go zrozumiał. - Jeżeli zdołam przekonać tak zagorzałego sceptyka jak ty, będę miał opinię publiczną u stóp. To najtrudniejszy przeciwnik, najbardziej kapryśny.

Opinia publiczna stanowczo zdecydowała, że Biuro Kontroli Drogi Wodnej postąpiło nierozsądnie, ignorując ostrzeżenia Centrum. Mimo fali ostrej krytyki, Biuro częściowo wymigało się od

odpowiedzialności, ponieważ sąd uznał, że gdyby zamieszani w sprawę kapitanowie wykazali minimum zdrowego rozsądku, do wypadku mogłoby w ogóle nie dojść; nie obciążono zatem Biura wszystkimi kosztami. W oficjalnym werdykcie wysoko oceniono zasługi Centrum w uniknięciu katastrofy. Jednostki odpowiedzialne za transport uznały, że ostrzeżenia Centrum należy brać głęboko do serca.

Przez następnych kilka tygodni wszyscy jasnowidzący wyspecjalizowani w przewidywaniu wypadków komunikacyjnych, pożarów, burz i powodzi byli nieustannie zajęci. Telefony w Centrum dzwoniły bez przerwy; odpowiadano na pytania w rodzaju, czy pan S. może udać się w długą podróż lub czy pani J. może bezpiecznie odbyć swą roczną pielgrzymkę z Florydy do Wisconsin i czy są jakieś złe prognozy związane z transportem cylindrów z cyjankiem do autoryzowanego magazynu w Atlantic Trench. Tysiące ludzi poddało się testom pozwalającym stwierdzić, czy są posiadaczami użytecznych Talentów, czy też nie.

- To nie wróży niczego dobrego - rzekł Henry, odpoczywając z Molly po kolejnym dniu odpowiadania na pilne telefony.

- Też tak sędzę - zgodziła się, padając na głęboki fotel w ich prywatnym apartamencie w głównym budynku posiadłości. - Szkoda, że nie mamy więcej „gęsich jaj” lub jakiegoś pewniejszego sposobu wyławiania Talentów.

- Znalazłaś kogoś dzisiaj? - spytał, nalewając jej solidnego drinka.

- Tak - rozpromieniła się, jakby nagle sobie o tym przypomniała. - Jednego silnie odbierającego telepatę wśród czterdziestu pięciu testowanych. - Wzięła drinka i zamilkła na chwilę, przyglądając się bursztynowemu płynowi w szklance. - Henry, oni przychodzą tak pełni nadziei, a potem niektórzy są bardzo rozczarowani i źli. Jakby mieli do nas pretensje, że nie wykryliśmy czegoś, co przecież istnieje.

- To nie twoja wina, kochanie. Każdy chciałby być w jakiś sposób niezwykły, inny niż pozostali, i nie uświadamia sobie, że taki stan wiąże się nie tylko z przywilejami, ale i z wielką odpowiedzialnością. Nic na to nie poradzisz. Jak dobry jest ten telepata?

Molly znów się rozpromieniła.

- Myślę, że bardzo dobry, ale dotąd się blokował, tak jak oni wszyscy. Ze strachu. Chyba potrzebuje treningu.

- Wcale nie, już jest znakomity - powiedział Henry, przysuwając fotel bliżej Molly i ujmując ją za rękę. - Młody facet, prawda? Walijskiego pochodzenia? Z walijskim nazwiskiem?

- Przecież dopiero co przesłałam sprawozdanie - zaczęła Molly, zaskoczona. Urwała w pół zdania, napotkawszy spojrzenie Henry'ego. - Wiedziałaś o nim?

- Pojawiają się zgodnie z planem. - Henry uśmiechnął się szeroko, lecz w jego oczach czaił się cień smutku.

- Nie myśl o tym, kochanie. - Mocno ścisnęła dłoń męża. Wiedziała, jaki ciężar dźwigał na swych barkach. Wśród wydarzeń, które trafnie przewidywał, były i takie, o których wolałby nie wiedzieć. - Oczywiście masz rację. - Starła się nadać swemu głosowi zwykle brzmienie, jakby mówili o rzeczach niezbyt ważnych. - To Walińczyk. Nazywa się Daffyd op Owen. Całkiem przyjemny. Czy on jest ważny?

Henry potakująco skinął głową.

- Nie będzie potrzebował pełnego szkolenia. Wystarczy parę wskazówek i kilka tygodni pobytu tutaj, żeby wyciszyć „szumy” i nauczyć go nie tylko odbierać, ale i nadawać.

- A więc tym razem się udało. - Wykonała parę ruchów ramionami, aby rozluźnić mięśnie, lecz to, co usłyszała o op Owenie, bardziej ją zrelaksowało niż owa uproszczona gimnastyka.

- Kiedy się tu wprowadzi?

- Ty nie wiesz? - Miała ochotę podroczyć się troszkę.

- Wolałbym nie wiedzieć tego, co wiem. Jednak niektóre szczegóły mi umykają.

Uśmiechnęła się.

- Chodzi o to, że nie wiesz, czy uda się nam utrzymać Beechwoods?

Kiedy potwierdził ruchem głowy, nie przestała uśmiechać się kpiąco.

- A jak często zdarzyło ci się pomylić choćby w najmniejszym detalu?

- Nie chodzi o to, jak często się mylę, kotku, chodzi o to, czy nie popełnię błędu teraz, w konkretnej sprawie. W tym krytycznym momencie. To straszny dar, kochanie. Kiedy wiesz, że stracisz przyjaciela, trudno się z tym pogodzić.

- Henry, przecież twoje uznanie oraz sprzeciw, jaki budzi w Hennerze Centrum - szerokim gestem objęła całą posiadłość - trzymając go przy życiu, i to w niezłej formie. - Nie odrywała oczu od twarzy męża, starając się dodać mu otuchy spojrzeniem, słowem i dotykiem. - Jest zdecydowany zrobić wszystko, żeby cię stąd wykurzyć. Ta determinacja dodaje mu sił. Dobrze o tym wiem, Henry, widziałam wyniki jego badań. W sumie wyświadczyłeś mi wielką przysługę i on zdaje sobie z tego sprawę. Byłabym zaskoczona, gdyby nie zapisał Beechwoods Centrum.

- Nie zrobił tego. Widziałem jego testament.

Molly już otwierała usta, żeby coś dodać, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- No, dobrze - ciągnął Henry, widząc figlarne ogniki w jej oczach - więc może w tajemnicy napisał inny. Nie. Założyliśmy się przecież i...

- Wiem, o co chodzi: ten, kto wygra zakład, straci przyjaciela.

- Szeroko widzę przyszłość ludzkości, ale nie zawsze jestem w stanie dostrzec śmierć wróbla.

- Więc ten młody op Owen będzie twoim następcą? - Tego ranka George Henner był bardzo dociekliwy.

- Tak, ale, oczywiście, to jeszcze trochę potrwa.

- I wszystko dokładnie przewidziałeś?

- Najważniejsze sprawy...

- Ha! Sądziłem, że te rozwiązałeś na samym początku.

- Ależ oczywiście, przyjacielu. - Śmiech Henry'ego nie był zbyt szczery. - Chociaż do mnie należały najłatwiejsze sprawy. Naprawdę. Założenie naszego Centrum, a z czasem i innych w strategicznych punktach świata, jest tylko początkiem. I to nie najtrudniejszym. Kiedy udało się nam w naukowy sposób udokumentować zdolności Utalentowanych, wystarczyło jedynie znaleźć jakieś ramy organizacyjne dla ruchu, tak abyśmy stali się samowystarczalni i niezależni. Uchroniliśmy się przed zakusami rządu - który chciał zrobić z nas swoją agendę - tylko dlatego, że jako organizacja prywatna możemy działać skuteczniej. Wyobrażasz sobie, jaką wrzawę podnieśliby podatnicy na wieść, że z ich pieniędzy jest utrzymywana banda wrózek? Od czasu kiedy udowodniliśmy, że Talent istnieje naprawdę, finanse przestały być problemem. Teraz stoimy wobec długofalowego programu szkoleniowego. Musimy

dopracować się skuteczniejszych technik rozpoznawania i szkolenia Utalentowanych, a to nas bardzo absorbuje. Samo przekonanie sfer przemysłowych i rządowych, żeby zaakceptowały naszych pracowników, było pestką, zważywszy, co oni mają do zaoferowania.

- Henry westchnął głęboko. - Podejrzliwość opinii publicznej można wyciszyć jedynie za pomocą dyskretnej akcji promocyjnej. Prędzej czy później ludzie przyzwyczają się do istnienia Utalentowanych.

Mimo wszystko, George, nasze największe problemy są jeszcze przed nami. Najbardziej skomplikowanym jest ustanowienie ochrony prawnej Utalentowanych. Bez niej wszystko, co tak starannie budowaliśmy, może zostać zmiecione przez nawał pozwów, odszkodowań i procesów sądowych - szczególnie tych przeciw jasnowidzom. Wiem, że w końcu to osiągniemy, ale jestem chciwy: chcę, żeby to nastąpiło jak najprędzej. Właśnie dlatego taki telepata, jak Dai op Owen będzie potrzebny na stanowisku dyrektora. Lepiej wyczuwa bieżące sytuacje. Mój Boże, ileż to razy żałowałem, że nie jestem telepatą!

George zachnął się.

- Na pewno łatwiej poradzi sobie ktoś, kto czyta w ludzkich myślach, niż ktoś, kto widzi przyszłość - przekonywał Henry.

- No cóż. - Blask na chwilę opuścił podkrążone oczy George'a Hennera. - Zostały ci trzy dni, cztery godziny i pięć minut na rozwiązanie tego problemu.

- Nie - odpowiedział łagodnie Henry - nie, stary przyjacielu. To tobie zostały trzy dni, cztery godziny i pięć minut. Będzie mi ciebie brakowało.

- Wspaniale! Widzisz jakieś nowe ślady rozkładu?

Henry zaprzeczył ruchem głowy i powtórzył.

- Naprawdę będę za tobą tęsknił, łajdaku.

- Czyżby? Nawet wtedy, gdy zrujnuję twoją przepowiednię, przez co ty i twoi Utalentowani zostaniecie z powrotem wyrzuceni do świata wiecznego zgiełku?

Henry powstrzymał śmiech.

- Jeśli tak, to dlaczego jeszcze żyjesz? Przecież mogłeś umrzeć już dawno temu.

George był wściekły.

- Chcę, żebyś się trochę podenerwował, panie Darrow. Denerwował, męczył, umierał po kawałku.

- I dziwisz się, że chcę telepaty jako dyrektora? - Henry chwycił George'a za ramiona i uściśnął. - Udawaj mojego wroga, jeśli ci to sprawia przyjemność, jeżeli złość powoduje, że krew szybciej krąży ci w żyłach. I tak wiem, że jesteś bardziej przyjacielem niż przeciwnikiem. Ty zresztą też to wiesz.

- Boisz się! Martwisz się, czy tym razem rzeczywiście się nie pomyliłeś. Osobiście sędzę, że popełniłeś błąd! Udowodnię to, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Henry przechylił głowę, przyglądając się George'owi z ironią.

- Może nawet ci się to udać, łotrze. Nigdy nie twierdziłem, że jestem nieomylny. Poza tym podałem ci dokładny czas, a wiadomo, że znajomość przyszłości może wpłynąć na jej zmianę.

- Tłumaczysz się! - Henner wcale nie krył radości. - Przyznajesz się do porażki! Wspaniale!

- Czy poprawi ci to humor na resztę dnia, George? Świetnie! Teraz znów muszę się zająć tym facetem z urzędu skarbowego. Na razie.

- Nie trać na niego czasu. To głupek. Nie ma sposobu na ściągnięcie podatku od Utalentowanych przy strukturze, którą ja pomogłem ci zbudować. I nie spóźnij się na przyjęcie! Na przyjęcie ze śmiercią w głównej roli!

- Na litość boską, Hank - skarżył się Gus Molnar Darrowowi - on zmusza mnie do badań niemal co godzinę każdego dnia. Potem nalega na „niezależną opinię medyczną”. - Molnar nerwowo przeczesał palcami swą długą blond czuprynę. W jego spojrzeniu gniew mieszał się z lękiem. - Przyczepił się też do Molly. Nie chce jej od siebie puścić. Mówi, że dotyk jej dłoni jest w stanie pomóc mu wygrać. Henry, daj mu tę minutę, na której tak mu zależy. Dłużej z nim nie wytrzymam!

- Spokojnie, Gus. Właśnie to trzyma go przy życiu. - Henry roześmiał się i wygładził marynarkę oraz krawat.

Gus nie wydawał się przekonany.

- Skąd ta pewność?

- Nie mam żadnej pewności. Niestety.

- Niestety? Kiedy przyszłość całego Centrum zależy od mięśnia sercowego jednego szurniętego faceta?

- Zadbalem o to, zebyśmy dostali swoje. Żałuję, że ma to się odbyć kosztem życia starego i cennego przyjaciela. Mógłbym nawet żałować, że nie przeżyje ani minuty dłużej, niż to przewidziane.

- Co mi tu mówisz o minutach! Facet ma ogromny budzik, nastawiony co do sekundy zgodnie z czasem Greenwich!

- Daj spokój, Gus. Idziemy. Trzeba mu umilić ostatnie chwile.

- Mój Boże, Darrow, jak ty to robisz?

Goście zaproszeni na przyjęcie powoli gromadzili się w obszernym salonie Beechwoods. George starannie dobierał garstkę wybrańców, których obecności życzył sobie „przy łożu śmierci”.

Jak sam kiedyś stwierdził, udało mu się przeżyć większość rówieśników, a ta trójka, która była w stanie się dziś stawić, to bardziej wrogowie niż przyjaciele. George zawsze żartował, że przeciwnicy w interesach mają prawo obserwować śmierć konkurenta. Uparł się, że będzie ubrany w zniszczony mundur polowy z czasów wojny w Wietnamie, twierdząc, że jeżeli wówczas zdołał przechytrzyć Najwyższego, to i teraz nie znajdzie lepszego stroju. Młody Daffyd op Owen był również obecny. Tak samo Mailer, szef Biura ds. Utrzymania Prawa i Porządku, który starał się nie okazywać zdenerwowania, gubernator Lawson, paru senatorów, przedstawiciele czterech organizacji charytatywnych (prawdopodobnie będących beneficjentami testamentu Hennera) oraz czterech lekarzy losowo wybranych z listy Izby Lekarskiej przez samego George'a i z tej okazji specjalnie przywiezionych na Jerhattan. W ten sposób George usiłował rozwiać wszelkie medyczne wątpliwości. Dając próbkę czarnego humoru, zarządził, aby sekcję jego zwłok wykonano natychmiast po stwierdzeniu zgonu, choć zastrzegał się przy tym, że nie jest to bynajmniej wyraz jego nieufności do Utalentowanych.

W sumie trudno było oczekiwać, aby przyjęcie toczyło się w wesołej atmosferze, mimo obfitości trunków i egzotycznych dań w bufecie. George jadł niewiele, pił powoli. Narzekał, że wszystko, co jadł ostatnio, traciło dla niego smak i wywoływało zgagę. Konwersacje prowadzono grobowym tonem i kończono z wdzięcznością. Rozlegający się od czasu do czasu śmiech był natychmiast tłumiony. Jedyne Henry Darrow starał się zachować naturalny wygląd, choć nieustannie pocierał kciuk i palec wskazujący, dzięki czemu Molly wiedziała, że jest bardzo zdenerwowany. Nie ośmieliła się jednak zbliżyć do niego, gdyż odczuwała nie mniejsze

napięciu. Osobą, która cierpiała najbardziej, był młody Daffyd op Owen. Polubiła tego wrażliwego młodzieńca i wolałaby, żeby nie musiał uczestniczyć w tej uroczystości. Nie miał dość czasu, aby nauczyć się właściwie korzystać z dostępnych mu osłon, zwłaszcza w tak nacechowanej emocjonalnie sytuacji jak obecna. Daffyd pocił się wyraźnie, kiedy udawał, że czuje się dobrze w tym otoczeniu; rozmawiał z inną młodą Utalentowaną - Marą Canning, jasnowidzką.

Im bardziej zbliżała się wyznaczona godzina, tym bardziej znikало poczucie normalności w tej niezwykłej sytuacji. Nikt nie spuszczał oka z zegara i George'a Hennera.

- Przecież macie się dobrze bawić - narzekał Henner, kiedy przez sześćdziesiąt cztery sekundy nikt nie odezwał się ani słowem. - Moja śmierć znaczy, że wszyscy tu obecni zostaną szczerze nagrodzeni. - Wskazał palcem na Henry'ego. - Powiedz mi, Hank, jeśli przegrasz zakład, gdzie się podziejecie? - Roześmiał się bez entuzjazmu. - Ja sam oraz moi egzekutorzy spodziewamy się, że opuścicie tę posiadłość natychmiast.

- Tak też się stanie. Zgromadziłem wszystkich telekinetyków, jakich mam do dyspozycji, nie licząc gromady dobrze umięśnionych chłopów. Powiedziano mi, że jesteśmy w stanie wyprowadzić się stąd w niecałą godzinę. Chyba dasz nam tyle czasu?

Henner mruknął coś z zadowoleniem i spytał, gdzie będzie się znajdowała nowa siedziba Centrum.

- Jakieś siedemdziesiąt mil od miasta: lasy, małe jezioro, sielski krajobraz. Jediną wadą jest odległość, którą trzeba codziennie pokonywać. Sam wiesz najlepiej, jak trudno przebić się przez poranny natłok helikopterów, a Utalentowani muszą być w pracy punktualnie, bez względu na warunki.

Fotel Hennera podłączono do urządzeń kontrolujących wszystkie życiowe systemy pacjenta, a ich odczyty wyświetlano na monitorze widocznym z każdego zakątka pomieszczenia. George od czasu do czasu rzucał na nie okiem.

- Wszystko działa jak należy? - zapytał najbliżej stojącego medyka, który twierdząco kiwnął głową. - Za trzy minuty zaczynamy odliczanie, prawda, Henry?

- George, pozwól sobie przypomnieć, że takie podniecanie się nie służy twojemu zdrowiu.

- Podniecenie mi nie służy? Niech cię szlag, Darrow. Tylko to trzymało mnie przy życiu przez ostatnie miesiące. Twój upór trzymał mnie przy życiu. I te twoje cholerne oczy.

- Moje oczy - roześmiał się Darrow. - O to właśnie chodziło, a teraz przyznajesz się do tego w obecności niezależnych świadków.

Henner zacisnął swe blade wargi, z wściekłością rozglądając się po tłumie zgromadzonych gości; wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi swego wroga, szukał ofiary, na której mógłby wyładować frustrację. Jego rozbiegane oczy zatrzymały się przez chwilę na Molly.

- Kiedy będziecie się stąd wynosić, na pewno nie uda się wam zrealizować planów na czas, co?

- Może nie w tej dekadzie. Nowe miejsce będzie zbyt odległe, żeby ewentualne Talenty zgłosiły się do nas na czas. W ostateczności możemy postarać się o ruchome laboratoria, o ile uda nam się znaleźć odpowiedni personel. Problem w tym, że te laboratoria muszą być specjalnie zaprojektowane, a to potrwa.

- Tak, tak, mówiłeś mi o tym. - George wiercił się na fotelu, szukając zarówno wygodniejszej pozycji, jak i nowej ofiary. Co do tego ostatniego nie powiodło mu się jednak, dlatego ponownie zwrócił się do Henry'ego. - Jeszcze pożałujesz, że tak długo utrzymywałeś mnie przy życiu. Dokładnie za dwie minuty i cztery sekundy...

- Nie, George. Niczego nie żałuję oprócz tego, że nie będziesz już z nami.

- Nigdy w to nie uwierzę!

- Przecież możesz! - Molly nie wytrzymała rosnącego napięcia.

- Molly!

Było coś takiego w jego głosie, co zmusiło ją do podejścia do fotela. Instynktownie sięgnęła po dłonie George'a, by ująć je w swoje. Odchylił się jednak, podejrzliwy nawet wobec niej. Odruchowo podniosła dłonie do ust, tak bardzo ją to zraniło.

- Niech cię diabli, George, przecież ona chce ci tylko pomóc! - zawołał Henry, najwyraźniej wytrącony z równowagi.

- Pomóc mi? W czym? Przeżyć czy umrzeć?

Molly z płaczem odwróciła się do ściany. Henry wziął żonę w ramiona.

- Molly nie zasłużyła sobie na takie traktowanie z twojej strony, George. To ze mną się założyłeś!

- On nie chciał, żeby tak wyszło, Henry - odezwał się młody op Owen tak ostro, jakby uznał, że milczał już zbyt długo.

Henner przytaknął ruchem głowy i oblał się rumieńcem, który, jak później wyjaśnił jasnowidz, wyrażał jego żal. Lecz właśnie wtedy monitory zaczęły wysyłać sygnały ostrzegawcze.

- Do diabła, Molly - zaczął Henner zdławionym głosem. - To wcale nie znaczy, że ci nie ufam. - W tym momencie rozległ się dzwonek alarmu. - Ha! Wyznaczona chwila, a ja jeszcze żyję! Myliłeś się, panie Darrow. Ty i te twoje czary...

Dokładnie trzydzieści sekund po dwudziestej pierwszej serce George'a Hennera uderzyło po raz ostatni i zatrzymało się. Kamery wycelowane w pacjenta zanotowały, że w tym ostatnim momencie jego ręka uniosła się nieco w kierunku Henry'ego i Molly, zanim opadła bezwładnie razem z resztą ciała.

Mimo swego doświadczenia w obcowaniu ze zwłokami lekarze znieruchomieli na kilka chwil, oszołomieni niezwyklejmi okolicznościami. Gus Molnar zareagował pierwszy, sięgając po strzykawkę z adrenaliną.

- Nie! - zawołał Dai op Owen, występując naprzód z wyciągniętą ręką. - On chce umrzeć. Wcale nie chce wygrać tego zakładu.

- Mój Boże! - krzyknął jeden z lekarzy, wskazując na ekran. - Spójrzcie na „gęsie jajo” - oszalało! Umysł ciągle żyje. Na miłość boską, spójrzcie na wykres.

- Dajcie mu odejść w spokoju. Nie pragnie niczego więcej - powtórzył Daffyd op Owen.

Molnar spojrział najpierw na Henry'ego, którego twarz nie odzwierciedlała żadnych emocji, potem na drugiego lekarza zapatrzonego w ekran.

- To oznacza, że mózg umarł, czyż nie? - dopytywał się komisarz Mailer, pokazując proste linie kreślone przez encefalograf.

Dwaj lekarze skinęli twierdząco głowami.

- A więc on umarł - stwierdził Mailer, spoglądając w stronę gubernatora, który skinieniem poparł jego obserwacje. - Byłbym skłonny uznać, że wygrał pan zakład, panie Darrow.

- Zakład dotyczył minuty, a nie sekundy, prawda? - dopytywał się jeden z senatorów.

- Nie powinien był tak się podniecać - odezwał się któryś z lekarzy.
- To przyjęcie było pomyłką. Oczywiście nikt nie konsultował tego z

nami. W takich okolicznościach musiało dojść do nadmiernego pobudzenia, co przy jego stanie doprowadziło do zgonu.

- Nie można też wykluczyć efektu voodoo - dodał z ożywieniem inny lekarz. - Wystarczy powtarzać pacjentowi, że umrze w określonym czasie, a zdominowany przez podświadomość dostosuje się do naszych życzeń.

- Nie w tym przypadku - odezwał się donośnym głosem Gus Molnar. - Mam na to wiele dowodów medycznych, włącznie z pańską ostatnią uwagą - dodał, wskazując palcem zwolennika czarów. - Zakład, o którym mowa, sprawił, że George Henner żył dłużej, niż było mu pisane zgodnie z aktualną wiedzą medyczną. Zakład nie przyspieszył jego śmierci, przeciwnie, przedłużył mu życie.

Nikt jakoś nie kwapił się, aby obalić tę tezę.

- O ile wiem, sekcja zwłok ma nastąpić natychmiast - odezwał się jeden z obecnych prawników.

Jakby na wezwanie w salonie pojawiło się dwóch pielęgniarzy ze stołem na kółkach. Bezszelestnie zbliżyli się do fotela, nie zatrzymywani przez nikogo z obecnych. Grobowa cisza towarzyszyła złożeniu zwłok na wózku, jednak kiedy mężczyźni zbierali się do wyjścia, Molly wyrwała się z objęć Henry'ego. Delikatnym ruchem zamknęła powieki zmarłego. Łzy spływały jej strumieniami po policzkach, gdy pocałowała go w czoło. Wózek wyjechał z pokoju. Nikt się nie odezwał, dopóki słychać było odgłos oddalających się kroków.

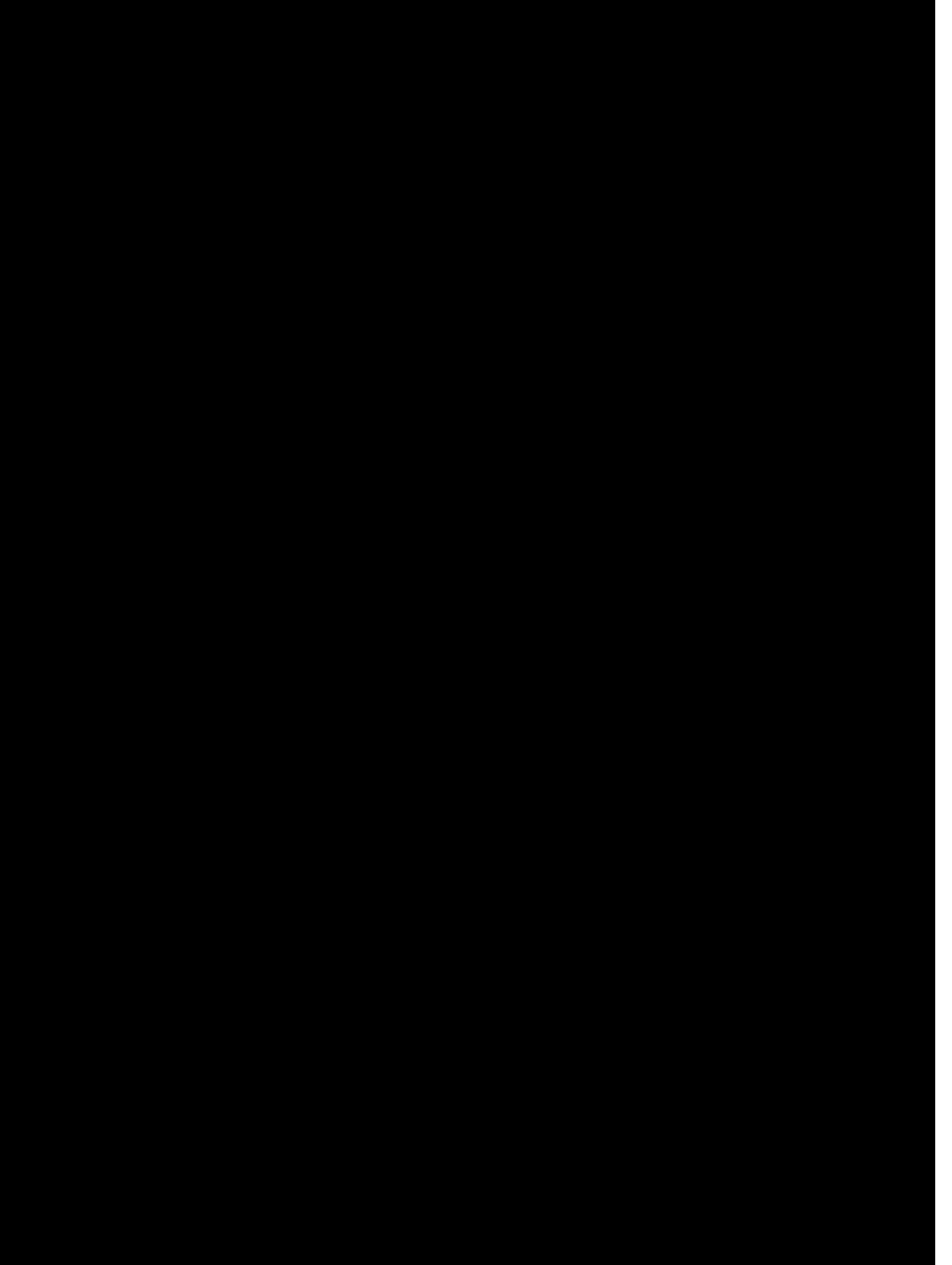
- Panie Darrow. - Głos prawnika zabrzmiał nienaturalnie głośno. - Zostałem zobowiązany przez pana Hennera do złożenia paru oświadczeń właśnie teraz, a nie, jak jest w zwyczaju, za siedem dni. Miałem panu przekazać, że wbrew temu, co otwarcie wyrażał, był to jedyny zakład, jakiego nie chciał wygrać, i miał nadzieję, że to mu się uda. Powiedział, że ma pan w sobie dość sportowego ducha, by zrozumieć, że musiał, choćby wbrew swojej woli, spróbować pana pokonać. - Teraz adwokat zwrócił się do lekarza, który podniósł sprawę voodoo: - Nakazał mi również przeciwstawić się stanowczo wszelkim próbom wniesienia oskarżeń, wynikających z niezrozumienia powodów dzisiejszej smutnej uroczystości. Upoważnił mnie do oświadczenia, że darzył głębokim zaufaniem wszystkich bez wyjątku członków Centrum Parapsychologii, nie wątpiąc nigdy w ich uczciwość. My - gestem wskazał swoich kolegów po fachu - mamy

być egzekutorami masy spadkowej Hennera, której większość, z wyjątkiem paru zapisów i posiadłości stanowiących odtąd wyłączną własność Północnoamerykańskiego Centrum Parapsychologii, przechodzi pod zarząd Funduszu Powierniczego; będzie wykorzystana w celu niesienia pomocy prawnej każdej osobie zarejestrowanej w Centrum, której groziłoby więzienie lub jakikolwiek inny wyrok za profesjonalne wykorzystywanie swego Talentu, dopóki Utalentowani nie uzyskają ochrony prawnej. - Adwokat uśmiechnął się do Henry'ego. - Pan Henner powiedział, cytując: „Kiedy się ujeżdża skrzydlatego konia, dobrze mieć pod sobą szeroką siatkę bezpieczeństwa. A do tego trzeba pieniędzy”. Powiedział też, że po jego śmierci - głos adwokata zadrżał nieco - przyjęcie ma się dopiero rozpocząć. To ma być naprawdę wesółą zabawą.

- On był zadowolony - odezwał się Daffyd op Owen. - To coś niesamowitego. Jego umysł, jego myśli - on był szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy w chwili śmierci. Mówię wam, wiem, że był szczęśliwy.

- Dzięki Bogu - powiedział Henry żarliwie i uniósł kieliszek z dotąd nienaruszonym drinkiem. - Panie, panowie: toast. - Kieliszki posłusznie wzniosły się w powietrze. - Za tych, co jeżdżą na skrzydlatym koniu!

Jeden po drugim kieliszki lądowały w kominku Beechwoods, aby przypieczętować hołd oddany pamięci George'a Hennera.



- Gdybyś tylko był ociupinkę mniej honorowy, Daffydzio op Owenie - krzyknął Joel Andres zapalczywie - ty i całe to Centrum mielibyście już święty spokój!

Zapalczywy senator należał do tej kategorii energicznych, niestrudzonych ludzi, którzy nawet gdy siedzą nieruchomo, stwarzają wrażenie ruchu. W tej właśnie chwili Joel Andres zastygł - ze złości. Sprawca jego frustracji, Daffyd op Owen, dyrektor Wschodnioamerykańskiego Centrum Badań i Szkolenia Parapsychologicznego, był antytezą senatora zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym. Jednak obaj mężczyźni odznaczyli się tą samą trudną do zdefiniowania siłą i poczuciem misji - cechami, które odróżniały ich od ludzi mniejszego formatu.

- Nie zdobędę poparcia dla mojej ustawy - ciągnął Andres, próbując innej argumentacji i przemierzając wielkimi krokami grubą, zieloną wykładzinę w biurze Owena - jeśli nieustannie będziesz grał po stronie Mansfielda Zeusmana przez swój nieracjonalny przymus mówienia mi wszystkiego, co wiesz. Choćby dlatego, że to, co ty „wiesz”, nie jest ogólnie akceptowane jako rzeczywista „wiedza”. I nie mów mi, że poufałość rodzi pogardę, Dave. Ludzie bez Talentu nigdy nie będą mieli w pogardzie zdolności psychicznych, za to stale będą przerażeni. W ludzkiej naturze leży lęk i nieufność wobec wszystkiego, co odmienne. Zresztą - Andres szeroko rozłożył ręce - dość się nastudiowałeś psychologii behawioralnej, żeby zrozumieć ten podstawowy fakt.

- Mój Talent pozwala mi zajrzeć głębiej niż powierzchowny racjonalizm i odsłonić...

- Ale nie jesteś w stanie czytać w myślach każdego, kto będzie musiał poprzeć tę ustawę w głosowaniu, Dave. Nie jesteś też w stanie zmienić ich przekonań. Nie z twoim sposobem rozumowania i etyką! - Joel wypowiedział te słowa niemal szyderczym tonem, oskarżycielsko kierując żółty od nikotyny palec na przyjaciela. - I nie próbuj wciskać mi głupot, że twórcy prawa są inteligentnymi, wrażliwymi ludźmi!

Op Owen uśmiechał się pobłaźliwie, wyraźnie nie poruszony histerycznym atakiem młodszego kolegi.

- Nie są? A co powiesz na cytaty z Pope'a, który senator Zeusman tak zręcznie wykorzystał przeciw nam?

Andresa najpierw zatkało dokumentnie, potem dostrzegł figlarny błysk w oku Owena i roześmiał się.

- Tak, tym razem mu się udało.

Głębokim basem zaczął przedrzeźniać Mansfielda Zeusmana:

- Któż równo dostrzec może, niczym Bóg wszechmocny, Herosa klęskę i wróbla upadek...

- Boże, jakie to efektowne! Dlaczego sam o tym pierwszy nie pomyślałem? Chyba widzisz - Andres znów był śmiertelnie poważny - że ten cytat jest genialny: dla opozycji. Tępi nam parę zębów. Ironią jest to, że mógłby stać się równie przydatny dla nas, gdybyśmy pierwsi z niego skorzystali. Dave, nie zastanowiłbyś się jeszcze raz nad tym, żeby wyłączyć jasnowidzów spod ustawowej ochrony? Komisja nie może ich zaakceptować. Jestem pewien, że sprawa poszłaby do przodu, gdyby...

- Ochrona prawna jest przede wszystkim potrzebna naszym jasnowidzom - przerwał mu Owen z niespotykaną u niego gwałtownością.

- Przecież wiem, wiem. - Andres uniósł ręce ku górze z rezygnacją.

- Ale właśnie ta dziedzina parapsychologii najbardziej ludzi przeraża i fascynuje jednocześnie.

- I dlatego upieram się, żebyśmy byli jak najbardziej szczerzy co do wszystkich rodzajów zdolności postrzegania pozazmysłowego. Tylko wówczas ludzie przyzwyczajają się do nich, zaczną je rozróżniać i traktować jak inne zdolności. Henry Darrow miał rację w tej sprawie.

Joel Andres opadł na fotel za biurkiem, zaciskając dłonie na krawędzi blatu.

- Bez względu na to, co sądzi prorok Darrow, nie mówi się wszystkiego przestraszonym, podejrzliwym ludziom. Oni automatycznie zakładają, że coś się przed nimi ukrywa, bo sami tak by zrobili. Nikt już nie jest na tyle odważny, żeby być całkowicie szczerym. Dlatego wszyscy są przekonani, iż to, co przed nimi ukrywasz, jest dużo gorsze od tego, do czego się przyznajesz. - Dostrzegł nieugięte spojrzenie Daffyda i niespodziewanie skapitulował. - No dobrze już, dobrze. Ale nalegam, żebyśmy stale

podkreślali, co pozostali Utalentowani potrafią robić w swoich wąsko wyspecjalizowanych dziedzinach. Kiedy ludzie przyzwyczajają się do myśli, że indywidualni Utalentowani podlegają jednak ograniczeniom, że żaden z nich nie jest jednocześnie zdolny do czytania w myślach i przerzucania ciężarów, że nie jest strażakiem, jasnowidzem i wszystkim naraz, wtedy zaczną ich traktować tak, jak tego pragniesz: jako profesjonalistów wyszkolonych w jednym zawodzie, którym z tego powodu należy się ochrona prawna, o ile mają licencję i są zarejestrowani w Centrach. Nie mów im - uniósł rękę, widząc, że Daffyd mu ochotę przerwać potok jego słów - że prowadzicie eksperymenty nad poszerzeniem zakresu działalności każdego utalentowanego umysłu! Dave, nie można domagać się od razu całej kromki chleba, i to z masłem i szynką! Tego nie i dostaniesz, ale dostaniesz immunitet dla tych, którzy pracują w ramach swej specjalności, nawet dla jasnowidzów. Będę opierał się na naukowych potwierdzeniach autentyczności przepowiedni. - Andres wstał znów i zaczął przemierzać niewielki skrawek przestrzeni przed biurkiem Owena. Pochylił głowę i gestami podkreślał znaczenie wypowiedzianych słów. - Również na korzystaniu z komputerów do korelowania danych i szacowania stopnia ich prawdopodobieństwa, na tym, że czasami dwóch lub więcej jasnowidzów ma tę samą wizję, lecz patrzy na wydarzenie z różnych punktów. I, najważniejsze, na tym, że Centrum nigdy nie wysła ostrzeżenia bez potwierdzenia z komputera, iż zachodzi istotna zbieżność danych między wizją a opisywaną rzeczywistością.

- Nie zapomnij dodać, że uznajemy omyłność człowieka i korzystamy z komputerów, żeby ograniczyć błędy ludzi.

Joel skrzywił się na wtřęć Owena.

- Potem wykażę na przykładach, w jaki sposób przepowiednia zapobiegła poważnym katastrofom lub ograniczyła ich skutki. Trzęsienie ziemi w Monterey idealnie się do tego nadaje. Nie zginęli żadni herosi, a i wróbla upadło niewiele.

- Sądziłem, że właśnie mieszanie się do upadku wróbelków spędza sen z oczu senatora Zeusmana - zauważył kwaśno Daffyd. - Z pożądaniami nasion zboże nie skiełkuje...

- Tak, masz rację! - Andres znów naśladował głos Zeusmana. - Co będzie, to będzie.

- Skoro to on pierwszy ruszył Pope'a - stwierdził op Owen - mogę mu odpowiedzieć: „cokolwiek jest, ma do tego prawo”. Pope powiedział też: „Bądźcie szczerzy, gdzie to możliwe, lecz usprawiedliwiajcie działanie Boga względem ludzi!”

Spokojnie wypowiedziany cytat wywarł natychmiastowy skutek, niczym płomień zapalniczki przytknięty do jednosekundowego lontu. Bliski wybuchu Andres gwałtownie zamknął usta, podniósł oczy ku niebu i westchnął donośnie.

- Daffydzie op Owenie, naprawdę trudno pomóc komuś takiemu jak ty!

- Tylko dlatego, że zdaję sobie sprawę, jak ostrożnie musimy formułować tekst tej ustawy, Joel. Nie chcę, żeby obróciła się przeciw nam kiedyś, kiedy wyniki prowadzonych obecnie badań staną się widoczne. Utalentowani nie mogą być skrepowani przestarzałymi przepisami, niedoskonałymi, bo kompromisowymi.

- Dave, chciałbyś biegać, zanim nauczysz się chodzić?

- Nie, ale takie problemy były już przepowiadane.

- Znow ten Darrow, co? A może dałeś się złapać we własne sidła? - Joel triumfalnie poruszał palcem. - Przewidywanie problemów bez uwzględnienia zmieniającej się sytuacji. Idź, do jasnowidza po uchwaleniu tej ustawy.

- Świetnie - David przedrzeźniał zacierzewionego Joela. - Tylko, że jej jeszcze nie widzę!

To zamknęło Andresowi usta.

- Oczywiście, że jesteśmy uwikłani we własne sidła - ciągnął telepata z nutką rezygnacji w głosie - ponieważ, niestety, nasze metody zapobiegawcze rzeczywiście wpływają na przyszłość, jak to przedstawił senator Zeusman w swym przemówieniu. To było wspaniałe wystąpienie - dodał z zazdrością - i prawdziwe. Przecież kiedy Centrum wysyła ostrzeżenie, dając ludziom szansę zapobieżenia tragedii, ci nie dopuszczają, by wizje jasnowidza się sprawdziły. W tym cały paradoks. A jednak nie ma sposobu, by normalny człowiek zaniechał działania, kiedy wie, że jest w stanie zapobiec jakiemuś nieszczęściu.

- Trzęsieniu ziemi w Monterey nie dało się zapobiec - przypomniał mu Joel i otworzył ze zdumienia oczy. - Chyba nic przede mną nie ukrywasz, co? Nie znaleźliście kinetyka na tyle silnego, żeby powstrzymał ruch płyt tektonicznych?

Śmiech Dave'a był naturalną reakcją na niepewność przyjaciela.

- Nie, nie. Przynajmniej jak dotąd - odrzekł Daffyd i znów zobaczył zdumienie na ruchliwej twarzy Joela.

Niewiele było osób, w których obecności Daffyd op Owen mógł się tak odprężyć, dawać upust swemu poczuciu humoru i posługiwać się metaforą.

- Mówiąc poważnie, Joel, trzęsienie ziemi w Monterey było spektakularnym wydarzeniem i wspaniałym przykładem wykorzystania Talentu do minimalizowania strat w ludziach i majątku. Nigdy dotąd aż tylu jasnowidzów nie miało takiej samej wizji, każdy zgodnie ze swymi predyspozycjami. To najbardziej konkretny dowód na to, że potrzebna im ochrona prawna. Czy wiesz, że zachodnie Centrum zostało zalane pozwami o odszkodowania za nieostrzeżenie o falach tsunami, które wystąpiły po trzęsieniu?

- Przecież to oczywiste, że musiały nastąpić.

- Ale my nie wysłaliśmy ostrzeżenia. Właśnie żeby powstrzymać takie nieracjonalne postawy, jasnowidze bardziej potrzebują ochrony prawnej niż inni Utalentowani. Ich zdolności są stymulowane przez tak nieuchwytnie spostrzeżenia, jak zapach w powietrzu poranka, przypadkowe spojrzenie na fotografię, brzmienie czyjegoś nazwiska. W pewnym sensie jasnowidztwo jest ogromnie nierzetelne, ponieważ nie można z niego korzystać tak świadomie jak z telepatii, teleportacji i telekinezy. Żeby chronić jasnowidza, a przy okazji i samo Centrum, nalegamy na komputerowe sprawdzanie wizji, kiedy tylko dysponujemy konkretnymi szczegółami. Nigdy nie wysyłamy publicznego ostrzeżenia, zanim komputer nie potwierdzi prawdopodobieństwa zdarzenia. Przeklina się nas, ponieważ mówi się, że wiedzieliśmy, a nic nie zrobiliśmy w jakichś konkretnych przypadkach. Oczywiście, część naszych jasnowidzów jest zatrudniona przez instytucje, w których może wykażą się swymi szczególnymi predyspozycjami. Na przykład - wyciągnął kasetę - ten młody człowiek, który właśnie złożył podanie o pozwolenie na rozwój rodziny, najlepiej wyłapuje pożary. To dzięki niemu miasto ma tak niskie stawki ubezpieczenia przeciw pożarom - coś, co bezpośrednio odczuwa każdy mieszkaniec.

- No tak, ale to zbyt mało efektowne, żeby trafiło do przekonania zwykłego obywatela - powiedział kwaśno Andres. Niecierpliwił się, słuchając kolejny raz wywodów na znany mu doskonale temat. - Ale

nawet najmniejsze szczegóły mogą się przydać, Dave. Do opinii publicznej bardzo przemawiają argumenty związane z portfelem.

- Ale ludzie się wściekają, kiedy próbujemy oszczędzać ich pieniądze; nie rozumieją, że właściwe ostrzeżenie automatycznie zmienia przyszłość i nie dochodzi do wydarzenia, które zabrałoby im pieniądze, czas i kosztowało wiele wysiłku. Widzą tylko, że nic się nie stało.

- I tu wracamy do punktu wyjścia - powiedział Joel z niesmakiem.

- Właśnie to Mansfield nazywa „mieszaniem” i z tego powodu czuje się zmuszony zwalczać projekt ustawy w myśl swych moralistycznych, neoreligijnych, pseudoetycznych racji. Pamiętaj, że wspiera go lobby transportowe, więc za każdym razem, gdy któryś z twoich jasnowidzów uderza w to bractwo, powodując opóźnienia, nagłe inspekcje, cały ten zgiełk, ty zaczynasz mieć problemy. Kiedy bowiem zapowiadane wydarzenia nie zachodzą, transportowcy gotowi są przysiąc, że wasze mieszanie jest zwykłym zawracaniem głowy, przesądem, że i tak nic by się nie stało.

Daffyd westchnął znużony.

- Ile razy udało nam się znaleźć bomby? Wycieki paliwa? Ile razy zapobiegliśmy porwaniom samolotów? Wykryliśmy zmęczenie materiału? A co z dowodami, że się nie myliliśmy?

- To nic nie znaczy, Dave, jeżeli bije towarzystwa przewozowe po kieszeni. Pamiętaj, że każdy jasnowidz sugeruje istnienie jakiegoś błędu, ludzkiego bądź mechanicznego, bo towarzystwa nie uznają przecież Przeznaczenia za siłę sprawczą. Każdy błąd powoduje utratę wiarygodności przewoźnika. Kiedy to uderza w zyski przedsiębiorstwa, przewoźnik się wścieka, wytacza jasnowidzowi proces o zniesławienie, popieranie nieuczciwej konkurencji i tak dalej...

- A więc mamy pozwolić, żeby pasażerowie się usmażyli bądź dali rozsmarować na drogach, ponieważ jasnowidz przewidział katastrofę, ale nie chciał obrazić przewoźnika? - Zwykle spokojny głos Owena drżał z gniewu. - Do diabła, Joel, musimy zachować bezstronność i ostrzegać wszystkich i każdego o wydarzeniach przewidzianych przez jasnowidza albo też zabawimy się we Wszechmogącego i sami będziemy decydować, o czym powiadamy zainteresowanych, a o czym nie. Nie obchodzi mnie, czy towarzystwa transportowe uznają za stosowne zignorować otrzymane informacje, to ich problem. Ale

chcę, żeby moi ludzie byli chronieni, kiedy w dobrej wierze i po komputerowej weryfikacji danych wysła ostrzeżenie. Dzięki spadkowi Darrowa i hojności naszych członków nie mamy w tym żadnego interesu materialnego, dlatego właśnie musimy zachować bezstronność.

- Mam tylko nadzieję, że twój altruizm nie przyczyni się do waszego upadku - powiedział Joel niezwykle poważnie.

- Nie przewidujemy, że coś takiego może się zdarzyć - zareplikował Daffyd z cieniem irytacji w głosie.

- Jesteś zbyt uczciwy, żeby stawić czoło nam, pokrętnym politykom - zakończył rozmowę Andres, uśmiechając się i spoglądając na zegarek. - No, czas na mnie.

- Pracujesz się, Joel. Nie wyglądasz najlepiej.

- Małe problemy z wątrobą, to wszystko. Żadnego wtykania nosa w nie swoje sprawy, Dave.

- Tylko za twoim pozwoleniem, przecież wiesz.

- Aha, a tak między nami: nie wierzę telepatom. Powiedz, jak wam idzie rekrutacja? - zadał to pytanie, sięgając po płaszcz i teczkę.

- Co tydzień mamy rzesze chętnych do badania - wyjaśnił dyrektor, odprowadzając senatora do windy. - Czasami udaje nam się wychwycić paru młodych, zanim jeszcze nauczą się tłumić swe najzupełniej normalne zdolności.

- To kolejne wyrażenie, o jakim powinieneś zapomnieć, gdy będziesz w pobliżu Zeusmana - stwierdził Joel. - On nie kupuje twierdzenia, że każdy z nas posiada Talent parapsychiczny.

- Ależ, Joel, to udowodnione naukowo. Wiemy, że ci obdarzeni Talentem mają silne, zdrowe dwudzieste pierwsze pary chromosomów. Dysponujemy dowodami, że kiedy ta para jest niewyraźna lub uszkodzona, działanie mózgu jest ograniczone. W przypadku zespołu Downa mamy do czynienia z upośledzeniem rozwoju.

- Mnie nie przekonuj. - Mina Joela miała świadczyć o jego niewinności. - Ja w to wierzę! - Położył dłoń na sercu. - Nie mógłbym wątpić, nie po tym, jak twój „odnajdywacz” zlokalizował mego brata w szybie kopalnianym, zanim biedak wykrwawił się na śmierć. Gdybyśmy zdołali dostarczyć podobnych przeżyć Mansfeldowi Zeusmanowi, straciłby nieco swego sceptycyzmu. Czy któryś z twoich Utalentowanych nie mógłby zadziałać w tym kierunku? Sądziłem, że

zawsze pilnują kontrowersyjnych postaci, aby zapobiec ewentualnym zamachom i różnym takim...

- Uważasz, że senator Zeusman honorowałby przepowiednię na temat własnej śmierci?

- No, raczej nie. Powiedz tylko, nie dostajecie nic z rządowego programu badań?

- Dzięki Bogu ani grosza. Mamy na to zapis Hennera. Dlaczego?

- Zeusman próbuje rozciągnąć swe argumenty przeciw ustawie na wszystkie, jak on to nazywa, pozorne projekty badawcze finansowane przez rząd. Jak wiesz, wiosna to czas zatwierdzania dotacji.

- Na szczęście nigdy nie musieliśmy się tym przejmować.

- Bardzo to dobrze świadczy o waszych zdolnościach - uśmiechnął się Joel.

Za jego plecami rozsunęły się drzwi windy i wypadła z niej niemal biegiem młoda kobieta, zderzając się z postawnym senatorem.

Przeprosiła go pospiesznie i zaczerwieniła się, kiedy przytrzymał ją, zapobiegając upadkowi. Otworzyła szerzej oczy na widok op Owena i zakryła dłonią usta.

- Strasznie przepraszam, proszę pana.

Gdy tylko Daffyd przypomniał sobie, że nazywa się Ruth Horvath, od razu wyczuł w niej mieszaninę poczucia wstydu, wynikłego z wtargnięcia do siedziby dostojnego szefa Utalentowanych, żalu, że dała się ponieść impulsowi, który zmusił ją do przyścia na wieżę o tej porze - oraz leżącej u podstaw wszystkiego nadziei. Daffyd wyciągnął rękę w łagodnym geście, ale przyjazne i pełne podziwu spojrzenie Joela Andresa wystarczyło, by uspokoić dziewczynę.

- Nic a nic się nie stało, zapewniam panią, panno...?

- Pani Horvath - senator Andres - przedstawił ich sobie Daffyd.

Z rozbawieniem obserwował zmianę na młodej twarzy przyjaciela: od pełnego zachwyty zainteresowania do pochlebnego rozczarowania.

- Jeszcze raz przepraszam, panie senatorze - powtórzyła Ruth i znów się zarumieniła.

- To ja przepraszam, że znalazłem się w złym miejscu o złym czasie, i to za późno. - Skłonił się głęboko i cofnął o krok, żeby zrobić jej przejście.

Jednak zamiast odejść, zaczęła wduszać przyciski windy.

- Mam przerwę śniadaniową - wyjaśniła, jękając się nieco. - Muszę wracać.

Drzwi znów się rozsunęły i Andres wszedł do windy za Ruth, wciskając przycisk STOP.

- Ja też - powiedział, uśmiechając się szeroko.

Daffyd nagle pojął cel jej wizyty i powód, dla którego nie chciała go omawiać w obecności Andresa.

- Twoje podanie jest już na moim biurku, Ruth. Zadzwoń jutro.

Jej twarz rozjaśniła się natychmiast, oczy zalśniły. Daffydowi wydawało się, że dostrzegł w nich łzę.

- Uważaj na siebie, Joel. Naprawdę pracujesz za dużo.

- To czysta przyjemność, zapewniam cię. - Śmiech Joela zagłuszyły zamykające się drzwi.

Daffyd op Owen przez chwilę stał na korytarzu, wpatrując się w migające cyferki nad wejściem do windy. Potem powoli wrócił do biura samotnie okupującego szczyt wieży. Miał wiele rzeczy do przemyślenia. Nie chodziło przy tym o odstępstwa od ustalonej linii działania - o tym w ogóle nie mogło być mowy. Silna wiara w słuszność obranej drogi dodawała mu sił niezbędnych do pokonania trudności, jakie wciąż piętrzyły się przed Utalentowanymi na całym świecie. Nie trzeba było daru przewidywania, żeby je dostrzegać. Przygotowywana ustawa powinna odegrać zasadniczą rolę w przeniesieniu Utalentowanych z kategorii „psychicznych kręgarzy” (tak określał ich senator Zeusman, jakby przypominając, że kręgarstwo stało się pełnoprawną dziedziną nauk medycznych) do klasy powszechnie uznawanych profesjonalistów. Mansfieldowi Zeusmanowi udawało się miesiącami przetrzymywać projekt w komisji; mógł też przetrzymać go tam przez całe lato i nie dopuścić do debaty nad nim w przyszłym roku. Senator ciągle miał nadzieję, że zdarzy się jakiś incydent, który na zawsze przekreśli szansę ustanowienia prawnej ochrony Utalentowanych.

Genialny cytat z Pope’a był miarą wartości przeciwnika, pomyślał jeszcze op Owen, zanim zabrał się do przeglądania stosu administracyjnych dokumentów czekających na biurku. Szkoda, że odpowiednio zastosowany cytat mógł znacznie wzmocnić argumentację Utalentowanych. Jeśli się nad tym zastanowić, sporu część *Eseju o człowieku* Pope’a nadawała się do tego celu.

Od razu przypomniały mu się odpowiednie wersy. Daffyd op Owen z pewnością nie mógł narzekać na swoją pamięć.

*Na sceptyka zanadto ufa w swym rozumie,
Za wąty, by w stoików utrzymał się dumie;
Wątpiąc, jeśli spoczynek lub czynność obierze,
Nie wie, czy się już uznał za Boga lub zwierzę:
Czy swej duszy, czy ciała pierwszeństwo przysądził,
Rodzi się, aby umarł, rozprawia, by błądził¹*

- Wystarczy! - op Owen wrócił do szarej rzeczywistości. Otworzył najbliższą kasetę i wsunął ją do odtwarzacza. Fakt, że była to prośba Horvatha o zgodę na rozwój rodziny, mógł się okazać znaczący. Gdyby op Owen był przesadnym człowiekiem, uznałby to za dobry omen dla dzieła, które zainicjował wspólnie z innymi dyrektorami ośrodków na świecie. Płodźcie dzieci na wasz obraz i podobieństwo, wzmacniajcie silne genetyczne cechy Utalentowanych, żeby stworzyć... nie, nie jakąś superrasę wszechwiedzących, wszechmocnych superludzi, których tak bał się Zeusman, lecz ludzi od dziecka wyszkolonych do tego, by jak najlepiej korzystać z danych im zdolności dla dobra ogółu. Dzięki temu sceptyczny świat będzie zmuszony uznać skarb uwieczniony dotąd w nie wykorzystanej, zamkniętej części naszych mózgów.

Wstrząsająca, ziejąca ogniem wizja dopadła Lajosa Horvatha w momencie, kiedy skończyła się faza snu REM, a jego wciąż nieświadomy otoczenia umysł szykował się do wyjścia ze stanu spoczynku.

Głośny jęk natychmiast zbudził jego żonę. Jak ją szkolono, odruchowo włączyła urządzenie i naciągnęła siatkę elektrod encefalografu na głowę męża, z wprawą dociskając metalowe krążki do wygolonych punktów na czaszce.

Mrużąc oczy, by lepiej widzieć w słabym blasku poranka, Ruth obserwowała pojawiający się na ekranie wyraźny zapis wizji. Centrum odbierało ten sam obraz, żeby móc później wszystko zweryfikować. Incydent trwał zaledwie jedenaście sekund, po czym zapis wrócił do normy. Położyła się i zaczęła wykonywać zalecane ćwiczenia relaksacyjne, przygotowujące ją do następnego zadania: gdy tylko

¹ A. Pope, *Wiersz o człowieku*, tłum. L. Kamiński.

Lajos się obudzi, będzie musiała spokojnie wyciągnąć od niego ustne sprawozdanie z wizji.

Szybko się uspokoiła, ciesząc się, że tak dobrze jej poszło. Dawno już zdołała opanować przebłycki zazdrości, że Lajos posiadał ważny Talent, podczas gdy jej własny, choć bezsprzecznie stwierdzony, był w stadium uniemożliwiającej bliższą identyfikację. Teraz wystarczyła jej świadomość, że dzięki silnym więzom uczuciowym, jakie między nimi istnieją, dzięki jej kobiecości, wydatnie przyczyniała się do rozwoju jego zdolności. Była potrzebna Lajosowi jako coś na kształt buforu, źródła ukojenia dla stresów związanych z posiadaniem Talentu. Nawet najsilniejsza osobowość mogłaby nie oprzeć się kompleksowi Kasandry, który rujnował nie przygotowanych jasnowidzów. Ruth często zastanawiała się, jak to jest, że tragedia, sięgając z mroków przyszłości, może tak dotkliwie doświadczyć tych, którzy ją dostrzegają: niczym człowiek spadający w przepaść i chwytający się wszystkiego w zasięgu ręki.

Pisak aparatu raz jeszcze podskoczył po przesuwającym się papierze. W ciszy usłyszała wywołany tym delikatny szmer. Rzuciła okiem na kontrolkę, żeby sprawdzić, czy wszystkie sygnały dotarły do Centrum - i zobaczyła uśmiech na twarzy męża. Uśmiech? Dobre wieści z przyszłości? Zmusiła się do relaksu, pokonując niecierpliwą ciekawość. Lajos tak rzadko miewał dobre wizje, że czasami żałowała, iż jest jasnowidzem.

Poruszył się. Zaczynał się budzić. Włączyła magnetofon i pochyliła się nad mężem.

- Co to? Co widzisz? - spytała łagodnie, tak jak uczono ją w Centrum.

Jej umiejętność pobudzania go do ustnych sprawozdań z wizji była wysoko oceniana, bo często zdarzało się, że jasnowidz miał kłopoty z wyrażeniem słowami na wpół realnych obrazów, przez co trudno było uzyskać na tyle konkretne dane, by móc przeprowadzić akcję.

- Płomienie! - jęknął Lajos. - Czy to zawsze muszą być płomienie?
- Usiadł prosto na łóżku z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w głąb, w obraz zatrzymany na rogówce. Zerwał z głowy elektrody. - Płonie statek, wybucha. Płonące szczątki rozpryskują się po porcie i pobliskim osiedlu. Ugaście je! Osłońcie pasażerów. Uwaga! Zaraz rozleje się paliwo. Zaraz wybuchnie. Zatrzymajcie to!

- Jakieś znaki na statku? - zapytał przez interkom łagodny, lecz stanowczy głos.

Lajos potrząsnął głową, rozpaczliwie mrużąc oczy i starając się zatrzymać zanikający obraz.

- Wszystko jest w ogniu. Chyba widzę ósemkę, czwórkę, trójkę, a może to druga ósemka? To Linie Reynarder. Na pewno. Tylko oni korzystają z tej klasy...

- Jakiej klasy? - chciał wiedzieć nieugięty szept.

Nagle Lajos wyszedł z transu, dyszał jak po biegu, na czole pojawił się zimny pot. Wyczerpany opadł na poduszkę.

- Zniknęło - jęknął. - Wszystko zniknęło.

- Miałeś jeszcze jedną wizję - powiedziała Ruth. - Co to było?

Lajos ściągnął brwi, odgarniając włosy z twarzy. Miał długie włosy, żeby zakryć kółka wygolone pod elektrody. Lekko się uśmiechnął.

- Coś dobrego? - spytała z nadzieją w głosie.

Stłumiła westchnienie. Lajos rzadko dzielił się z nią radosnymi wizjami.

- Incydent potwierdzony, silny odczyt, Lajos - powiedział głos z interkomu. - Zgłoś się jak najprędzej.

- Sprawdź to, prawda? - spytał zupełnie niepotrzebnie.

- Akcja w toku.

Lajos leżał tak nieruchomo, że Ruth wiedziała, iż to nie odprężenie, lecz silne napięcie. Kolejnym źródłem stresu dla Utalentowanych była świadomość, że często ich ostrzeżenia były lekceważone i przerażające wizje się spełniały. Ruth starła pot z czoła męża i zaczęła masować jego szyję oraz kark. Po chwili uśmiechnął się do niej.

- Niezły początek dnia, co?

- Za to końcowy meldunek pozytywny. Może to znaczy, że uda im się zapobiec katastrofie?

- Jeśli w odpowiednim czasie zgromadzą dość danych - powiedział ponuro. - I jeśli Reynarder zechce ich wysłuchać. - Przerzucił się na brzuch, bezsilnie tłukąc pięściami w materac.

Ruth przyglądała się jego plecom. Uwielbiała ich linię, szerokie płaszczyzny łopatek obok wzgórków silnych mięśni, rowek łagodnie opadający ku wąskim biodrom, grecką doskonałość pośladków. Opanowała nagłą falę pożądania. Nie była to najlepsza pora, żeby seks

mieszać z jego frustracją. Wiedziała, że źródłem jej stałego pożądania była gorąca tęsknota za posiadaniem dziecka spłodzonego przez Lajosa. Marzyła o córce, wysokiej, z blond włosami, i rozkosznymi dołeczkami w policzkach, jak u niego; o synu z silnymi ramionami i kruczoczarnymi, prostymi włosami.

Tęsknota za dzieckiem była tak pierwotna, tak potężna, że tłumiała wszelkie wpojone w nią nakazy kulturowe i społeczne. W obecnych czasach oczekiwano, że kobiety wezmą na swoje barki coś więcej niż odwieczne obowiązki wynikłe z czystej biologii. W dzisiejszych czasach, Ruth uśmiechnęła się do siebie, specjaliści ponadawali tym wyłącznie kobiecym talentom nazwy: Utrzymanie, Naprawa i Wymiana, zamiast dawnego prowadzenia domu, gotowania, rodzenia i wychowywania dzieci; lecz zmiana nazw nie wpłynęła zasadniczo na charakter obowiązków, ani też nie tamowała prastarych żądz. Jeśli się nad tym zastanowić, również mężczyźni robili to, co zawsze: nadal odkrywali nowe lądy, nawet jeśli leżały na odległych planetach, i bronili swych domów i rodzin. Wizje Lajosa można przecież uznać za rodzaj systemu obronnego wczesnego ostrzegania. No cóż, jej dodatkowym obowiązkiem była funkcja sekretarki, rejestrującej wykresy mózgowe podczas Utrzymania i Naprawy, ale niech lepiej jak najszybciej zezwolą jej na Wymianę, bo...

Skoncentrowała się na bardziej kojących myślach, korzystając ze swego uśpionego daru empatii, żeby przynieść ulgę mężowi. Kiedy zaczął głęboko oddychać, wiedziała, że walczy z ubocznymi skutkami wizji, wywierającymi destrukcyjny wpływ na psychikę. Zrobił wszystko, co było w jego mocy. Nie był w stanie zmienić biegu życia ludzi, których dostrzegał w swej wizji. Niektóre wypadki musiały się wydarzyć, choćby dlatego, że obecna tragedia nierzadko bywała źródłem późniejszego triumfu: następujące po niej wzajemne oskarżenia były katalizatorem postępu. Sprawdzająca się w takich wypadkach zasada, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, często pozwalała Utalentowanym pozostać przy zdrowych zmysłach.

Ruth doskonale rozumiała, że Talent był gorzkim darem. Gorzkim, a jednocześnie wspianiałym. Sytuacja przedstawiała się gorzej, kiedy miało się potwierdzony Talent, lecz nie wiadomo było, do czego służy. Bzdury, pomyślała, odrzucając smętne refleksje, nie można być kimś, kim się nie jest.

- O, trafiłaś w punkt - odezwał się Lajos z wdzięcznością, więc energiczniej zaczęła masować jego potężne mięśnie.

Kiedy jednak bez słowa odgadywała jego najskrytsze potrzeby, a czasami nawet to, co dopiero zamierzał jej powiedzieć, nie mogła odrzucić wyników badań, stwierdzających istnienie jej Talentu. Gdyby tylko umiała wyzwolić go w sobie, by dowiedzieć się wreszcie, na czym polega!

W Centrum wierzono, że zdolności psychiczne były uśpioną cechą wszystkich ludzi. Ich brak mógł wynikać ze złego funkcjonowania określonych synaps mózgowych bądź z niedorozwoju wywołanego brakiem jakiegoś białka w genie. Kiedy chromosomy dwudziestej pierwszej pary były uszkodzone lub zamazane, nie stwierdzano obecności Talentu. Chociaż w chromosomach Ruth nie odkryto zaburzeń i testy wykazały, że jest Utalentowana, nikt nie był w stanie zdefiniować jej szczególnych zdolności. Nie przejawiały się w żadnej ze znanych specjalności. W trakcie testów poznała Lajosa. Oboje zostali zaproszeni do badań przez Wschodnioamerykańskie Centrum po zakończeniu szkoły średniej i oboje zakwalifikowali się na sześciomiesięczny kurs, żeby nauczyć się korzystać ze swoich Talentów. Sprawdzono ich historię genetyczną cztery pokolenia wstecz. Podłączeni do „gęsiego jaja”, godzinami reagowali na najrozmaitsze bodźce. W końcu Ruth uzyskała kategorię „talent nieokreślony”, a Lajos wykazał silne tendencje do jasnowidzenia.

W głębi serca Ruth nie traciła nadziei, że jej Talent kiedyś się rozwinie. Zapewniano ją, że to możliwe: powoływano się na jej silne zdolności do empatii, do przewidywania nastrojów i zamierzeń osób jej bliskich. Być może była receptywnym telepatą, takim, który nie nadaje, lecz odbiera myśli. Stąd Ruth nieustannie żyła w rozterce między nadzieją a rozpaczą. Będąc z natury kobietą praktyczną, wolała raczej uznać, że nic z tego nie będzie i odrzucała mniej przekonujące dowody. Tę jej postawę umacniały zwłaszcza najgorsze wizje Lajosa, gdy obserwując jego cierpienia cieszyła się, że ominął ją tak okrutny dar.

Lajos Horvath był jednym z paru tysięcy Utalentowanych posiadających licencje i zarejestrowanych w Centrum, którzy identyfikowali się z jego celami i ideałami i przekazywali na jego rzecz wszystkie swe zarobki. Centrum nie było paternalistyczne i nie oczekiwało żadnej wdzięczności od swoich członków, ale

Utalentowani woleli mieszkać wspólnie, o ile to możliwe w Beechwoods, wśród siebie podobnych, gdzie spotykali się ze zrozumieniem i życzliwością. Centrum w pewnym stopniu „kontrolowało” swych członków, lecz zapewniało im również opiekę.

Ruth nie miała obiekcji co do swej sytuacji życiowej. Chętnie wzięła udział w kursie przygotowującym osoby bez daru do pomagania swym Utalentowanym partnerom. Tak bardzo kochała Lajosa, że nie ugięłaby się przed najsroższymi wymaganiami. Jednak ostatnio ich zależność od Centrum trochę ją drażniła, choć zdawała sobie sprawę, że nie była to wina instytucji.

Wyciszone brzęczenie interkomu przywróciło oboje do rzeczywistości. Lajos oparł się na łokciu bokiem do Ruth, tak że widziała, jak zaciska usta, zbierając siły do dalszej walki.

Dzwonił Daffyd op Owen.

- Lajos, miałeś racje. Reynarder siódmej klasy miał wyciek paliwa w poicie Buffalo.

Coś w spokojnym głosie dyrektora powiedziało im, że informacja Lajosa nie zapobiegła wypadkowi.

- No i? - w pytaniu Lajosa słyhać było twarde żądanie całej prawdy.

- Musieliśmy ustalić masę szczegółów, a mieliśmy tylko jedną relację potwierdzającą, lecz dane, jakie nam podałeś, zwłaszcza numer, wystarczyły. Bez twojego ostrzeżenia straty byłyby nieobliczalne. Teleportyści z brygady ratunkowej zdołali skierować płonące szczątki do jeziora, zanim dotarły nad osiedle. Pokład pasażerski został pokryty pianą, zanim się zapalił. Załoga i pasażerowie przeżyli szok termiczny, ale żyją. Ruth, czy on potrzebuje czegoś na uspokojenie?

- Nie! - krzyknął Lajos.

- Cudownie! - Głos op Owena był przepelniony życzliwością i wdzięcznością. - Potwierdziliśmy twoją wizję. Dzięki niej uniknięto poważnej katastrofy: punkt dla nas w walce o ustawę. A wszyscy wiedzą, kto wysłał ostrzeżenie.

Lajos z ulgą opadł na poduszki, kiedy dyrektor rozłączył się, raz jeszcze mu dziękując. Odwrócił nieco głowę i Ruth nie wiedziała, czy pragnie, żeby się do niego przytuliła. Czekwała. Wreszcie odetchnął głęboko i odprężył się.

- A więc to, co zobaczyłem, wcale się nie wydarzyło, Ruth. Statek nie zmienił się w ognistą kulę i nie spalił osiedla. W takim razie, co ja takiego widziałem? Przecież to się nie zdarzyło właśnie dlatego, że to widziałem. Czy sam fakt, że to zobaczyłem, wystarczył, by zmienić przyszłość?

Potrząsnął głową, aż nie ogolona broda zaszeleściła o wykrochmaloną pościel, ale w jego ostatnich słowach nie było już słyhać poprzedniej goryczy. Uspokoił się.

Ruth czuła pod swymi dłońmi rozluźniające się mięśnie karku męża i dopiero wówczas zrozumiała, jak bardzo sama była spięta, czekając na jego odreagowanie.

- To paradoks, najbardziej przewrotny paradoks - powiedziała, delikatnie gładząc jego skórę samymi opuszkami palców. - Mój kochany piracie. - Pocałowała go w policzek.

Lajos wyskoczył z łóżka i przeciągnął się energicznie, aż opadły mu spodnie od pidżamy. Natychmiast je podciągnął; wcale nie ze skromności, lecz żeby się w nie nie zaplątać i nie upaść w drodze do łazienki.

- Być może ta druga, dobra wizja, wiesz, miałaś ją w niespełną minutę po pierwszej, wykazała, że oddaliłeś zagrożenie - zauważyła Ruth jakiś czas później, podając śniadanie.

Lajos zastanowił się przez chwilę i przecząco pokręcił głową.

- Nie. Obie wizje były niezależne od siebie.

- Jak to jest? - spytała z udawanym wyrzutem w głosie. - Szczegółowo pamiętasz koszmary, a szczęśliwe obrazy natychmiast wymazujesz z pamięci?

Nie wiedział i rzucił się na jedzenie z apetytem wskazującym na pełen powrót do równowagi.

- Muszę już pędzić, kochanie. Mam kupę roboty. Wiem to na pewno, i bez żadnej telepatii. - Uśmiechnął się i mocno pocałował żonę. - Doroczny przegląd polis, a mimo Zeusmana firma obsługuje wszystkie rządowe ubezpieczenia w mieście.

Ruth także musiała się pospieszyć. Nie cierpiała się spóźniać, choć jej praca nie należała do zbyt ważnych. Montowała włókna mikroskopijnych zasilaczy, co było szczególnie delikatną operacją, wymagającą sprawnych dłoni, nawet w specjalnych, zautomatyzowanych rękawicach wspomagających, a także cierpliwości przy wykonywaniu mikroruchów. Pracodawcy nigdy nie

protestowali przeciw drobnym opóźnieniom, jakie czasami jej się zdarzały, ponieważ i tak korzystali z usług teleportystów i telekinetyków przy transportowaniu delikatnego sprzętu i montażu najważniejszych elementów wyposażenia sond Jowisza. Ruth w ogóle nie musiała pracować dzięki zarobkom Lajosa, ale wolała mieć jakieś zajęcie, dopóki nie zostanie matką. Później chciała całkowicie poświęcić się rodzinie.

Odmowa zgody na posiadanie dzieci należała do wyjątków, jednak procedura trwała jakiś czas, nim zakończył się cykl badań. Każdemu mogła trafić się przypadkowa dawka promieniowania, która zaburzałaby lub uszkodziła chromosomy. Ruth i Lajos wiedzieli już, że ich kody genetyczne były w doskonałym stanie; przeszli też trzyletni okres próbny, który pozwolił ustalić trwałość ich związku. Przez ostatnie pół roku przebadano ich komórki jajowe i plemniki, żeby ostatecznie wykluczyć ewentualne nieprawidłowości. W sumie sporo się naczekali, ale kto chciałby wydać na świat upośledzone dziecko? Lata minęły, zanim udało się wyeliminować psychodeliczne uszkodzenia wywołane szaleństwem lat siedemdziesiątych i wczesnych osiemdziesiątych. Nadto od czasu do czasu rodzili się mutanci na skutek silnego wiatru słonecznego w pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku. Zwykły rozsądek nakazywał zbadanie każdej ewentualności.

Mimo to Ruth czuła, że coraz trudniej przychodzi jej zachować cierpliwość. Prosiła przecież o niewielką część z szerokiej oferty, jaką niosło w sobie jej dziedzictwo. Nie przejmowała się już, że jest jedynie nie zidentyfikowanym Talentem - zdążyła się do tego przyzwyczaić. Nie miała nic przeciw męczącej często roli biernej obserwatorki psychicznych udreń Lajosa w czasie jego wizji; kochała go i pragnęła mu pomagać. Jednak boleśnie doskwierało jej rosnące poczucie niespełnienia. W dzisiejszych czasach, kiedy nikomu nie brakowało dachu nad głową ani jedzenia, kiedy wyobraźnię karmiły loty w coraz bardziej podniecające regiony kosmosu, a w czasie wolnym swobodnie rozwijano indywidualne zainteresowania, każdy mógł bez ograniczeń korzystać ze swoich potencjalnych możliwości. Lecz ona żyła w stanie permanentnej frustracji. Gdyby wreszcie mogła stać się w pełni kobietą Lajosa; nie tylko kochać go, ale dać mu dzieci, najlepiej również obdarzone Talentem! Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, aby one odniosły sukces tam, gdzie ona sama zawiodła.

W strukturze organizacyjnej firmy Lajos zajmował stanowisko agenta ubezpieczeniowego i kontrolera polis. Pracował we Wschodniej Dyrekcji Zakładu Ubezpieczeniowego. Choć w wielu dziedzinach firmy ubezpieczeniowe zachowały daleko idący konserwatyzm, jednak pierwsze dostrzegły wymierne korzyści płynące z zatrudniania jasnowidzów takich jak Lajos, którego dokładność w wykrywaniu zagrożeń pożarowych została ustalona ponad wszelką wątpliwość.

Większość jego wizji dotyczyła substancji łatwo palnych; inni specjalizowali się w zagrożeniach związanych z wodą, transportem, metalami bądź pewnymi typami osobowości. W Centrum stale toczyła się żartobliwa dyskusja nad tym, do jakiej grupy zakwalifikować „odnajdywaczy” - jasnowidzów czy wizjonerów; przecież byli wśród nich specjaliści od odnajdywania „przedmiotów zagubionych” pochodzenia organicznego i nieorganicznego. Firma Lajosa zatrudniała w sumie czterech Utalentowanych, którzy każdego roku przysparzali swoim pracodawcom olbrzymich oszczędności. Dawniej wizje Lajosa uznawano za przebiegłość, instynkt lub przenikliwe rozumowanie. Początkowo on sam kwalifikował je podobnie. Jednak szkolenie i wrażliwość przekształciły szereg mglistych „przeczuć” w konkretne wskazówki typu: trzeba sprawdzić piwnicę tego budynku - pełno tam łatwopalnych śmieci - dozorca jest leniwy i nie usunął wszystkiego; instalacja elektryczna na tym strychu jest stara, a właściciele często ją przeciążają, włączając zbyt wiele urządzeń. Czasami widział zdarzenia, które miały dopiero nastąpić: ktoś się włamie do tego budynku i go podpali. Wówczas firma zwracała się do policji o wzmożony nadzór nad wskazaną posesją. Zwykle taki nadzór wystarczył, żeby zapobiec włamaniu i w sumie nic się nie działo, jednak firma nie zgłaszała pretensji wobec Lajosa - nauczyła się na wielu błędach, że nie wolno lekceważyć przepowiedni Utalentowanych. Firmy ubezpieczeniowe od zawsze korzystały ze statystyk, a te jasno wykazywały, ile pieniędzy zostało zaoszczędzonych dzięki ich wskazówkom. Czasami, jak dziś rano, Lajos czuł ogólny niepokój wywołany zbliżającym się wielkim pożarem lub katastrofą transportową, której skutkiem będzie ogień. Zdarzały się dni, kiedy nic nie pobudzało jego Talentu. Ale były też i takie, kiedy zewsząd otaczał go swąd spalenizny i widział płomienie. Musiał zweryfikować kilkanaście wrażeń, posługując się

encefalografem zainstalowanym w biurze. Właśnie dzięki temu, że nauczył się, odróżniać prawdziwe wizje od urojeń, mógł dostać licencję i zarejestrować się w Centrum.

Skończył przegląd stosu polis, odnotowując te, co do których miał wątpliwości i które lepiej jeszcze raz sprawdzić. W drodze do domu poczuł się nagle lekko i radośnie, zupełnie jakby nie miał za sobą dnia wyteżonej pracy. Nawet nie próbował się zastanawiać nad źródłem tego niezwykłego nastroju. Gdy tylko otworzył drzwi, Ruth z impetem wpadła mu w ramiona.

- Mamy zgodę na dzieci. Przyjęli nas. - Szlochała ze szczęścia, trzymając go ciasno w objęciach. - Dyrektor op Owen sam zadzwonił parę minut temu. To ty powinieneś być w domu, kiedy dzwonił.

- Jeszcze jeden dowód na to, że op Owen nie jest jasnowidzem - zaśmiał się Lajos, przytulając do siebie jej szczupłe ciało. Wtulił wargi w kark dziewczyny. - To nagroda pocieszenia za dzisiejszy poranek.

- Jak to? - przestraszyła się nieco.

- Wszystko w porządku, kochanie. I tak wiedział, że się dowiem. Reynarder Inc. dostał ostrzeżenie, gdy tylko moja wizja pomogła zidentyfikować statek, ale nie wstrzymał wszystkich rejsów z takimi numerami. Pieniądze Reynardera to podstawa finansów lobby transportowego, a oni jak wiesz, popierają Zeusmana. Muszą twierdzić, że wizje, nawet poparte wykresem z encefalografu, weryfikowane komputerowo i potwierdzone przez Centrum, są stekiem bzdur. Mimo że wiele firm sprawdza swe transporty u licencjonowanych jasnowidzów.

- Można więc powiedzieć, że linie takie jak Reynarder mają za swoje!

- Hej, nie możemy być tacy małostkowi. Zresztą, lepiej porozmawiajmy o nas, o naszym dziecku. Co chcesz najpierw: chłopca czy dziewczynkę?

Ruth nagle zeszywniała, odchyliła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy musimy to określać? Czy trzeba to ustalać? - spytała cicho, od razu karcąc się za odcień urazy w głosie. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi mi o to, że gdy się to ustali, znika cała tajemnica macierzyństwa.

- Ruthie. - Czułość w żartobliwym tonie jego słów wywołała u niej słodki dreszcz. - Straszna z ciebie konserwatystka. Ale niech ci będzie: pozwolimy, żeby Natura zrobiła swoje.

- Nie możemy najpierw zjeść kolacji?

Lajos śmiał się jak dziecko z tak wyrafinowanej kokieterii. Ścisnął Ruth, aż jej żebra trzeszczały, a kolacja zaczęła się przypalać.

To była magiczna noc. Ruth reagowała na pieszczoty z żarliwością, która zaskoczyła Lajosa. Jej oddanie pozbawiło go tchu i zdumiało. Zupełnie jakby wyzwolenie się z więzów antykoncepcji umożliwiło jej otworzenie prawdziwej głębi swej istoty.

Gdyby jakość aktu mogła mieć wpływ na jego efekt finalny, wówczas nasze dziecko musiałoby być ideałem, pomyślał Lajos, zanim zasnął w objęciach żony. Nie było gwarancji, że dziecko zostanie poczęte właśnie w tej nocy. Właściwie Lajos wolałby, żeby tak się nie stało, jeżeli Ruth miałyby się tak kochać aż do zajścia w ciążę.

Jednak już wkrótce okazało się, że jej marzenia się spełniły. Ruth wypiękniała jasną urodą, która zdawała się rzucać blask harmonii na wszystko, co ją otaczało. Jerry Frames, lekarz Centrum, a ponadto uzdrowiciel, prywatnie poinformował op Owena, że płód jest płci żeńskiej, Ruth miewa się wyśmienicie i że nie przewiduje najmniejszych problemów.

Dziewczynka ważyła siedem funtów i trzy uncje, a pielęgniarki szpitala Centrum natychmiast nazwały ją Małą Księżniczką. Rodzice nadali jej imię Dorotea i byli kompletnie urzeczeni jej miniaturową doskonałością, różowozłotą urodą. Zupełnie nie dostrzegali dziwnych spojrzeń rzucanych ukradkiem i szeptanych komentarzy personelu. Ruth, w naturalny sposób przewrażliwiona na punkcie wszystkiego, co wiązało się z jej córeczką, pierwsza zwróciła uwagę na niezwykle zainteresowanie osób stale gromadzących się przy łóżeczku małej.

- Coś przede mną ukrywacie! - zaatakowała Jerry'ego Framesa. - Coś jest nie tak z Dorotea!

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku - odpowiedział ostro i wepchnął jej w ręce kartę dziecka. - Na tyle orientujesz się w pediatrii, że sama odczytasz wszystkie wyniki. Proszę bardzo.

Ruth najpierw przejrzała kartę pobieżnie, potem przeczytała ją słowo po słowie, sprawdzając wyniki badań laboratoryjnych, wykresy z encefalogramu i elektrokardiogramu, także dane na temat pokarmu i

wydalania. Nie znalazła najmniejszych odchyżeń od normy. Nawet genetyczne badanie chromosomów dało wynik: XX/zdrowa/norma. Pocieszona i uspokojona oddała kartotekę i dalej zajmowała się dzieckiem.

Później Frames przyznał, że na moment ogarnęła go panika; nie wiedział bowiem, na ile Ruth zna się na genetyce. Op Owen zapewniał go, że instynktowna decyzja o pokazaniu karty Ruth była najlepszą z możliwych w tych okolicznościach.

- Mamy jednak wielkie szczęście, Jerry - stwierdził - że oni są już pod opieką Centrum. To dziecko musi być otoczone najściślejszą ochroną. Chcę, żeby w pokoju małej zainstalowano sprzęt odbierający jej fale dzień i noc. Jeżeli nasze podejrzenia okażą się słuszne, możemy spodziewać się, że objawy wystąpią w ciągu pierwszych sześciu miesięcy jej życia. Wyobrażasz sobie, jakie postępy możemy zrobić w przygotowaniu programu badawczego dla dzieci, mając w rękach tak wspaniały przykład?

- Po prostu dopisało nam szczęście.

- Nic a nic nie powinno zakłócić rozwoju tego dziecka!

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie chcesz powiedzieć o tym rodzicom. Wreszcie pojąłeś, że nie zawsze wolno być bezgranicznie szczerym?

Op Owen wytrzymał sarkastyczny uśmiezek lekarza.

- Nie jestem wprawdzie wizjonerem, ale czuję, że nie powinniśmy mówić o tym Lajosowi - odparł.

- Dlaczego? Przecież byłby dumny jak paw, że spłodził tak fantastycznie uzdolnione dziecko.

- Czy ty przypadkiem nie przeszedłeś do drugiego obozu, Jerry?

- Czym innym jest ukrywanie czegoś przed nie zorientowaną opinią publiczną, czym innym milczenie przy jednym z naszych.

- Nie mamy jeszcze ostatecznego dowodu na to, że Dorotea Horvath jest...

- Dajże spokój, Dave. Cecily King jest silnym odbiorcą i wyraźnie słyszała, jak dziecko protestuje przy porodzie. Oczywiście, dobrze wiem, że niektóre dzieci głośno krzyczą jeszcze w łonie matki, ale tym razem nie był to krzyk fizyczny, inaczej wszyscy na porodówce by to usłyszeli. Masz opory ze względu na Ruth Horvath?

Op Owen powoli skinął głową.

- To jeszcze potrafię jakoś zrozumieć, choć, moim zdaniem, właśnie ona jest przygotowana na tyle, żeby pozytywnie zareagować na Talent córki. To coś jakby rekompensata za to, że jej własny nie został dotąd rozpoznany. Chyba że można nazwać Talentem przekazywanie silnych cech genetycznych.

Op Owen potrząsnął głową i zacisnął usta w zadumie.

- Ona tak strasznie pragnęła mieć dziecko. Jak zwykła matka, nie jak ktoś Utalentowany, kto marzy o wydaniu na świat dziedzica swych zdolności. - Mówił powoli, cedząc słowa, jakby starał się jeszcze porządkować myśli. - Lajos twierdzi, że jego wizje wstrząsają Ruth bardziej, niż się do tego przyznaje. Lepiej więc pozostawmy sprawy ich własnemu biegowi. Po prostu będziemy ich obserwować.

- To, o czym nie wiedzą, nie może wyrządzić im krzywdy, co? - westchnął Frames. - Szkoda, że w innych sprawach nie przestrzegasz tej zasady, Dave.

Op Owen spojrzał ponownie na doktora.

- Prywatnie mogę się nieco ugiąć dla dobra tych, którymi mam obowiązek się opiekować, ale nie wolno mi tak postępować w sprawach o szerszym znaczeniu, których przebiegu nie jestem w stanie kontrolować ani przewidzieć.

- W porządku, Dave, ale ja sędzę, podobnie jak Joel Andres, że reakcje jednostek są mocną podstawą do przewidywania reakcji społecznych. Nie chcesz powiedzieć Ruth Horvath, dziewczynie przygotowanej i wierzącej w istnienie Talentu, że jej dziecko ma niezwykle silne zdolności telepatyczne, jednak z drugiej strony chcesz przekazać informacje, które dla mnie samego są przerażające, choć jestem Utalentowany, społeczeństwu nie przygotowanemu na przyjęcie nawet niewielkiej części. To się po prostu nie trzyma kupy.

- Postawa moralna Utalentowanych nigdy nie może być kwestionowana.

- Dave - w głosie i postawie lekarza wyczuwało się błagalny ton - przecież ty nie jesteś zdolny do nieetycznego postępowania. Nieujawnianie wiedzy otoczonej masą uprzedzeń nie jest niemoralne, lecz po prostu rozsądne. Potrafisz tak postąpić w przypadku Ruth Horvath. Sam wiele razy miałem wątpliwości, czy powiedzieć pacjentowi, że nic więcej nie da się zrobić, a kiedy już się zdecydowałem, do ilu osób dotarła ta cała prawda? Jedyne nieliczni są w stanie znieść całą, kompletną, nie lukrowaną prawdę!

- Jestem zawieszony gdzieś między działaniem a jego zaniechaniem - westchnął op Owen.

Czuło się, że nie do końca wie, jak postąpić.

- Co to ma znaczyć?

- Przepraszam, Jerry. Twoje argumenty są trafne. Pomyliłem się, mam nadzieję, że w dobrej wierze. Sam jestem zdumiony tym odstępstwem od zasad w sprawie Horvathów. Jednak mam jakieś wewnętrzne przekonanie, że postępuję słusznie.

- Może więc w ogóle nieco odstąpisz od polityki „kawa na ławę”?

- Chyba będę musiał być mniej kategoryczny.

- Ale i tak nie zdołamy tego przed nimi zbyt długo ukrywać - powiedział Jerry, mając na myśli Horvathów.

- Potrzebują czasu, żeby się przyzwyczaić. - Op Owen myślał o ludzkości.

- Skąd, u diabła, u niej te błękitne oczy? - Lajos jak zaczarowany przyglądał się swej trzymiesięcznej córce, usiłującej złapać palce u stóp. Przewróciła się przy tym na bok, gulgocząc z zadowolenia.

- Mój Boże, przecież to nic takiego - odpowiedziała mu równie zachwycona Ruth z drugiej strony łóżeczka. - Ja mam szare oczy, ty brązowe, ale oboje mamy niebieskookich przodków.

- Zawsze powtarzałem, że jesteś recesywna, kotku.

- Niech ci będzie. Zwłaszcza jeśli dzięki temu mam niebieskooką blondynkę z dołeczkami w policzkach. A taką cię właśnie mam, prawda, żabusiu? Jesteś cała moja. - Pochyliła się nad uśmiechniętym bobasem.

- Z wyjątkiem moich dwudziestu trzech chromosomów.

Dorotea odchyliła główkę do tyłu, żeby spojrzeć na matkę, i zagulgotała, śliniąc się obficie.

- Miłość od pierwszego łyku - zażartował Lajos. - Mamy tu przykład zmywy dwóch kobiet przeciw biednemu, samotnemu mężczyźnie.

Dorotea natychmiast wypuściła w jego stronę bańki śliny, wyraźnie szczęśliwa.

- Nigdy tego lepiej nie ująłeś - zakończyła Ruth.

W głębi serca Lajos musiał przyznać jej rację. Od narodzin córki Ruth była tak szczęśliwa, że jej radość wyczuwalna była w całym mieszkaniu. On sam nigdy dotąd nie był tak odprężony i mimo że

wizje nachodziły go częściej, a nawet wykraczały poza dotychczasową specjalizację, mniej boleśnie odczuwał depresję i wyczerpanie, będące ich nieuchronnym skutkiem.

W dniu, w którym rozkwitł Talent Dorotei, Daffyd op Owen przeglądał wyniki jawnych i tajnych obserwacji Horvathów. Lester Welch, szef elektroniki Centrum, na jego polecenie zamontował czujniki w materacu Ruth, na wypadek gdyby dziecko instynktownie skontaktowało się najpierw z matką. Jednak Les dostrzegł nieznaczną zmianę w wykresach samej Ruth. Odchylenie było tak minimalne, że można by przypisać je niedoskonałej gładkości papieru, na którym drgnęła igła pisaka. Zapis dziecka nie wykazywał podobnego odchylenia. Mimo wszystko Welch byłby gotów to zlekceważyć, gdyby nie spostrzegł dziwnej korelacji wykresów Ruth z wykresami Lajosa; pojawiała się to zawsze na początku jego wizji.

- Ruth może być opóźnionym odbiorcą - skomentował to op Owen.
- Dopiero teraz zaczyna się rozwijać na skutek bliskości męża i córki. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć.

- To byłoby fajnie, Dave. Ruth jest świetną dziewczyną, pogodną, inteligentną i zwariowaną na punkcie męża i córki. Idealna matka dla...

Lester umilkł zaskoczony, gdy op Owen zerwał się na równe nogi i popędził do pokoju urządzeń rejestracyjnych. Lester Welch nie należał do Utalentowanych, choć to, co potrafił zrobić w elektronice, świadczyło o geniuszu wynalazczym. Wiedział jednak, że op Owen nigdy się tak nie zachowywał bez istotnej przyczyny. Kiedy dogonił szefa, zobaczył Charliego Moorfielda pochylonego nad konsolą, zupełnie nieprzytomnego, a cała uwaga dyrektora skupiona była na powoli wychodzącej taśmie wykresu.

- Patrz, to zapis Dorotei - powiedział op Owen z dziecinnym uśmiechem na twarzy i natychmiast ruszył ku drzwiom.

Zdrowy rozsądek podpowiadał op Owenowi, że mimo całej intensywności wezwania, dziecku tak naprawdę nic nie zagraża. Jednak nie był w stanie zlekceważyć sygnału. Cóż takiego mogło się stać, zastanawiał się, zbiegając po schodach. Na dziedzińcu zauważył, że ze wszystkich budynków wybiegli ludzie. Zmierzali w tym samym kierunku. Wezwanie ustało równie gwałtownie jak się zaczęło. Wszyscy zatrzymali się i rozglądali wokoło z niepewnymi uśmiechami na twarzach.

- Co to było?
- Kto wołał?
- Co się stało?
- Wszystko w porządku - op Owen pierwszy odzyskał równowagę.
- To nowa technika, jeszcze niedokładnie osłonięta - powiedział telepatom.

Niepewnym krokiem szedł dalej w stronę mieszkania Horvathów.

W hollu budynku zgromadził się spory tłumek. Op Owen przedarł się przez gromadę poruszonych mieszkańców. Dorotea z policzkami mokrymi od łez tuliła się do matki, uśmiechając się do otaczających ją osób i wydając przyjazne pomruki. Przybycie op Owena stało się sygnałem do rozejścia się; wkrótce pozostał sam na sam z przerażoną matką.

- Tak mi wstyd, proszę pana - usprawiedliwiała się zdenerwowana Ruth. Chodziła po pokoju, kołysząc małą. - Na chwilę zdrzemnąłam się przy muzyce i nie usłyszałam, że Dorotea się obudziła. Nigdy dotąd nic takiego mi się nie zdarzyło. Nie pozwalam jej płakać zbyt długo.

- Nikomu nie przyszłoby do głowy, że ją źle traktujesz. - Op Owen uśmiechnął się, odwzajemniając zalotne spojrzenie małej. - Taki mały stres dobrze robi każdemu dziecku. W jej przypadku pomógł rozpoznać Talent.

- Mój Boże! - Ruth opadła na kanapę, wpatrując się w dyrektora szeroko otwartymi oczami. Stopniowo pojęła znaczenie tych słów.

- Ona nadaje bardzo silne sygnały. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że wszyscy Utalentowani w mieście ją usłyszeli.

Ledwie skończył mówić, Lajos wpadł jak bomba do pokoju.

- Co się stało? Jest ranna? Boże, głowa mi pęka!

Chwycił dziecko i obejrzał błyskawicznie. Zaczęło chlupać, wyczuwając jego zdenerwowanie.

- Tylko jej ego nieco ucierpiało - odpowiedziała Ruth, czując ogarniającą ją falę niezwykłego spokoju.

Op Owen odnotował to w pamięci na jej plus: potrafiła tłumić własne odczucia, żeby uspokoić innych.

- Zasnęłam przy muzyce i nie usłyszałam, kiedy obudziła się głodna i mokra. - Odebrała mu dziecko i kołysała w ramionach, aż mała ponownie się rozpromieniła. - Poczwała się dotknięta, bo miała wrażenie, że ją ignoruje, prawda, zabuniu?

- Matko Boska! - Lajos padł na fotel, ocierając pot z czoła. - Jeszcze nigdy nie słyszałem czegoś takiego. Proszę pana - zwrócił się do op Owena - przecież... czy to znaczy, że coś takiego będzie się działo za każdym razem, kiedy moja córka się zdenerwuje?

- Och, jestem pewien, że jeszcze wiele razy zaprotestuje przeciw urojonym krzywdom. Dzieci muszą przeżyć parę, stresów, żeby się dobrze rozwijać. Przeniesiemy was do mieszkania z lepszymi osłonami i wyciszymy ten słodki głosik o niespotykanej mocy.

- Wcale nie wygląda pan na zaskoczonego Doroteą - powiedziała Ruth podejrzliwie. - Więc to dlatego wszyscy w szpitalu tak się jej przyglądali!

- Cóż, to prawda - przyznał dyrektor. - W trakcie porodu usłyszała ją jedna z pielęgniarek.

- Myślałam, że Talent telepatyczny nie ujawnia się przed osiągnięciem dojrzałości.

- Talent świadomy - poprawił ją op Owen.

Ruth spojrzała na gaworzące radośnie dziecko. Na jej twarzy pojawił się cień rozpacz.

- Tak bardzo pragnęłam, żeby miała normalne, szczęśliwe dzieciństwo!

- Sądzisz, że nie będzie go miała tylko dlatego, że jest Utalentowana? Czy tak, moja droga? - op Owen przekonał się, że jego intuicyjna decyzja, by nie mówić Ruth całej prawdy od razu, miała jednak dobre podstawy. - Nie licząc tej zdolności, Dorotea jest normalnym, zdrowym niemowlakiem, zupełnie nieświadomym swojej mocy.

- Przecież wiem, że teraz będziecie chcieli ją testować, że będzie poddawana serii najróżniejszych bodźców... - zdenerwowanie zapierało Ruth dech w piersiach.

- Moja droga Ruth - powiedział op Owen łagodnie. - Testy i bodźce są dla tych, którzy przyszli do nas, kiedy nauczyli się tłumić swoje zdolności. O Dorotei wiemy, kim jest: bardzo silną telepatką. Myśmy już ją „przetestowali”, jak ty to nazywasz. Jeśli zaś chodzi o bodźce, to zapewniam cię - op Owen roześmiał się - ona stosuje je wobec nas, a nie odwrotnie.

Lajos również wybuchnął śmiechem na wspomnienie swego szaleńczego powrotu do domu. Objął żonę jedną ręką i czuł, jak ustępuje jej napięcie. Nawet się uśmiechnęła.

- Moja droga, Dorotea ma przed sobą niezwykłą szansę, taką, jaka nie była dana ani tobie, ani Lajosowi: ma szansę dorastać bez konieczności tłumienia swych uzdolnień. Będzie rosła razem z nimi. Nauczy się z nich korzystać tak samo jak nauczy się chodzić i mówić. Pomożemy jej to zrozumieć na tyle, na ile sami to rozumiemy - zakończył już nieco mniej pewnym głosem. - Prawdę mówiąc, Ruth, wszyscy jesteśmy w sytuacji twojej córki. Dopiero uczymy się działać przy otwartej kurtynie, uczymy się przekonywać innych ludzi do tego nowego kierunku w ewolucji człowieka. Utalentowani są pod tym względem w powijakach. Zresztą sama wiesz. Możemy rozciągnąć tę analogię na ustawę Andresa, która ma przyznać Utalentowanym status profesjonalistów i objąć ich ochroną prawną. Aby weszła w życie, musimy udowodnić społeczeństwu, naszemu „rodzicowi”, że nie jesteśmy „złymi”, „niegrzecznymi” czy „rozkapryszonymi” dziećmi. Dorotea wniosła już swój wkład w tę naszą walkę. - W tym momencie op Owen ugryzł się w język i opanował przemożną chęć dalszego perorowania. - Dorotea potrzebuje miłości i akceptacji, dyscypliny i zrozumienia. Nauczy się tego od ciebie, Ruth, dzięki twej miłości. Chyba jeszcze bardziej niż ty chcesz, żeby miała normalne, szczęśliwe dzieciństwo i żeby wyrosła na normalną i szczęśliwą kobietę.

Wstał śmiejąc się, zarażony radością dziecka.

- Widzicie sami, ona doskonale rozumie, jak bardzo ją kochamy.

Op Owen wyszedł z zapewnieniem, że w przeciągu tygodnia dostaną nowe mieszkanie. Ruth była tak oszołomiona wydarzeniami ostatnich godzin, że Lajos postanowił nie wracać już do pracy. Sam był równie zaskoczony, jednak następnego ranka jego uczucia zdominowała ojcowska duma, a przez kilka kolejnych dni nie potrafił mówić o niczym innym, jak o niezwykłych zdolnościach córki. Kiedy przeprowadzali się do nowego mieszkania z lepszymi osłonami, zaczął przyzwyczajać się do sytuacji; a ponieważ Dorotea nie miała okazji do wysyłania równie dramatycznych sygnałów, udało mu się ignorować zwyczajne wezwania. Dopiero wówczas dostrzegł zmiany, jakie zaszły w Ruth. Najpierw pojawiły się przelotne, nerwowe spojrzenia w stronę drzwi dziecięcego pokoju, kiedy Dorotea spała dłużej niż zwykle. Potem kilkakrotnie spostrzegł, że Ruth przygląda się dziecku z miną, którą znał aż nazbyt dobrze - tak samo patrzyli na

niego ludzie spoza Centrum, kiedy dowiedzieli się, że jest jednym z Utalentowanych.

- Musisz z tym skończyć, kochanie - odezwał się pewnego razu. - Musisz stale pamiętać, że Dorotea niczym nie różni się od innych dzieci. W przeciwnym wypadku uprzedzisz ją do jej Talentu, a tego właśnie musimy unikać za wszelką ceną.

Ruth najpierw gwałtownie zaprzeczyła oskarżeniu, ale zbladła przy tym tak bardzo, że Lajos szybko wziął ją w ramiona.

- Najśłodsza, przecież ona wcale się nie zmieniła przez to, że dowiedzieliśmy się o jej Talencie. Musimy stale pamiętać, że jest również odbiorcą i potrafi wychwytywać wszystkie nasze odczucia na jej temat. Przestań myśleć o niej jak o jakimś dziwolągu. Myśl tylko o tym, jaka jest słodka, kochana i dobra. Ona sama zacznie tak siebie oceniać, a wtedy jej telepatyczne zdolności nie będą miały najmniejszego znaczenia. Uzna to za coś najzupełniej normalnego. Dopiero kiedy zacznie wyczuwać krytykę, ograniczenia i hipokryzję, będziemy mieli prawdziwe kłopoty. Wiem, jak mnie samemu było trudno, kochanie. - Podniósł wyżej brodę żony i uśmiechnął się, pragnąc dodać jej otuchy. - Posłuchaj, a może op Owen potrafiłby w czymś ci pomóc? Porozmawiaj z nim. Może założy ci blokadę, gdyby to było konieczne.

Najmniejsza nawet sugestia, że mogłaby nie być zdolna do kochania i rozumienia własnej córki, doprowadzała Ruth do szału. Przeszła cały kurs dla przyszłych matek. Doskonale rozumiała każdą fazę wczesnego rozwoju dziecka. Uwielbiała Doroteę i na pewno nie uczyniłaby nic, co mogłoby zagrozić jej szczęściu. Po takiej szczerej rozmowie oboje poczuli się lepiej, a problem został odłożony na półkę.

- Uważam, że powinieneś obejrzeć karty Horvathów - zwrócił się Lester Welch do op Owena. - Ta nieregularność w wykresie Ruth nadal się utrzymuje. Widzisz? - Rozwinął taśmę papieru i palcem wskazywał ledwo dostrzegalne odchylenia od normy. - O, tu i tu. Za każdym razem jest to o kilka mikrosekund większe. Rozszerza się, aż dochodzi do tego uchyłku, który jest stały. Teraz porównaj to w czasie z sekwencjami Lajosa i pamiętaj, że wyłapujemy to z każdego miejsca w mieszkaniu. Op Owen natychmiast zauważył korelację.

- Od sześciu tygodni nie miał żadnej pełnej wizji?

Welch potwierdził to skinieniem głowy. Op Owen dalej studiował wykresy.

- Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałbym, że to Ruth go wytlumia. Tylko jak?

- A nie: dlaczego?

- To też jest ważne, ale „jak” jest ważniejsze.

- Jeśli chodzi o rodzaj wykresu, Dave, to niewiele mogę powiedzieć. Za mało tego, żeby precyzyjnie określić rodzaj oddziaływania.

- Niezupełnie o to mi chodziło, choć prosiłbym cię o powiększenie tego fragmentu. Czy możesz znaleźć jakiś dokładniejszy czujnik, szybszą igłę, czy coś takiego, żeby wydłużyć zapis?

Welch zastanawiał się przez moment.

- Chyba mógłbym coś wykombinować.

Op Owen zaśmiał się łagodnie.

- Jedną z twoich najmilszych cech, Les, jest to, że nigdy nie uchylasz się przed wyzwaniem. Nie sądzę, żebyś rozumiał sens słowa „porażka”.

Welch spojrzął ze zdziwieniem na przełożonego.

- Porażka to niezdolność rozumienia czegoś, co nie zostało jeszcze poznane. Na przykład ta nieregularność w wykresie Ruth Horvath? Albo strategia senatora Zeusmana? - dodał po chwili.

Op Owen zbył go machnięciem ręki i wrócił do kart Horvathów.

- Pierwszy incydent telepatyczny Dorotei wstrząsnął Lajosem, prawda?

- Tak. W zapisie jego snu przez dwie pierwsze noce uwidoczniło to się jako niezwykle niepokój. Ale już od trzeciej nocy zanikło.

- I właśnie od tego czasu jego wizje zaczynają się urywać.

- Mój Boże, racja. Zawsze myślałem, że jest zbyt ustabilizowany, żeby mieć takie odchylenia.

- Tak, dotąd był niezawodny. Chyba wezwę go do siebie, zadam parę pytań i zobaczę, jak zareaguje. - Op Owen natychmiast ruszył do telefonu, by zrealizować swój zamiar.

- Z Doroteą wszystko w porządku, prawda, proszę pana? - spytał Lajos, przekroczywszy próg gabinetu.

- Ależ oczywiście - uspokoił go op Owen, wskazując fotel.

- A więc chodzi o mój brak wizji, prawda?

Op Owen przez chwilę przyglądał się młodszemu koledze, chłonąc emocje, które ten generował. Niepotrzebny był Talent, żeby wyczuć defensywną nerwowość w postawie Lajosa.

- Niezupełnie. Jasnowidze często mają okresy odpoczynku, wywoływane przez szereg ważnych czynników, włącznie z brakiem pożarów. Jednak twoje zapisy wykazują początek wizji, a potem nagle się urywają.

- Czułem to raz lub dwa razy u siebie w biurze. Jakby coś mnie powstrzymywało.

- Powstrzymywało? - op Owen łagodnie nakłaniał Lajosa do mówienia, kiedy ten zamilkł po swych ostatnich słowach.

- Tak, proszę pana. To tak, jakby coś uniemożliwiało mi dalszy rozwój wizji. Zupełnie, jakbym zaglądał do obcego pokoju, a ktoś nagle zamykał mi drzwi przed nosem.

- Dobrze powiedziane. Potrafisz wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje? Co ci przeszkadza, Lajos?

- Nie uważa pan, że to blokada psychiczna?

- Początkowo tak właśnie myślałem.

Natychmiastową reakcją Lajosa było oburzenie i niedowierzenie.

- Dlaczego miałbym ni stąd, ni zowąd tłumić swoje wizje?

- Z tego powodu, że czegoś sam nie chcesz zobaczyć. Jasnowidzenie nie jest najłatwiejszym z Talentów, Lajos - odpowiedział dyrektor. - Często się zdarza, że jasnowidz sam sobie zakłada blokadę, żeby zmniejszyć presję psychiczną.

- Jeżeli uważa pan, że rozwija się we mnie kompleks Kasandry... - Lajos był już wyraźnie wzburzony.

- Nie, to daje zupełnie inny zapis.

- Dorotea mnie powstrzymuje?

- Gdyby to ci się zdarzało tylko w domu, musielibyśmy wziąć pod uwagę i taką ewentualność. Lecz to mało prawdopodobne z wielu względów; najważniejszy jest ten, że jej pokój ma doskonale osłony zabezpieczające zarówno ją samą przed działalnością naszych ludzi, jak i nas przed jej wezwaniem.

- Ruth? - Lajos zadał to pytanie szeptem, a mimo to rozbrzmiało z niezwykłą siłą. - W końcu ona też jest Utalentowana. Tylko jaki miałyby w tym interes? Ona mnie kocha. Na pewno. Zawsze pomaga mi podczas wizji. Przez to czuje się jedną z nas. - Lajos nie spuszczał wzroku z twarzy op Owena. Energicznie potrząsnął głową, nie

dopuszczając do siebie oczywistych wniosków. - Nie! To niemożliwe! Przecież to by jej nic nie dało.

- Czy ostatnio coś ją niepokoi? Te wythumienia zaczęły się krótko po pierwszym incydencie Dorotei.

Lajos ukrył twarz w dłoniach i jęknął głucho. Opanował się jednak i podniósł głowę. Szybko opowiedział op Owenowi o dziwnym zachowaniu żony i spojrzeniach, jakie czasami rzucała na córkę.

- Tak, teraz to chyba rozumiem. Zrobiła z ciebie chłopca do bicia.

- Chwileczkę, proszę pana. Ruth w żadnym wypadku nie można uznać za osobę małąstkową czy mściwą.

- Ani mi to przez myśl nie przeszło, Lajos. Pamiętaj o wątpliwościach, jakie nią miotają. Do tylu rzeczy musiała się dostosować! Kiedy rozpoczynała program szkolenia, była pełna nadziei. Dobrze pamiętam jej niezwykle entuzjizm i optymizm. Ciężko było nam ją rozczarować. Potem się pobraliście i sprawdziła się doskonale jako wspomagająca. Lecz nawet najbardziej bezinteresowna dusza odczuwa czasami ukłucia zazdrości. Z niecierpliwością oczekiwała macierzyństwa jako ujścia dla swych naturalnych predyspozycji i jako zadośćuczynienia za niepowodzenia. Aż tu nagle znalazła się w sytuacji matki obdarzonej niezwykle córką, która potrafi zmusić nawet dyrektora Centrum, żeby tańczył, jak mu zagra. - Lajos blado odwzajemnił uśmiech op Owena. - Wtedy sądziłem, że boli ją myśl o przekazaniu nam Dorotei choćby pod częściową opiekę. Nie wierzę, że udało mi się ją w pełni przekonać, iż Centrum nie rości sobie żadnych praw do wychowania jej skarbu. Sam chyba teraz widzisz, że przez to może podświadomie karać właśnie ciebie za zagrożenie jej szczęścia.

- Chyba tak. - W głosie Lajosa pobrzmiwała nuta zniechęcenia.

- Nie jest tak źle, jak ci się wydaje - stanowczo stwierdził op Owen. - Przestań poczuwać się do winy i spróbuj spojrzeć na to z innej strony: Ruth jest w stanie stłumić nawet twój silny Talent.

- I to ma być pocieszenie?

- Oczywiście. U podstaw całego zamieszania leży przekonanie Ruth, że nie posiada Talentu. Teraz potrafimy udowodnić jej ostatecznie, że należy do grona Utalentowanych. Doskonale to zaprezentowała. Ostry stres często przełamuje blokady. A ona miała blokadę.

- No tak. - Twarz Lajosa zaczęła się rozjaśniać. - Powiedział pan, że robiła to wszystko podświadomie?

- Mam na to dowód. Drugim będzie wznowienie twoich wizji. Muszę z nią dziś porozmawiać i wszystko odkręcić.

Zadzwoił zaraz po wyjściu Lajosa. Problem Ruth miał głębsze podteksty. Zastanawiał się, ile należy powiedzieć, jeśli nie chce się mówić wszystkiego?

- No dobrze, muszę panu wierzyć - stwierdziła wreszcie Ruth.

Łagodnie zabiegi op Owena przełamały w końcu cały jej system obronny. Nie mogła zaprzeczyć świadectwom zapisów, temu istotnemu, choć ledwie widocznemu drganiu igły rejestratora.

Daffyd op Owen czuł, jak opuszcza go napięcie ostatnich godzin. Wiedział, że to będzie burzliwa konfrontacja i dlatego nie odkładał jej ani na chwilę. Ruth oczywiście była wstrząśnięta, kiedy powiedział jej, że podświadomie blokuje Lajosa. Przyznała się, że czasami Dorotea ją przeraża, że straciła radość, którą czuła tuż po urodzeniu małej - i że bała się, iż córka będzie do niej uprzedzona.

- Tak, muszę panu wierzyć - powtarzała, nie próbując nawet skrywać niechęci. - Ale to niewielka pociecha - dodała z goryczą - gdy wiem, że cały mój Talent sprowadza się do blokowania własnego męża, a w dodatku robię to podświadomie.

- Wręcz przeciwnie - zaproponował op Owen ze śmiechem. - To właśnie Talent, którego najbardziej potrzebujesz, jeżeli zastosujesz go prawidłowo.

Ruth zmierzyła go nieco zagniewanym spojrzeniem, oczekując wyjaśnień.

- Masz silne poczucie moralności, Ruth. Nigdy nie zrobiłabyś niczego przeciw córce, mimo że jej Talent cię przeraża. Jednak będziesz musiała nieco odstąpić od tej skądinąd wspaniałej zasady. Dopóki Dorotea nie dojrzeje na tyle, żeby samodzielnie kontrolować swój Talent, ty będziesz musiała go blokować.

Ruth najpierw zamrugała oczami, jakby nie do końca pojmując znaczenie tych słów, aż wreszcie jej twarz zaczęła się rozpromieniać.

- Oczywiście, oczywiście. Teraz rozumiem. - Pod powiekami zaszczypały ją łzy radości. - To jasne.

Op Owen uśmiechał się do niej.

- Tak. Nie wolno nam dopuścić do tego, żeby Dorotea, ot tak sobie, wchodziła w każdy umysł. Musisz ją ograniczać, korzystając z własnego Talentu. Jest na tyle mocny, że nie będziesz musiała się zbytnio wysilać, by odwieść ją od nadawania czy podsłuchiwania.

- Ale czy to się jej spodoba? Chyba będzie wyczuwała, że to robię, prawda?

- Wszystkie dzieci powinny mieć nakreślone pewne granice. Chcą tego, jeżeli te granice są wprowadzane konsekwentnie i rozsądnie. Dziecko przekonane o tym, że jest kochane i akceptowane, nie będzie się opierało. Gdyby jednak kiedyś zechciała to uczynić, ty wcześniej zaszczepisz jej dyskrecję i twoje wartości moralne. W tym momencie masz wszystko, czego trzeba, żeby powstrzymać Doroteę przed sprawianiem kłopotów i żeby nie zrobić z niej rozwydrzonego dzieciaka.

Ruth natychmiast oburzyła się na jego wyrachowaną obelgę, ale zaraz roześmiała się, rozpoznawszy pułapkę. Opuszczała gabinet z otuchą w sercu, kolejny raz pogodzona z sytuacją, w jakiej przyszło jej żyć.

Op Owen zazdrościł jej. Sam jeszcze nie był do końca przekonany, jak ostatecznie zakwalifikować jej zdolności. Oczywiście, przez ostatnich sześć tygodni udawało się jej blokować wizje Lajosa, jednak w ciągu czterech miesięcy poprzedzających te wydarzenia jego zdolności wzrosły pod względem siły i trafności właśnie dzięki wpływowi Ruth. Czego naprawdę dotyczył jej talent? Czy rzeczywiście, mimo jego własnych zapewnień, będzie mogła „blokować” Doroteę?

Jeśli uwierzy, że potrafi, na pewno tego dokona.

Dobrze, że przestała się bać swego niesamowitego dziecka, pomyślał. Odwrócił fotel do okna i patrzył na spokojny krajobraz Beechwoods, ukoronowany odległymi wieżowcami wielkiego miasta.

Czy nie myliłem się, porównując Talent do niemowlęcia, a społeczeństwo do jego rodziców, którzy mają obowiązek powściągać rozbrykane dziecko? Utalentowani są przecież bardziej zdyscyplinowani od przeciętnych obywateli, których często muszą poszukiwać i strofować, chronić i hołubić. Byłoby katastrofą, gdyby rodzice zaczęli obawiać się własnych dzieci. Która część prawdy pozwoli społeczeństwu nabrać otuchy, tak jak nabrała jej Ruth?

Ci, którzy rzeczywiście pojmują siły psychiczne, nie potrzebują wyjaśnień. Ci, którym potrzebne są wyjaśnienia, nigdy ich nie pojmą.

Dwa dni później, przeglądając polisy instytucji prowadzących badania finansowane z funduszy rządowych, Lajos przeżył jedną ze swych najsilniejszych wizji. Lęk przed płomieniami oładnął nim do tego stopnia, że ledwo zdołał naciągnąć siatkę elektrod na głowę i wcisnąć przycisk łączący go z Centrum.

- Płomienie! - powiedział, dysząc ciężko.

- Gdzie? - spytał spokojny głos z Centrum.

- Ściana ognia, przed wielkim oknem, wychodzi na park. Rododendrony. Czerwone. Zegar na wieży kościelnej... dochodzi dwunasta. Za gorąco! Konwertor jest uszkodzony. Wybuchnie. Tylu ludzi na to patrzy! Oni nie są stamtąd. - Lajos był niebywale zdziwiony, słysząc gniew w swoim głosie. - To oni spowodowali pożar. Namieszali. Znam go! - Walczył, żeby dojrzeć wyraźniejszy obraz tej twarzy.

- Nie lubisz go? Kto to jest?

- Ach, te płomienie. Wszystko zamazują. - Lajos opadł na fotel wstrząśnięty i spocony.

- Dasz radę dojechać do Centrum? Zaraz coś wyślę - powiedział dyżurny.

Zanim Lajos dotarł do centrali komputerowej w Centrum, system działał jak szalony, wyszukując laboratoria, w których przed południem oczekiwano gości i jednocześnie takie, w których korzystano z konwertorów. Wieża kościelna z zegarem wskazywała, że mógł to być jakiś uniwersytet lub college, co również wprowadzono do programu, podobnie jak i czerwone rododendrony.

Op Owen powitał Lajosa pełnym aprobaty uśmiechem.

- To był najsilniejszy zapis, jaki kiedykolwiek nadałeś. Domyślasz się, dlaczego ta wizja tak tobą wstrząsnęła?

- Ani trochę, proszę pana - odpowiedział, siadając.

Nadal był poruszony.

- Mężczyzna, którego rozpoznałeś, to ktoś, kogo wyraźnie nie lubisz. Czy odnosisz wrażenie, że spotkałeś się z nim osobiście?

- Nic. Rozpoznałem jego twarz, to wszystko. Potem wyskoczyły te płomienie.

- Mamy mało czasu. - Op Owen spojrział na zegar wskazujący za piętnaście jedenasta. - Twoja wizja dotarła o dziesiątej dwanaście. Niestety, jest właśnie okres przyznawania funduszy na badania i wszystkie laboratoria w kraju są często wizytowane. Przejdźmy przez to raz jeszcze, Lajos. W twojej relacji uderzyły mnie dwie rzeczy i jeśli uda ci się na nich skupić, dowiemy się chociaż, gdzie to się ma wydarzyć.

- Oczywiście. - Lajos zachował w pamięci obraz płomieni i próbował przedrzeć się przez ich kurtynę. - A pewnego dnia niech mi pan wyjaśni, dlaczego specjalizuję się właśnie w pożarach.

- Bo to obniża stawki ubezpieczeniowe, Horvath - wtrącił sucho Welch, przewijając kasetę. - Nie gardź drobnymi korzyściami.

Lajos słuchał taśmy z całym obiektywizmem, na jaki było go stać, zdumiony drętym brzmieniem własnego głosu i strachem rozbrzmiewającym we fragmentach, kiedy wspominał o płomieniach.

- Chyba mam to, o co chodzi, dyrektorze - powiedział. - Ten konwertor, laboratorium, wieża. To, że wiedziałem, iż ci ludzie nie są stamtąd. Wszystko wskazuje, że znam to miejsce.

- Charlie - rzucił Welch do programisty - włącz do programu podróże Horvatha.

Prawie natychmiast pojawił się wydruk.

- Dyrektorze, to Uniwersytet North East. Wszystko pasuje: zegar na wieży widoczny z laboratorium, gdzie korzystają z konwertora ciepła.

- Oczekują dziś czyjejś wizyty?

- Jeszcze nie wiemy, ale prowadzą finansowane przez rząd prace badawcze w dziedzinie produkcji neoprotein i inżynierii genetycznej.

- Połącz się bezpośrednio z uniwersytetem - powiedział Welch do asystenta, kiedy op Owen głową wskazał telefon.

- Ogranicz się do pytania o ewentualnych gości - dodał dyrektor. - Jest jeszcze coś, co chcę sprawdzić.

- Przepraszam, panie dyrektorze - włączył się Charles, kiedy op Owen podnosił słuchawkę. - Kilka grup ma odwiedzić uniwersytet w ciągu dnia. Doktor Rizer chciałby z panem rozmawiać.

- Daffyd op Owen? Kiedy twoje biuro się z nami łączy, zawsze chodzi o coś ciekawego. Co to jest tym razem?

- Wiesz, Henry, że nie jesteśmy panikarzami.

- Wiem. A więc?
- Zarejestrowaliśmy wizję, która, jak się wydaje, dotyczy twojej uczelni. Jednak nie wszystko się zgadza. Nie jesteśmy nieomylni.
Rizor prychnął ze zniecierpliwieniem.
- O co chodzi w tej wizji?
- Wszystko obraca się wokół konwertora ciepła w laboratorium naprzeciw wieży kościelnej.
- No i? Boże, Dave, wydostać od ciebie słowo to gorzej niż wrywać stare gwoździe z deski.
- Ten konwertor może być uszkodzony. Według wizji wybuchnie i spowoduje pożar w laboratorium tuż przed południem, kiedy będą tam jacyś goście.
- Byłoby straszne, gdyby właśnie tam coś cię miało zdarzyć. Jesteśmy o krok od przełomu w badaniach nad neoproteinami. Eksperymenty, które są w toku, zapowiadają niezwykle obiecujące wyniki. Tylko nikogo się tam dziś nie spodziewamy.
- Więc pewnie już udało się nam coś zmienić.
- Zbyt szybko rezygnujesz, Dave. Dlaczego pożar w moim laboratorium miałby pobudzić kogoś z twoich jasnowidzów? Nie sądziłem, że ich wizje dotyczą miejsc, których nie znają.
- Rozpoznał jednego z gości. To ktoś ważny dla niego.
Welch zaczął dawać op Owenowi gwałtowne znaki.
- Słuchaj, Dave - mówił Rizor - nie będę ryzykował. Zaraz każę sprawdzić konwertor i opróżnić budynek. To również zmieni sytuację. Zresztą i tak nie zamierzałem wpuszczać tam żadnych gości, dopóki nie zakończymy prac. Pomyślne wyniki zapewnią nam fundusze na cały przyszły rok. Dziękuję za ostrzeżenie, Dave. Daj mi znać, jeśli będę mógł się odwdziżyć.
- Zanim op Owen odłożył słuchawkę, Welch był bliski apopleksji.
- Waszyngton przesłał silną wizję na temat senatora Zeusmana!
- To ten, którego widziałem w płomieniach! - Lajos aż podskoczył.
- Połącz mnie z biurem sentora, Charlie, tylko nie mów, kto dzwoni
- zarządził op Owen.
- Dave! - Na długiej twarzy Welcha pojawił się szczególny wyraz.
- On jest ostatnią osobą, którą należałoby ostrzec. Po pierwsze: nie uwierzysz ci. Po drugie: to nasz główny przeciwnik. Dajmy zginąć temu cholernemu bohaterowi.
- Les, nie podoba mi się twoje zboczone poczucie humoru.

- Po prostu staram się myśleć praktycznie - zareplikował Welch.

- Może mi pan powiedzieć, czy spodziewacie się państwo senatora w biurze dziś rano? - Głos Charliego brzmiał wyraźnie w pełnej napięcia ciszy. - Ach tak, rozumiem. A czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mogę znaleźć senatora? Jestem pewien, że ma pan jego rozkład zajęć. Dziękuję. - Zarówno ton głosu, jak i twarz programisty były wyprane z emocji. - Nie ma go w biurze. Jego asystent to chamski, pompatyczny palant.

- Jeżeli nie jest u siebie - odezwał się op Owen - to może właśnie składa jedną ze swych słynnych, nie zapowiedzianych wizyt na jakimś uniwersytecie, razem z innymi członkami Komisji ds. Finansowania Badań Naukowych. To do niego podobne: uwielbia zjawiać się tam, gdzie się go najmniej spodziewają.

- A więc może właśnie lecieć do North East - rzucił Lajos.

Op Owen kazał Charliemu jeszcze raz połączyć się z Rizorem.

- Dyrektorze - zgłosił Charlie po chwili. - Dyrektor Rizer wyszedł z gabinetu. Zostawimy mu jakąś wiadomość?

Op Owen sam sięgnął po słuchawkę.

- Panna Galt? Mówi Daffyd op Owen. Mamy podstawy sądzić, że senator Mansfield Zeusman wpadnie do was z nie zapowiedzianą wizytą jeszcze przed południem. Mogłaby pani przekazać to natychmiast doktorowi Rizerowi? To dobrze. Dziękuję. Może mnie złapać w każdej chwili w Centrum. Tak, można uznać, że sytuacja jest krytyczna.

Lajos troszkę się odprężył, choć niepokój nie ustąpił całkowicie. Uśmiechnął się słabo do dyrektora.

- Czas paradoksalny.

- O co ci chodzi?

- Doktor Rizer uwierzył. Już zmienia okoliczności, które widziałem. Chyba przesadziliśmy.

Oczy op Owena rozbłysły gniewem.

- Mamy ryzykować życie Zeusmana i innych, którzy byli w twojej wizji?

- Nie, proszę pana, nie o tym myślałem - odpowiedział Lajos, nieco urażony tonem dyrektora. - Teraz, kiedy Rizer nie dopuści Zeusmana do laboratorium, nie będzie pożaru.

- Nadal mam wielką ochotę zobaczyć upadek tego wróbla. - Welch mruknął niby do siebie, jednak dość głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

Op Owen z udawaną nonszalancją kołysał się w fotelu, ale nie spuszczał oka ze swego zbuntowanego elektronika.

- Nie ulegniemy żadnej pokusie, panowie - powiedział wreszcie, jak zwykle spokojnie. - Nie jesteśmy Panem Bogiem i nie próbujemy Go zastąpić. Dar przewidywania przyszłości ma na celu zapobieganie nieszczęściom, a nie czynienie cudów. Nie jesteśmy nieomylni i dlatego zawsze musimy być maksymalnie obiektywni i starać się pomóc każdemu, kogo dotyczą nasze wizje, bez względu na to, kim jest. Już wiele...

- Dyrektorze - Charlie przerwał mu uprzejmie, lecz stanowczo. - Mamy dwa dalsze sygnały o zagrożeniu życia senatora Mansfielda Zeusmana. Nikt nie może do niego dotrzeć i zwracają się z tym do nas.

Wydawało się, że op Owen zaklął cicho. Zerknął na zegar, którego wskazówki nieubłagalnie wskazywały wpół do dwunastej.

- Za mało zmieniliśmy przyszłość - jęknął Lajos.

- Charlie, postaw w pogotowiu wszystkie zespoły ratunkowe w rejonie North East! - rozkazał op Owen stanowczo, lecz spokojnie. - Spróbuję jeszcze raz złapać Rizora. Les, daj Lajosowi coś na uspokojenie. Henry, cieszę się, że cię znów słyszę.

- Nic się nie martw - odpowiedział doktor Rizor pogodnie. - Ekipa techniczna właśnie sprawdza konwertor, a budynek jest ewakuowany. Panna Galt mówiła coś o nie zapowiedzianej wizycie Zeusmana. Co to ma znaczyć?

- Wszystko na to wskazuje, a my ciągle odbieramy ostrzeżenia odnoszące się do jego osoby.

- Nie denerwuj się, Dave. Tu wszystko już załatwiliśmy. - Rizor nie tracił dobrego nastroju. - Nawet mysz nie prześlizgnie się przez bramę, zanim nie zamelduje się w rektoracie i... O, nie! Nie!

Połączenie zostało przerwane. Op Owen rozejrzał się po otaczających go twarzach.

- To się nazywa: zamknął stajnię, kiedy koń już zwiął - powiedział Welch. - Stawiam dwa do jednego, i to bez pomocy jasnowidzów, że Rizor właśnie uświadomił sobie, iż Zeusman lata helikopterem.

- Charlie, połącz mnie natychmiast z lotnym zespołem ratunkowym.

- Są już na terenie uniwersytetu, ale mają kłopoty przy bramie - przekazał po chwili Charlie.

Welch podrapał się po głowie, przyglądził włosy za uszami, starając się nie patrzeć w oczy op Owenowi. Lajos podziwiał spokój dyrektora, kiedy nagle sam się opanował, i to bez pomocy leków.

- Proszę pana, sędzę, że sytuacja rozwija się, jak należy.

Wszyscy spoglądali na zegar wskazujący niemal dokładnie południe. Wskazówka sekundnika przesuwiała się z bezlitosną nieuchronnością. Sygnał telefonu sprawił, że równocześnie podskoczyli. Op Owen włączył zewnętrzne głośniki.

- Chcę rozmawiać z dyrektorem tego tak zwanego Centrum - zagrzmał kategorycznie głęboki bas.

- Op Owen przy telefonie, senatorze Zeusman.

- Cóż, nie spodziewałem się pana.

- Chciał pan mówić z dyrektorem, to ja. - Op Owen nie włączył wizji.

Spokojny ton odpowiedzi na chwilę zbił senatora z pantałyku.

On również nie skorzystał z kanału wizyjnego.

- Dzisiaj naprawdę przeciągnął pan strunę, Owen. Sądziłem, że jest pan mądrzejszy i nie będzie próbował na mnie tych swoich magicznych sztuczek. - Głos senatora był nasycony ironią i samozadowoleniem. - Wybuch konwertora ciepła, też mi coś! Nie wiedział pan, że te urządzenia są tak skonstruowane, iż nie mogą wybuchnąć? To najbezpieczniejszy i najoszczędniejszy system ogrzewania wielkich budynków. Są na to naukowe, powtarzam: naukowe, dowody.

- Przecież już panu mówiłem, senatorze - włączył się Rizer - że wykryto uszkodzenie w systemie odprowadzania ciepła konwertora. Moi technicy stwierdzili to ponad wszelką wątpliwość.

- Niech się pan wyłączy, Rizer. Panem zajmę się później. Jak pan śmie ubiegać się o fundusze na badania, które arbitralnie przerywa pan w kluczowym momencie jedynie na podstawie insynuacji bandy pomyleńców? Pański uniwersytet nie jest w stanie obracać publicznymi pieniędzmi. - Zeusman niemal warczał.

- Ani myślę się wyłączyć, Zeusman. To mój uniwersytet w wolnym podobno jeszcze kraju i nie żałuję, że posłuchałem ostrzeżenia doktora op Owena. Stwierdzono usterkę, która mogła doprowadzić do wybuchu w okolicznościach przewidzianych przez...

- Niech pan nie broni Owena, Rizer - przerwał mu senator. - Jego mieszanie się do nie swoich spraw zbyt wiele kosztuje jego

popleczników. Jak się dzisiaj czuje Joel Andres, Owen? Jak się rozwija jego choroba? Niech pan pamięta, prognozując jego śmierć, że badania, których wyniki zniweczył właśnie pański spisek, mogły uratować mu życie.

Rozległ się donośny trzask rzuconej słuchawki.

- Dave? - W głosie Rizora słychać było rezygnację.

- Jestem - odpowiedział op Owen. - Co on mówił o Joelu Andresie?

- Nic nie wiedziałeś? Myślałem, że stale pilnujecie ważnych ludzi, na przykład Zeusmana. - Wypowiedział to nazwisko z wyraźnym obrzydzeniem.

- Nie miałem żadnych doniesień o Joelu. Trudno planować wizje, sam się o tym przekonałem.

- Ten cholerny konwertor naprawdę był uszkodzony. - Rizor był w buntowniczym nastroju. - Ekspłodowałby przy najmniejszym przeciążeniu. Uratowałeś i Zeusmana, i pozostałych.

- A Joel? To prawda o jego wątrobie?

- O ile mi wiadomo, tak - westchnął Rizor. - Nasze badania dotyczyły pewnej neoproteiny, zdolnej zastąpić uszkodzone białka endogenne i przywrócić prawidłowy metabolizm. Nie martw się. Eksperyment można powtórzyć.

- Nawet jeśli Zeusman wstrzyma dotacje?

- Są jeszcze inne źródła finansowania, i tu mam zamiar skorzystać z twego tak zwanego mieszania. Do cholery, przecież ten konwertor naprawdę mógł lada chwila wylecieć w powietrze!

Lajos ledwie trzymał się na nogach, kiedy wrócił do domu. Ruth wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się o tym przekonać. Przygotowała mu solidnego drinka. Połknął go jednym haustem i padł na łóżko z umęczonym uśmiechem.

- Dorotea śpi? - spytał z nadzieją.

Był zbyt zdenerwowany, żeby nie wysyłać zaburzonych sygnałów emocjonalnych i zbyt zmęczony, żeby je stłumić.

- Już od dawna. Od ładnych paru godzin, kochanie - odpowiedziała, masując napięte mięśnie męża.

Nie pytała go o nic. Czują, jak powoli odpręża się pod wpływem alkoholu i jej dotyku.

Obudził się tuż przed kolacją i sprawiał wrażenie opanowanego. Śmiał się z wyczynów Dorotei i bawił się z nią na dywanie, aż nadeszła pora, by położyć ją do łóżeczka. Dopiero kiedy dziewczynka usnęła w swej sypialni wyłożonej ekranami ochronnymi, opowiedział Ruth o wydarzeniach dnia.

- O nie, wszyscy, tylko nie pan Andres! - jęknęła, gdy skończył.

Lajos nie dostrzegł rumieńca, wywołanego wspomnieniem jedyne go jej spotkania z czarującym senatorem. Był wówczas taki miły, a ona taka zażenowana.

- Skąd mogłem wiedzieć, że będzie w to wszystko zamieszany? Widziałem płomienie. Nie miałem pojęcia, że uratujemy Zeusmana kosztem Andresa.

- Ależ oczywiście, kochanie! - Ruth niemal krzyknęła, przerażona, że brał całą winę na siebie. - Nie byłeś w stanie temu zapobiec! To nie twoja wina! Uratowałeś dziś wielu ludzi! Naprawdę wielu!

- Wszystko świetnie, Ruthie, tylko dlaczego, dlaczego to się odbiło właśnie na Andresie? Gdyby Rizor nie kazał wyłączyć konwertora, eksperyment zostałby zakończony. Wystarczyłoby nie wpuszczać tam nikogo z zewnątrz.

- To niezupełnie tak - zaprotestowała. - Sam mówiłeś, że konwertor był uszkodzony. Gdybyś nie miał wizji, nikt nie znalazłby tej usterki. Wybuch nastąpiłby prędzej czy później. Kto wie, ilu ludzi by wówczas zginęło?

- Ale to Andres potrzebował tego nowego białka.

- Wyprodukują je w innym ośrodku - stwierdziła stanowczo, żeby oddalić od niego złe myśli. - Tyle już dokonano w transplantologii.

- Ale nie z wątroba! Ta neoproteina miała skorygować nieprawidłowy rozwój białek, przywrócić właściwy metabolizm białek endogennych. Właśnie to powoli zabija senatora Andresa. Złe białka gromadzą się w jego wątrobie i śledzionie, powiększając je i blokując. Kiedy wątroba przestaje działać, to już koniec. Bilet na tamten świat!

Ruth łagodnie masowała ciało Lajosa, wiedząc, że teraz sam musi znaleźć sposób, by uporać się z nurtującymi go problemami. Wtulił twarz w zagłębienie jej szyi, odnajdując spokój, ulgę i odprężenie. Dopiero kiedy usnął, wróciła pamięcią do strasznego paradoksu, do tragicznego splotu okoliczności i nie spełnionych intencji Dobrego Samarytanina.

Bóg daje człowiekowi panowanie nad zdolnościami oraz wolną wolę, która pozwala z nich korzystać lub się ich wyrzec. Dlaczego często jest tak, że człowiek działający w dobrej wierze wpada we własne sidła?

Kiedy wreszcie, na krótko przed świtem, sen zaczął otulać ją swym ciemnym szalem, zastanawiała się jeszcze, czy nie powinna nauczyć się używać danego jej Talentu w taki sposób, aby uchronić Lajosa przed podobnymi wizjami. Jednak tuż przed zaśnięciem doszła do wniosku, że nie ma prawa przyjmować tak negatywnej postawy. Zawsze trzeba myśleć pozytywnie. Nie jesteśmy sędziami innych ludzi, a jedynie ich strażnikami.

- Muszę przyznać, że spodziewałem się telefonu od ciebie, Dave - powiedział Joel Andres, uśmiechając się z ekranu wideofonu. - To żadna wizja, nic z tych rzeczy - mówił, nie dopuszczając op Owena do głosu. - Pewien dobry senator z wielkiego, środkowozachodniego stanu specjalnie się ze mną skontaktował, żeby mnie o tym uprzedzić. Oznajmił, że jestem następnym wróblem, który musi upaść, ponieważ jego ulubiony szaman źle odczytał informacje ze swej szklanej kuli. Nie uwierzyłem mu ani trochę, Dave, choćby dlatego, że nigdy nie wierzyłem, iż sprawa z tą całą proteiną zakończy się wcześniej niż moje nikomu niepotrzebne życie. - Choć Andres starał się nadać głosowi żartobliwe brzmienie, nie zdołał oszukać op Owena.

- Ile ci czasu zostało, Joel?

- Chyba dość, żeby wypchnąć ustawę z komisji, Dave, a wówczas będę mógł uznać, że nie zmarnowałem życia. Zeusman nie jest w stanie odeprzeć tej masy dowodów, jaką udało się nam zgromadzić. Zbyt wielu ludzi zostało uratowanych dzięki ostrzeżeniu na podstawie potwierdzonych wizji. A propos, Welch mi powiedział, że ostatni incydent wystąpił o dziesiątej dwanaście. Wiesz może, o której godzinie Zeusman kazał pilotowi lecieć do North East?

- O dziesiątej dwanaście?

- Właśnie! I mamy to na papierze. Zapisane w książce lotu! Przyjaciół wydobyl to od pilota, który wcale nie jest takim nadętym bufonem, jak sam Zeusman. Ta zbieżność napędziła mu niezwykłego stracha. Nie myśl, że nie wygarnę tego staremu grubasowi.

- Nigdy się nie przyzna, że nasze ostrzeżenie uratowało mu życie.

- Wcale nie musi się do tego przyznawać. Fakty mówią same za siebie. Ale muszę powiedzieć, że w jednej sprawie jednak się pomyliłeś, Dave - Joel roześmiał się jak sztubak.

- Gdybym wiedział to, co wiem teraz, nie kiwnąłbym palcem akurat w tym jednym jedynym przypadku.

- Ani przez moment w to nie wierzę! - Śmiech senatora był niemal zaraźliwy. - Choć, może, rzeczywiście... jeżeli to wydarzenie nadłamało twój altruistyczny pancerz, to warto było doczekać takiej chwili. Można z tego powodu umrzeć, bo nie ma nic lepszego, niż złapać uczciwego na oszustwie. Teraz muszę zabrać się do roboty.

- Joel, powiedz mi...

- Spoko, człowieku. Nie psuj mi zabawy, nie tym razem!

Senator przerwał połączenia. Daffyd op Owen w zamyśleniu wpatrywał się w ścianę po drugiej stronie biurka, pierwszy raz w życiu nie mogąc opanować natłoku gorzkich myśli.

- Dave? - Głos Welcha ledwo przebił się przez te rozmyślenia. - Jest pewna anomalia... Och, przyjdę z tym później.

- Nie, Lester. Pokaż.

Welch obrzucił przyjaciela badawczym spojrzeniem, ale bez komentarzy rozwinął wykres.

- Ruth Horvath! - Op Owen był zaskoczony, niemal zirytowany faktem, że to właśnie jej sprawy zakłócają mu spokój.

- Spójrz tu, na wykres dziecka. Incydent za incydem. Porównaj to z Ruth. Nic. Żadnego sygnału, choćby najslabszego. A przecież, według ciebie, ona potrafi blokować córkę.

Zaciekawiony op Owen skupił się na wykresach.

- A to co? - spytał, wskazując utrzymujące się odchylenie emfatyczne.

- To właśnie ta anomalia. Pojawiła się zeszłej nocy. Odchylenie spontaniczne. Wszystkie dotychczasowe sygnały były reakcją na jakiś bodziec, zwykle pochodzący od Lajosa. Jeśli się dobrze przyjrzyysz rozkładowi wierzchołków, przekonasz się, że to odpowiada incydentowi kinetycznemu.

- Trochę zbyt ścieśnione jak na prawdziwą kinetykę.

- Wykluczam jasnowidzenie. Odnajdywanie też odpada. Jak zresztą można czegoś szukać przez sen? Odnajdywanie to działalność jak najbardziej świadoma. Nie, to z całą pewnością wzór kinetyczny.

- Z jakiego powodu? Na co skierowany?

- A kto to może wiedzieć? Rzecz w tym, iż kiedy przestała wythumiać męża, wcale nie zaczęła blokować córki. A to już poważny problem. Komu potrzebny ząbkujący niemowlak o niesamowitej sile telepatycznej, podnoszący larum za każdym razem, gdy zmoczy pieluchę lub gdy go coś zaboli?

- Ząbkujący?

- Zapomniałem, że nie jesteś ojcem - dorzucił Welch z pobłażaniem. - To znaczy, że nie miałeś styczności z niemowlętami.

Op Owen skrupulatnie analizował wykresy, z których jasno wynikało, że Ruth jednak nie jest w stanie świadomie stosować blokady. To fatalnie. Skrzywił się, spoglądając na niefortunny zapis.

- Ona to ma. Korzystała z tego.

- Tyle że nieświadomie.

- Nie chciałabym uciekać się do interferencji terapeutycznej. To może na zawsze zablokować świadome korzystanie z Talentu.

- To jedyna terapia dla Ruth. W przeciwnym razie dziecko będzie tyranizować oboje rodziców. Musisz temu zapobiec. Tak silne dziecko musi mieć jakieś ograniczenia, i to zaraz, zanim rozwinię obronę przed nimi.

Op Owen po raz ostatni przestudiował wykresy, potrząsając głową na widok sygnałów Dorotei. Widział, że jej matka je odbiera, ale nie blokuje.

- To mogłoby być uzasadnione wezwanie.

- Nie czaruj się, Dave. Wiem, że nie cierpisz majstrowania przy Talencie, bo uważasz, że wszystko powinno rozwijać się spontanicznie. Lecz musisz przyznać, iż Ruth Horvath nie jest osobą zdolną świadomie korzystać ze swego talentu. Zamieszaj troszkę!

Op Owen podniósł się ze ściągniętą twarzą.

- Wpadnę do nich dzisiaj. Miejmy nadzieję, że ona dobrze reaguje na hipnozę.

- Reaguje. Sprawdziłem jej kartotekę.

Dwa dni później Welch wszedł do gabinetu z triumfalnym uśmiechem na twarzy i dwiema taśmami papieru w rękach.

- Udało się, szefie, spójrz: zablokowany sygnał, jeden, drugi, wszystko przy minimalnym wysiłku Ruth. Jednak, niech to szlag, ona nie jest czystą kinetyczką. Co mogłaby poruszyć tak delikatnym dotykiem? Jak ona stosuje ten cholerny blok?

- Nieświadomie - odpowiedział mu op Owen z chytrym uśmieszkiem. - Z drugiej jednak strony, jeżeli ten wpływ jest tak delikatny, to świadomość wcale nie jest tu potrzebna. Nie zagłębiałem aż tak głęboko, ale przecież tylu Utalentowanych działa zbyt silnie, stosuje sztywno zamiast mikroigieł.

Zmrużył oczy na wspomnienie żalostnej niewiary we własny Talent, która tkwiła w podświadomości Ruth. Jej incydenty nie dotyczyły pola świadomości, skryte w najgłębszych pokładach psychiki, na których badanie Daffyd nie miał czasu ani ochoty. Ruth była wspaniałą kobietą. Wszystkie jej myśli krążyły wokół męża i córki; wszystkie niepokoje wynikały z lęku, że może wyrządzić nieodwracalną krzywdę Dorotei bądź stłumić zdolności Lajosa. Łatwo było wymazać świadomość Talentu i zastąpić ją poczuciem spełnienia i spokoju. Dobrze też zareagowała na pohipnotyczne polecenie, żeby wyłapywać i tłumić telepatyczne sygnały Dorotei w celu zmuszenia małej do wyrażania swych pragnień słowami. Usunął także niechęć do posiadania następnych dzieci wywołaną poczuciem, że nie nadaje się na matkę obdarzonego Talentem potomstwa. Ruth potrzebowała sporo pewności siebie i właśnie to udało mu się jej zaszcześcić.

- Spytaj Jerry'ego Framesa, kiedy Ruth będzie mogła mieć kolejne dziecko - zwrócił się do Welcha. - Nie chciałbym, żeby była zbyt duża różnica wieku między pierwszą dwójką, zanim zniechęci się na dobre.

- Przepraszam, Daffyd - powiedziała jasnowidzka z Waszyngtonu. - Całymi godzinami wpatrywałam się w zdjęcie Joela Andresa. Czytałam stenogramy jego wystąpień, jego pamiętniki. Siedziałam w poczekalni jego gabinetu, aż ochrona poprosiła mnie na rozmowę. Potem on sam się zjawił; poznał mnie oczywiście i dał mi nawet swój szal. - Mara Hełm zamilkła, żeby zaczerpnąć oddechu. - Powiedział, że to na pamiątkę po nim. Ale ja tego nie widzę.

- Nie wywołuje żadnej wizji?

- Przynajmniej nic tragicznego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przecież wiesz, Dai. Brak jakichkolwiek oznak, że wkrótce od nas odejdzie. A jak ci wiadomo, jestem bardzo dokładna w takich sprawach.

- Nie pojmuję tego, Maro.

- Ja też nie. Zwłaszcza gdy słyszę te wszystkie plotki.

- Jakie?

- O tym, że senator Andres marnuje swe ostatnie chwile, pomagając jakiejś mniejszości, która nie tylko przewidziała jego rychły zgon, ale i zniweczyła jego ostatnią szansę na zdobycie leku mogącego przedłużyć mu życie. - Znać było, że nie przepada za powtarzaniem plotek, zwłaszcza takich. Nagle chrząknęła. - Jednak miałam wizję - powiedziała rozbawiona.

- Rozumiem, że dobrą. Chętnie usłyszę coś pocieszającego.

- Wkrótce się zobaczymy, i to tutaj.

- W Waszyngtonie? - zdumiał się.

Rzadko opuszczał Centrum, a w obecnej sytuacji nie miał najmniejszego zamiaru postawić stopy na waszyngtońskim asfalcie.

Dwa tygodnie po rozmowie z Marą, op Owen, zdenerwowany jak student przed ważnym egzaminem, wysiadał z helikoptera na lądowisku Senatu. Mara Helm i Joel Andres czekali na niego. Daffyd dostrzegał jedynie senatora, który różnym krokiem zmierzał w jego stronę. Joel z szerokim uśmiechem uścisnął mocno dłoń telepaty, zapominając na moment, że Daffyd nie znosił kontaktów fizycznych.

Lecz tym razem op Owen nie pragnął niczego innego jak właśnie dotyku przyjaciela. Odebrał silne prądy emanujące zarówno z jego umysłu, jak i ciała. Nie wierzył własnym oczom! Jasne tęczęwki Andresa i zdrowa opalenizna na twarzy pozbawione były całkowicie żółtego zabarwienia, wskazującego na kłopoty z wątrobą! Op Owen całym ciałem wyczuwał zdrowie i energię tryskające z senatora.

- Co się stało? - spytał lekko ochrypłym głosem.

- Kto to może wiedzieć? - Joel tylko wzruszył ramionami. - Lekarze mówią o spontanicznej remisji choroby, twierdzą, że mój organizm zaczął znów produkować właściwe enzymy. Może to mieć coś wspólnego z przesunięciem białek kodowych w RNA czy czymś takim. Najważniejsze, że żadne świństwa już się we mnie nie gromadzą, a stara wątroba wróciła do ludzkich rozmiarów, co mi świetnie poprawia humor. Tak więc, przyjacielu, nie potrzebuję więcej tych badań nad neoproteiną wstrzymanych przez Zeusmana.

Mara Helm cały czas trzymała się na uboczu, uśmiechając się łagodnie, aż wreszcie mężczyźni przypomnieli sobie o niej.

- A widzisz, Dai, jesteś tu, tak jak przepowiedziałam!

- Masz wykresy i dokumenty, o które cię prosiłem? - spytał Joel.

- Proszę bardzo. - Op Owen podał mu wypchaną teczkę.

- Świetnie! - Trudno było nie dostrzec złośliwego uśmiešku na twarzy senatora. - Dziś nasz kochany Mansfield wpadnie we własne sidła. - Na moment w jego oczach pojawiły się iskierki gniewu. - Jednak chcę cię za coś przeprosić, Daffyd. Musiałem się zgodzić na... jak to nazwałaś, Maro? Środki bezpieczeństwa?

Usta dziewczyny zadrgały, a w jej oczach również błysnęło oburzenie.

- Kabina z osłonami? - spytał Daffyd.

- Tak - warknął Joel. - Nie myśl, że nie protestowałem.

- Prawdę mówiąc, wrzeszczał jak oszalały. Cały Waszyngton go słyszał. Postanowiłam dotrzymać ci towarzystwa w tym pozłacanym akwarium - uśmiechnęła się zalotnie.

- Będiesz miał tam lepiej niż ja - dodał Andres. - W każdej chwili możesz wyłączyć Zeusmana.

- Kto? Ja? - spytał Daffyd i cała trójka ze śmiechem wkroczyła do budynku Senatu.

Postępowanie senatora Zeusmana w najmniejszym stopniu nie zaskoczyło op Owena. Nie spodziewał się niczego innego. Chociaż senator zainicjował generalną inspekcję wszystkich Centrów, osobiście nigdy nie przekroczył progu żadnego z nich. Najwidoczniej należał do tej grupy ludzi, którzy sądzą, że każdy telepata tylko czyha na okazję, żeby móc czytać w cudzych myślach. Nie był w stanie uwierzyć, że telepacji działali jak chirurg przeprowadzający operację w nadziei, iż uda mu się rozpoznać złośliwe schorzenie. Zresztą Zeusman często dawał wyraz swemu brakowi zaufania do psychiatrii w ogóle, więc trudno było go uważać za człowieka o szerokich horyzontach.

- I jeszcze jedno - powiedział Andres, otwierając drzwi do ekranowego pomieszczenia. - Pamiętaj, że jesteś tu na zaproszenie komisji, a nie Zeusmana czy moje. Mogą chcieć cię o coś spytać. Proszę cię, Dave, nie mów im od razu wszystkiego, co wiesz.

- Będę szalenie oszczędny w słowach, obiecuję.

- To mogłoby nam diabelnie pomóc - dodał Andres.

Najwyraźniej nie miał zaufania do nagłej zmiany w postawie przyjaciela.

- Czyż Joel nie wygląda wspaniale? - szepnęła Mara, kiedy oboje zajmowali miejsca.

- Tak - rzucił op Owen i natychmiast zamilkł.

Nawet tak krótka wymiana zdań przekazywana na salę za grubą szybą sprawiła, że wszystkie głowy zwróciły się w ich kierunku. Op Owen założył nogę na nogę, zaplótł dłonie na brzuchu i starał się sprawiać wrażenie osoby jak najbardziej opanowanej.

Wbrew przewidywaniom Daffyda Zeusman wcale nie był potężnym mężczyzną. Nie był też karłem, co mogłoby w pewnym sensie tłumaczyć jego agresywną, nacechowaną podejrzliwością osobowość. Bardziej przypominał profesora niż senatora, może z wyjątkiem nazbyt ożywionej gestykulacji, znamionującej osobę przyzwyczajoną do przemawiania przed szerokim audytorium. Właśnie tłumaczył coś zawzięcie, wymachując rękami i najwyraźniej ignorując Andresa, który zasiadł za stołem konferencyjnym.

Pozostałych pięciu członków komisji skinęło głowami na powitanie Joela. Przyjazne uśmiechy zgasły na ich twarzach, kiedy znów spojrzeli na mówcę. Daffyd domyślił się bez trudu, że słuchacze Zeusmana byli już szczerze znudzeni jego przemową i stale powtarzanymi argumentami.

- Ci eksperci - tu Zeusman zatrzymał się na chwilę, aby do słuchaczy dotarła cała ironia, z jaką wypowiedział ostatnie słowo - twierdzą, że samo ogłoszenie przepowiedni wystarczy, by zmienić okoliczności i bieg zdarzeń. Osobiście uważam to za złośliwe unikanie konsekwencji ich niebezpiecznego mieszania się w nie swoje sprawy.

- Mansfield, słyszeliśmy to już ze sto razy - przerwał mu szczupły, łysy mężczyzna o jastrzębim nosie. Op Owen rozpoznał Lamberta Goulda McNabba, starszego senatora z Nowej Anglii. - Zwołał pan to nadzwyczajne posiedzenie, twierdząc, że jest w posiadaniu nowych dowodów na to, iż ustawa powinna zostać odrzucona.

Zeusman z wściekłością przyglądał się, jak McNabb spokojnie napemnia fajkę tytoniem, zapala ją, zaciska palcami nos, żeby wyrównać ciśnienie w uszach. Po chwili senator zwrócił niewinnie zaciekawioną twarz na Zeusmana.

- No, dalej Mansfield, co pan tak zamilkł?

- Czy jest pan gotów mnie wysłuchać, senatorze McNabb?

- Oczywiście, Mansfield.

- Moim najgłębszym przekonaniem było to, że zapewnienie ochrony tym wścibskim osobnikom po prostu kłóci się ze zdrowym rozsądkiem, poczuciem etyki i wszelkimi prawami ludzkimi czy boskimi. Oni uzurpują sobie pozycję Wszechmogącego, decydując, kto ma żyć, a kto umrzeć.

- Niech pan nie odbiega od tematu - zwrócił mu uwagę McNabb.

- Z największą ochotą, senatorze McNabb, o ile zechce się pan powstrzymać od ciągłego przerywania mi.

Zeusman popatrzył na pozostałych członków komisji, jakby szukając poparcia, którego nie znalazł.

- Czternastego lipca tego roku opuściłem moje biuro, znajdujące się zresztą w tym budynku, w celu odwiedzenia kilku uniwersytetów ubiegających się o dalsze dotacje na badania naukowe. Jak panom zapewne wiadomo, mam zwyczaj zjawiać się bez uprzedzenia. Dlatego dopiero w powietrzu dałem pilotowi dyspozycje, dokąd ma lecieć.

- Która to była godzina? - szybko spytał Andres.

- Czas jest tu bez znaczenia.

- Nie, nieprawda. Zadaję formalne pytanie: o której godzinie dał pan instrukcje pilotowi?

- Zupełnie nie pojmuję, jakie to może mieć znaczenie.

- Mam tu przed sobą zapis z książki lotów otrzymany z eskadry senackiej - powiedział Andres, przekazując kserokopię McNabbowi.

- Dokument stwierdza, że było to o dziesiątej dwanaście czasu letniego - oznajmił przewodniczący, podając kopie pozostałym członkom komisji.

Zeusman przyglądał się temu spod przymrużonych powiek.

- Mam również - ciągnął dalej Joel, zanim Zeusman zdołał się wtrącić - potwierdzone zapisy encefalograficzne czterech wizji: z Centrum Wschodnioamerykańskiego, z Biura w Waszyngtonie, z Centrum Delta i z Quebecu. Czas wystąpienia wszystkich tych wizji, z poprawką na różnice stref czasowych, mieści się między dziesiątą dwanaście a dziesiątą szesnaście. Przepraszam, że przerwałem panu, Zeusman, ale staram się zachować chronologię wydarzeń.

Senator zmierzył go nieprzychylnym spojrzeniem, lecz za moment znów na niego zerknął, jakby zdziwiony. Op Owen zastanawiał się, czy to nie właśnie wtedy Zeusman zauważył, że stan zdrowia Andresa wyraźnie się poprawił.

- No więc, kiedy mój helikopter wylądował na terenie Uniwersytetu North East, zarówno ja, jak i towarzyszące mi osoby zostaliśmy siłą powstrzymani przez doktora Rizora, prorektora do spraw badań, oraz przez współpracowników przed przeprowadzeniem inspekcji. Zrobili to, powołując się na wizję rzekomo zapowiadającą naszą śmierć w płomieniach z powodu awarii konwertora ciepła, który miał ponoć wybuchnąć, gdy tylko wejdziemy do budynku laboratorium. Cóż, panowie, natychmiast rozszyfrowałem pułapkę, w którą usiłowano nas wpędzić.

- Hola, hola, Mansfield - przerwał mu Robert Teague, pukając palcem w leżące przed nim papiery. - Zapis wizji, który leży tu przede mną, a jestem w tym już tak dobry, że nie potrzebuję eksperta, który musiałby mi ją objaśniać, wyraźnie wskazuje, że tak właśnie miało się stać. Tuż przed dwunastą w południe. O której godzinie przyleciał pan do North East?

- Za kwadrans dwunasta.

- A więc byłby pan w tym budynku około południa. Moim zdaniem, ta wizja uratowała panu życie.

- Moje życie? Niech pan nie będzie śmieszny!

- Ja? Nie! To pan jest śmieszny - odparował wyraźnie wzburzony Teague.

- Nie jestem idiotą. Wiem, kiedy ktoś robi mnie w konia, mimo tych wszystkich sfalszowanych dokumentów. Cała ta sprawa była zaplanowana. Konwertory nie wybuchają.

- Ma pan rację. W takim razie, jak można było zaplanować wybuch jednego z nich dokładnie na dwunastą w południe w North East, kiedy nikt, włącznie z panem, do dziesiątej dwanaście nie wiedział, dokąd pan poleci?

- Po rozebraniu konwertora wykryto uszkodzenie: w stalowym zbiorniku zgromadził się nadmiar powietrza - wtrącił Andres, rozdając komisji kolejne dokumenty. - Trzeba było wymienić komorę główną. Istniało realne zagrożenie wybuchem właśnie w warunkach wskazanych podczas wizji.

- Ale nie wybuchł! - wrzasnął rozsierdzony Zeusman.

- Nie, ponieważ wyłączono go na czas.

- Właśnie. Cała ta sprawa to jedno wielkie oszustwo. Dziesiąta dwanaście, dwunasta, mniejsza z tym - Zeusman mówił z szybkością karabinu maszynowego, nie dopuszczając nikogo do głosu. -

Ważniejsze jest to, że wyłączając ten podobno uszkodzony konwertor, zrujnowano eksperyment prowadzony za pieniądze podatników, który, wszystko na to wskazuje, mógł pomyślnie zakończyć bardzo delikatny i wartościowy program badawczy. Ja również mogę pokazać wam pewne dokumenty. - Dramatycznym gestem rzucił na stół plik zszywek. - Są to oświadczenia wielu wykwalifikowanych, wykształconych naukowców o wysokim autorytecie, odpowiedzialnych za badania nad neoproteiną. I w tym miejscu właśnie ci wtrącający się do nie swoich spraw półbogowie zaplątali się we własne sieci. Badania nad proteiną zostały brutalnie przerwane tuż przed osiągnięciem ostatecznego zwycięstwa. Byłoby nim uzyskanie substancji zdolnej zapobiegać zbyt częstym niestety i bolesnym zgonom z powodu niewydolności wątroby. Mogła uratować życie jednemu z członków wysokiej komisji. Jeżeli zatem ci jasnowidze są tak niezawodni, tak dobrzy, altruistyczni i mądrzy, to dlaczego, powtarzam: dlaczego nie potrafili przewidzieć, jakie skutki wywrze ich działalność na życie ich ulubionego senatora?

Altruizm i dobroć op Owena osiągnęły najniższy poziom. Czuli nieodparte pragnienie zamiany swego Talentu na kinetyczny i zamknięcia na zawsze tchawicy Zeusmana.

- Też coś! - krzyknął Joel Andres, zrywając się na równe nogi. - A dlaczegoż to niby mieli przewidywać moje rychłe zejście z tego świata, drogi kolego? Z powodu niewydolności wątroby? To ciekawe! Oczywiście dysponuje pan odpowiednimi dokumentami, senatorze. Na przykład moim aktem zgonu?

- Spokojnie, Joel - odezwał się McNabb, spoglądając przyjaźnie na Andresa. - Wszyscy widzimy, że jesteś zdrow jak rydz, choć przyznaję, ostatnio nie wyglądałeś najlepiej. Dobrze, że to się zmieniło.

- Przecież mam raporty stwierdzające, że on umiera na niewydolność wątroby - powiedział Zeusman.

- Potwierdzone? - spytał sarkastycznie Teague.

- Spokojnie, Teague. Wszyscy wiemy, że Zeusman stara się wykonać robotę, do jakiej został wybrany: ma ochronić swój elektorat i kraj. Kiedyś było to równie łatwe... - McNabb przerwał, żeby zaciągnąć się fajką - ...jak znalezienie porządnego substytutu tytoniu. Jednak Zeusman udowodnił, że dla większości z nas to nie jest dobre.

- Rozmawiamy o ekspertach, nie o tytoniu - przypomniał mu Zeusman.

- Wcale nie, mówimy o postępie na poziomie, który pewnym z nas równie trudno osiągnąć, jak innym trudno rzucić palenie. Z drugiej jednak strony udowodniono, że palenie szkodzi. Natomiast ci ludzie udowodnili, że mają naukowe podejście do swej działalności i że ich Centra chronią zdrowie i mienie obywateli. Wszystko, co tu dziś usłyszeliśmy... - McNabb gwałtownym ruchem fajki osadził Zeusmana, który wstał, aby mu przerwać - ...przekonuje mnie ostatecznie, że nie potrafi pan wyciągnąć właściwych wniosków. Omawiana wizja działała na pańską korzyść, a ci ludzie bezinteresownie podjęli się pana ochrony. Pan sam nie musiał brać serio ich ostrzeżeń.

- Zostałem zmuszony...

- Wielu z nas zostało zmuszonych do rzucenia palenia - powiedział McNabb, uśmiechając się szeroko. - To sztuczne świństwo wcale dobrze nie smakuje. Ale wiem, że bardziej mi służy. Leczą to, co w tym wszystkim najważniejsze, Zeusmann, zdaje się kompletnie umykać pańskiemu logicznemu, naukowemu, jednostronnemu umysłowi: nie może pan pojąć, że ci ludzie ostrzegali właśnie PANA! Bez znaczenia jest to, czy orientowali się, co grozi Joelowi w razie przerwania eksperymentu. Wiedzieli jedno - muszą ostrzec pana i osoby panu towarzyszące! Dlatego niech pan wreszcie przestanie marudzić o ich etyce i wścibianiu nosa w cudze sprawy. Osobiście pozwoliłbym panu zginąć w płomieniach!

Zeusman opadł na fotel, wpatrując się z niedowierzaniem w nieprzeniknioną twarz McNabba. Senator z Nowej Anglii wstał, lekko się uśmiechając.

- Panowie, od dwóch lat przyglądamy się ze wszystkich stron projektowi tej ustawy. Wiemy już, że artykuły czwarty i piąty, gwarantujące osobom uzdolnionym parapsychicznie ochronę prawną, nie zagrażają bezpieczeństwu obywateli tego kraju, nie są zamachem na ich wolność osobistą, i tak dalej, i tak dalej. Byłoby dobrze, gdyby ta cholerna ustawa trafiła wreszcie pod obrady Izby i zaczęła chronić tych biednych, idealistycznych maniaków przed... przed tymi, którzy nie chcą być chronieni.

Uśmiech McNabba był przepelniony złośliwą satysfakcją, mimo że senator wcale nie patrzył na Zeusmana, do którego zresztą i tak nie

docierało absolutnie nic prócz obezwładniającego poczucia totalnej klęski.

Op Owen wrócił do Centrum już po zmroku. Świadomość zwycięstwa dobrze wpływała na jego nastrój. Nie poszedł do siebie. Zaczął przechadzać się po osiedlu. Pomyślna wiadomość o tym, że ustawa Andresa zostanie wreszcie skierowana pod obrady Izby na najbliższej sesji, dotarła do Centrum dużo wcześniej. Z całej posiadłości dochodziły odgłosy zabawy i radości.

Pomyślał, że to chyba przedwczesne, ponieważ ustawa musi jeszcze przejść przez Senat i Kongres. Debata będzie na pewno ostra, ale istniały duże szanse na pomyślne zakończenie sprawy. Prezydent osobiście popierał Utalentowanych, często korzystając z ich ochrony.

Op Owen wszedł do budynku, w którym mieszkali Horyathowie. Zawahał się przy windzie i wybrał schody. Cieszył się, że bez zadyszki stanął pod drzwiami ich mieszkania.

Na moment ogarnęły go wyrzuty sumienia, że, być może, przeszkodzi w czymś młodemu małżonkom, ale rozwiały się szybko, kiedy Lajos otworzył drzwi całkowicie ubrany.

- Pan op Owen - twarz jasnowidza stanowiła modelowy przykład pełnego zaskoczenia. - Dobry wieczór panu!

- Przepraszam. Spodziewaliście się kogoś?

- Ależ nie. Proszę wejść. Wszyscy się bawią, od kiedy dowiedzieli się, że...

- Dyrektor nie ma prawa do zabawy?

Lajos nie musiał nic mówić na widok uśmiechniętej radośnie Ruth, która właśnie wyszła z kuchni. Op Owen dał się uwieść serdeczności powitania - przecież miał powody sądzić, że po ostatnich sesjach stracił sympatię młodej kobiety.

- Chyba nikt się nie spodziewał, że wróci pan dziś do Centrum - powiedział Lajos, wręczając mu drinka.

- Jesteśmy z pana tacy dumni - dodała Ruth.

- Nic takiego nie zrobiłem - bronił się op Owen. - Siedziałem w osłoniętej kabinie i słuchałem. To dzięki wizji Lajosa.

- Były jeszcze trzy inne doniesienia - przerwał mu Lajos. - Czy to rzeczywiście prawda, że senator Andres miał remisję choroby?

- Tak. To absolutna prawda. Wiem, że wszystkich nas dręczyło coś na kształt wyrzutów sumienia w sprawie Uniwersytetu North East. Często tak się dzieje przy przepowiadaniu przyszłości.

- Czy doktor Rizor odzyskał dotacje?

Op Owen był zaskoczony tym pytaniem.

- Muszę przyznać, że nawet się o to nie dowiadywałem - zarumienił się lekko.

- Nie można myśleć o wszystkim naraz, prawda? - powiedziała Ruth, uśmiechając się szelmowsko.

Op Owen wybuchnął śmiechem. Lajos zawtórował mu po chwili wahania.

- Założę się, że tak się stanie - ciągnęła Ruth. - Zresztą to nie żadna przepowiednia: zwyczajna sprawiedliwość.

- Jak się ma Drotea? - spytał op Owen

- Śpi jak aniołek. - W głosie Ruth brzmiała duma i zadowolenie. Rzuciła okiem na zamknięte drzwi pokoju dziecinnego. - To fascynujące słyszeć jak kombinuje, żeby wydostać się spod stołu.

Lajos był równie szczęśliwy. Op Owen wstał, uświadomiwszy sobie nagle, że pomiędzy dwojgiem gospodarzy zaczyna nawiązywać się tajemna nić porozumienia. W tej sytuacji trzecia osoba stanowiła już niepotrzebny tłum.

- Chciałem tylko powiedzieć wam o Joelu Andresie.

- Dziękujemy. To naprawdę miło z pana strony.

- Musi pan być wykończony - dodała Ruth, obejmując męża.

- Zachowaj swe macierzyńskie instynkty dla dzieci, Ruth - powiedział uprzejmie op Owen i wyszedł.

Czując delikatny zapach wiosennej nocy, op Owen był naprawdę szczęśliwy. Po wpływem impulsu obejrzał się za siebie i spostrzegł, że światła w mieszkaniu Horvathów już zgasły. Chyba jednak zakłócił im wieczór swym niespodziewanym najściem. Czasami silniejsze emocje, wśród których było i pożądanie, przedostawały się na zewnątrz mimo osłon.

Nie spiesząc się zbyt, wracał do siebie, napawając się rzadkim poczuciem szczęścia, które dziś opanowało Centrum. Pragnął zapamiętać zapach tej radosnej nocy, szczęście przenikające ciemności, nadzieję łagodzącą chłód wiatru, odczucia jakże odmienne od szarej codzienności. Takie okresy harmonii, spokoju zbyt rzadko

były udziałem Utalentowanych. Tym bardziej delectowano się nimi i doceniano je.

Przyzwyczajenie kazało mu zatrzymać się przy wielkim pomieszczeniu kontrolnym. Coś nakazało mu otworzyć drzwi. Ku swemu zaskoczeniu w głębi dostrzegł Lestera Welcha, w szlafroku, z drinkiem w dłoni, pochylonego nad jedną z drukarek. Zarówno on, jak i oficer dyżurny byli całkowicie pochłonięci obserwacją wysuwającej się z niej taśmy.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego - mruzczał Welch pod nosem.

- Zmieniłeś się w podglądacza, Les? - spytał rozbawiony Daffyd.

- Akurat. Sam spójrz na te wykresy. Ruth Horvath znowu działa. O tej porze? O co tu chodzi?

Trudno było uznać Welcha za lubieżnika. Tłumiąc własną niechęć do obserwacji prywatnego życia innych ludzi, op Owen rzucił okiem na wykresy dwojga wzajemnie pobudzających się osób. Wykres Lajosa nie odbiegał od ogólnego standardu przeżyć seksualnych. Ruth dotrzymywała mu kroku, z jednym jednak wyjątkiem - jej igła skakała jak szalona, na próżno starając się zarejestrować sprzeczne wewnętrznie sygnały mózgowo, wychwytywane nieudolnie przez elektroniczne czujniki. Rysik wbijał się głęboko w powierzchnię papieru, podskakując nerwowo to w górę, to w dół. Lecz prawdziwa anomalia ujawniła się dopiero w momencie szczytowania: był to ciasny, szalenie intensywny i najwyraźniej kinetyczny wzór.

Gorączkowa aktywność urwała się raptownie i wykresy zaczęły pokazywać zwyczajny w takiej sytuacji stan wyczerpania.

- To coś niesamowitego. Jeszcze się z czymś takim nie spotkałem.

Op Owen zmierzył Welcha gniewnym spojrzeniem, zanim zorientował się, że elektronik myśli wyłącznie o technicznych konsekwencjach aktu miłosnego. Na moment sam się zmieszał.

- Co ona takiego wyrabia? - zastanawiał się głośno Welch, wywołując rumieniec na twarzy asystującego mu technika. - Po cholere wyzwała energię kinetyczną o takim natężeniu? Nie sędzę, żeby robiła to w pełni świadomie.

- Po co to robi? - powtórzył za nim op Owen, starając się znaleźć odpowiedź na najłatwiejsze z pytań. - Po to, żeby udowodnić swój niezwykle kobiecy Talent. - Umilkł w nadziei, że zrozumieją go bez

dalszych wyjaśnień. Pomylił się. - Jaki jest zasadniczy cel stosunków między osobnikami płci przeciwnych?

- He? - pytanie najwyraźniej zaszokowało Welcha.

- Przedłużenie gatunku - op Owen sam musiał udzielić sobie odpowiedzi.

- Chodzi o to, że... nie, to niemożliwe. - Welch nie mógł tego pojąć, choć zaczynał już rozumieć, co miał na myśli dyrektor.

- Nie wpadłem na to wcześniej. - Op Owen starał się zachować spokój. - To raczej dziwne, żeby brązowooki, czarnowłosa ojciec i szarooka, brązowowłosa matka wydali na świat błękitnooką blondynkę. Nie jest to wprawdzie niemożliwe, ale wysoce nieprawdopodobne. Biorąc pod uwagę, że Lajos jest jasnowidzem, a Ruth kinetyczką, skąd u ich córki tak silne zdolności telepatyczne?

- Co ona takiego zrobiła? - powtórzył cicho Welch.

Jego oczy zdradzały, że zna odpowiedź, jednak chciał usłyszeć ją bezpośrednio od op Owena.

- Poprzemieszczała białkowe składniki par chromosomów służące do wiązania genów i wyciągnęła z zapasu geny błękitnej barwy oczu i włosów blond. Sama chciała stworzyć Dorotę. Tak mi się przynajmniej wydaje. W identyczny sposób odblokowała RNA u... - op Owen zawahał się: nie, nawet Welch nie powinien wiedzieć o takich możliwościach Ruth - ...przykroila córkę do swych marzeń. - Welch chyba nie dostrzegł jego wahania. - Ciekawe, co z tego wyniknie?

Welch nie był w stanie wykrztusić słowa, a jego technik wydawał się bardzo zainteresowany zupełnie innym wykresem. Op Owen uśmiechnął się łagodnie.

- Panowie, to ściśle tajne. Chcę, abyście zniszczyli te zapisy natychmiast, przy najbliższej wymianie bębnow - zwrócił się do technika, który wyglądał na bardziej opanowanego.

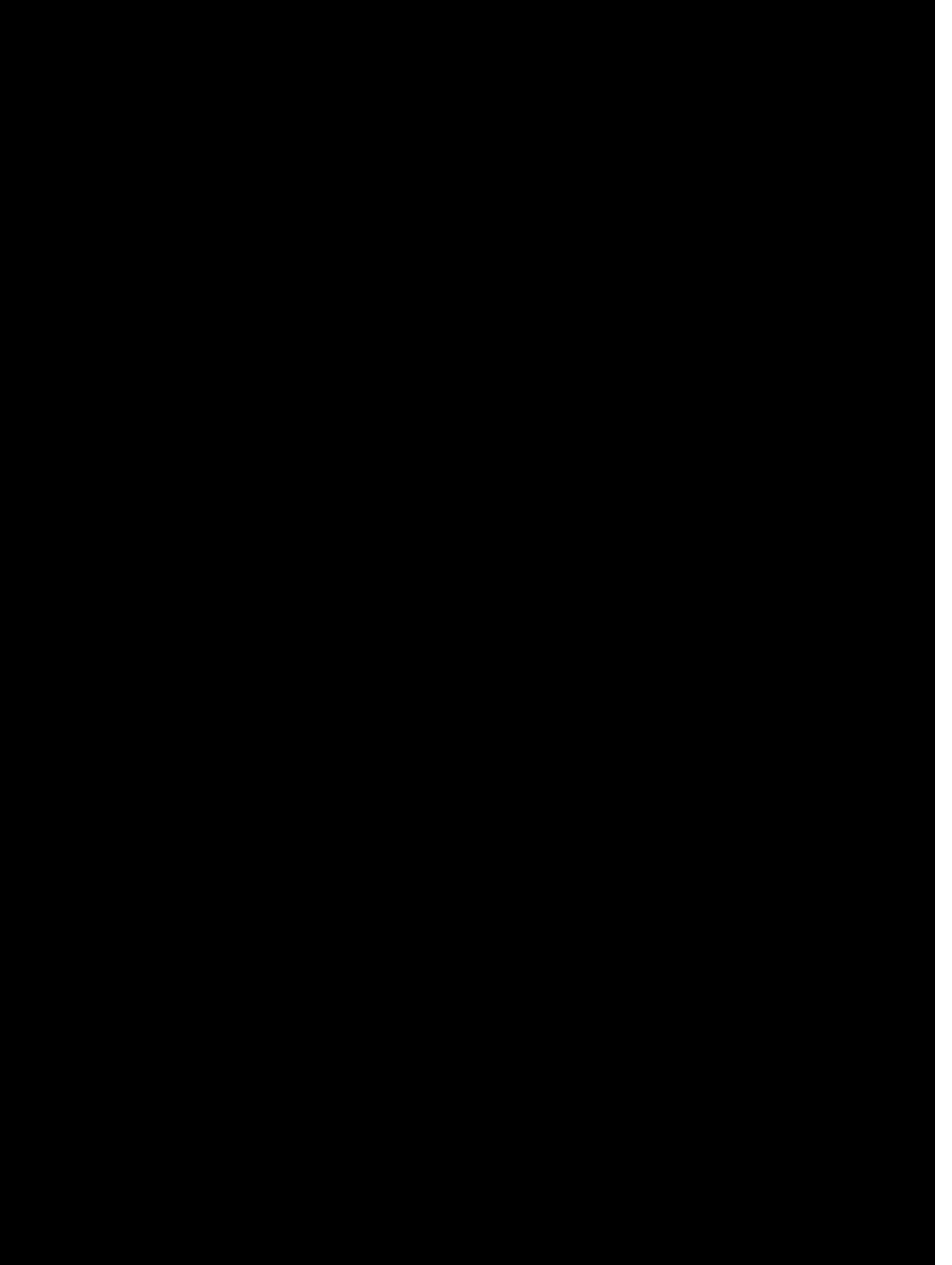
- To dobrze - odezwał się wreszcie odprężony Welch. - Cieszę się, że nie planujesz ogłosić tego całemu światu. Powiesz Lajosowi?

- Nie - odrzekł Daffyd po chwili zastanowienia. - Niewątpliwie współpracowałby z nami, ale bez tej wiedzy na pewno będą szczęśliwsi rodzicami.

Welch chrząknął, odzyskując swą normalną formę.

- Zdaje się, że wraca ci zdrowy rozsądek, Dave, i Bogu niech będą dzięki. - Skrzywił się, widząc, jak zapis ostatniego przypadku znika

pod kolejnymi warstwami papieru nawijającymi się na bęben. - Ona potrafi sterować genami. - Gwizdnął cicho.



Ta kradzież była główną wiadomością dziennika porannego i skutecznie odebrała apetyt Daffydowi op Owenowi. Słuchając opisu bezcennego futra z soboli, szafirowego naszyjnika, paryskiej sukienki i pantofelków wysadzanych klejnotami, wrastał w krzesło, nie tknąwszy nawet stojącego przed nim śniadania. Czekał, aż komentator dojdzie do oczywistego wniosku, wniosku, który może zniszczyć wszystko, do czego powoli, z trudem, dochodziło Wschodnioamerykańskie Centrum Parapsychologii. Jedyńm sposobem, za którego pomocą tak cenne przedmioty mogły zostać zabrane z pilnie strzeżonej publicznej wystawy w ciągu pięciu minut między kolejnymi rejestracjami wideo, musiało być wykorzystanie energii kinetycznej.

- Policja ma już pewne wskazówki i spodziewa się, że do wieczora ustali podejrzanych. Komisarz Frank Gillings osobiście nadzoruje śledztwo. „Staram się należycie wywiązywać z nałożonych na mnie obowiązków” powiedział Gillings reporterom dziś rano po obejrzeniu miejsca kradzieży, czyli witryny supersklepu firmy Coles, Michaels i Charny. „Udało mi się zredukować przestępczość na ulicach miasta i opanować powtarzające się fale zamieszek. Dziś Jerhattan jest bezpiecznym miejscem dla wszystkich przestrzegających prawa obywateli. Nie jest natomiast bezpieczny dla tych, którzy chcieliby prawo łamać”.

Obraz zdeterminowanej twarzy Gillingsa wystarczył, żeby zakłócić spokój op Owena. Dyrektor podniósł się z krzesła i stanął przy wideotelefonie akurat w momencie, kiedy rozległ się jego sygnał.

- Daffyd, słuchałeś wiadomości? - Podłużna i niezwykle ponura twarz Lestera Welcha wypełniła ekran - Niech ich szlag trafi, obiecywali, że nie nadadzą tego tak wcześnie. I wierz tu dziennikarzom!

Jego mina nie wróżyła dobrze reporterowi, który będzie miał nieszczęście zbliżyć się do niego jako pierwszy. Nad ramieniem Lesa

op Owen widział równie wściekłą twarz Charliego Moorfielda, oficera dyżurnego Centrum.

- Od kiedy wiecie o tej sprawie? - spytał, nie kryjąc nawet oburzenia.

Les miał denerwujący zwyczaj oszczędzania przełożonego, szczególnie ostatnio, kiedy ten angażował swe wszystkie siły w prowadzenie intensywnego programu edukacyjnego w środkach masowego przekazu.

- Ted Lewis dał nam znać, zaraz gdy policja się o tym dowiedziała. On sam nie może nic znaleźć. I jeszcze jedno, Dave, między siódmą trzy a siódmą osiem nie zarejestrowaliśmy ani jednego odchylenia, które musiałyby się pojawić, gdyby to było dzieło kogoś z naszych.

- Święta racja, szefie - dodał Charlie. - Nie było żadnego incydentu kinetycznego, który mógłby oznaczać tę kradzież.

- Gillings już tu jedzie - powiedział Les wyraźnie niezadowolony.

- Po co? - wybuchnął op Owen. - Czy Ted nas nie oczyścił?

- Jezu, jasne, że tak, ale Gillings osobiście odwiedził sklep i wstępne wyniki jednoznacznie wskazują, że złodziejem jest ktoś z naszych. Ściśle mówiąc, jedna z naszych kobiet z utajoną predylekcją do soboli, jedwabiu i szafirów.

Daffyd zmusił się do opanowania narastającego gniewu. Nie mógł dopuścić do tego, żeby emocje zwyciężyły nad rozumem. Nie teraz, kiedy gra toczyła się o tak wysoką stawkę. Za dwa tygodnie Senat miał głosować nad ustawą zapewniającą ochronę prawną Utalentowanych.

- Nigdy mi nie wierzyłeś, Dave - powiedział Les - kiedy mówiłem, że bez względu na wszystko Utalentowani zawsze będą na początku listy podejrzanych.

- Gillings nigdy nie kwestionował zasług Utalentowanych, Les.

- Byłby niezłym głupkiem, gdyby się ośmielił. - Oczy Lestera zaiskrzyły się złością. - To dzięki nam w mieście utrzymuje się niska przestępczość. Utalentowani pracują na jego opinię. Teraz jednak zamierza nam dowalić. Przy takiej reklamie ustawa nie ma najmniejszych szans. Boże, ależ mamy pieskie szczęście! Zaledwie dwa cholerne tygodnie!

- Nie zanotowano żadnego incydentu, Les. Nawet Gillings musi uznać, że jesteśmy niewinni.

Welch wzniósł oczy ku niebu.

- Jak możesz być tak naiwny, Dave? Bez względu na to, co wykazują nasze maszyny, kradzieży dokonał ktoś Utalentowany.

- Ale nikt z naszych! - W razie potrzeby op Owen też potrafił przybrać belferski ton.

- Wspaniale. Udowodnij to Gillingsowi. Właśnie tu jedzie z wyraźnym zamiarem dania nam kopa. Zniszczyliśmy jego wspaniałe statystyki przestępczości. To mu daje po kieszeni i sławie... - Lester przerwał, żeby nabrać powietrza. - Mówiłem ci, że ten cały program edukacyjny wyrządzi więcej szkód, niż jest wart. Pozwól mi odwołać dzisiejszą audycję.

- Nie! - Op Owen zamknął oczy ze znużenia.

Nie chciał właśnie w tej chwili wznawiać starego sporu z Lesterem. Mimo tego tragicznego zdarzenia, nadal był przekonany o słuszności prowadzonej kampanii edukacyjnej. Społeczeństwo musi wiedzieć, że nie powinno obawiać się jednostek obdarzonych Talentem. Seria starannie zaplanowanych programów informacyjnych miała spełnić kilka istotnych celów: wykazać, w jak szerokim zakresie Utalentowani służyli społeczeństwu, zidentyfikować szczególne cechy świadczące o posiadaniu Talentu oraz, co najważniejsze, zyskać publiczne wsparcie dla ustawy, przyznać Utalentowanym ochronę prawną podczas wykonywania ich różnorodnych obowiązków.

- Sam nie mam ani krzty Talentu, Dave - kontynuował Les z zaangażowaniem - ale wcale go nie potrzebuję, żeby sobie wyobrazić kogoś, kto wsłuchuje się w każde twoje słowo i próbuje dla własnych celów wykorzystać zdolności, jakie dzięki audycji odkrył w sobie. Nie próbuj też mi przypominać, ile osób zgłosiło się do naszej kliniki, pozwoliło wykryć u siebie jakiś pomniejszy Talencik i uznało nasze zasady. Wystarczy jedno zgniłe jabłko, żeby zepsuć całą skrzynkę! - Ogranicz dzisiejszy program do standardowej taśmy rekrutacyjnej. Zupełne wycofanie serii mogłoby wywołać jeszcze gorsze skutki.

Daffyd op Owen dłuższą chwilę wpatrywał się w wygasły ekran, zbierając siły. Nawet bez jasnowidza wiedział, że rozpoczęty właśnie dzień będzie jednym z trudniejszych w jego życiu. Dziwne, pomyślał, że nikt tego nie przewidział. Cała sytuacja wskazywała na nie zrzeszonego Utalentowanego, działającego pod wpływem chwilowego impulsu. Nawet przy pełnym zaspokojeniu tak podstawowych potrzeb, jak żywność, dach nad głową, odzież i nauka, apetyt członków niższych klas na dobra będące poza ich zasięgiem wcale nie zmalął.

Daffyd jęknął cicho. Gdyby tylko udało się związać taki Talent z Centrum, gdzie można by go wyszkolić i wykorzystać z pożytkiem dla społeczeństwa! Gdzieś w tak starannie przygotowanym programie musi tkwić błąd. Przecież ta kobieta dostałaby wszystko, czego zapragnie - futra, klejnoty, sukienki - bez uciekania się do przestępstwa. Mogłaby się nimi cieszyć jawnie i bez strachu. Centrum było dość bogate, by zaspokoić wszelkie materialne marzenia swoich członków. Nawet Gillings musiał to uznać.

Op Owen zaczerpnął głęboko powietrza, jakby wraz z wydechem chciał oddalić od siebie wszelkie troski i kłopoty. Pragnął zachować jasność umysłu, a całą swą wrażliwość nastawić na wychwycenie wszelkich okoliczności, które pozwoliłyby zażegnać obecny kryzys.

Natychmiast po wyjściu ze swego osłoniętego mieszkania na tyłach posiadłości Centrum wyczuł otaczające go zewsząd napięcie. Większość Utalentowanych wolała mieszkać w Centrum, w budynkach ze specjalnymi osłonami, które zmniejszały „hałas” stałego pobudzenia psychicznego. Centrum również wolało mieć ich na miejscu, by móc ich łatwiej chronić i pomagać im. Talent to miecz o dwóch ostrzach: mógł wycinać zło, ale również odcinał posiadacza od pozostałych ludzi. Dlatego właśnie program edukacyjny miał tak istotne znaczenie. Powinien wykazać zwykłym obywatelom, że Utalentowani nie byli jakimiś supermenami. Badania wykazywały, że Talentem obdarzonych było więcej osób, niż chciało się do tego przyznać. Z drugiej strony każdy z Utalentowanych miał swoje ograniczenia.

W ciągu życia Daffyda parapsychologia urosła do rangi nauki dzięki wynalezieniu „gęsiego jaja” - superczułego elektroencefalografu identyfikującego typ Talentu dzięki rejestrowaniu drobnych impulsów elektrycznych, wytwarzanych przez korę mózgową w trakcie wykorzystywania sił psychicznych. Daffyd op Owen prywatnie uważał, że właśnie słowo „siły” przyczyniało się do powstawania nieporozumień w świadomości społecznej. Siła oznacza też „posiadanie kontroli”, lecz przeciętne umysły częściej kojarzą ją z „dominacją”, „rządzeniem” czy „rozkazywaniem”.

Huk zbliżającego się helikoptera przerwał Daffydowi te rozmyślenia. Skierował się na ścieżkę prowadzącą do głównego budynku administracyjnego i zobaczył oznakowany helikopter

komisarza lądujący na dachu obok wieży kontroli lotów oplecionej siecią anten.

Natychmiast wyczuł zaskoczenie, oburzenie i lęk. Na pewno nikt z Utalentowanych, kto słyszał poranne wiadomości, nie mógł w ten sposób zareagować na przybycie Gillingsa. Op Owen przyspieszył kroku.

„Orley uciekł!” ta myśl była równie głośna jak okrzyk.

Wszyscy zatrzymali się na moment, spoglądając jak jeden mąż w stronę niskiego pawilonu kliniki, w której wykrywano i szkolono Utalentowanych. Tam też prowadzono główne badania nad siłami psychicznymi.

Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna wypadł z szerokiego wejścia do kliniki i pędził przez trawnik w kierunku wieży. Przeskoczył przez rabaty kwiatowe, przedarł się przez gęsty żywopłot, przemknął nad maską ciężarówki ogrodnika, uderzeniem rąk złamał kilka niskich gałęzi drzew i odtrącił parę osób, które stały na jego drodze.

- Nadawajcie zaufanie! Nadawajcie zaufanie! - rozległ się apel do empatyków. - Nadawajcie szczęście!

„Zabierzcie tych gliniarzy do mojego biura!” nadał Daffyd do swych współpracowników, ruszając biegiem do budynku. Miał nadzieję, że Charlie Moorfield lub Lester już to zrobili, nie czekając na jego polecenia. Orley był tak rozsierdzony, że nie powstrzymałoby go nic oprócz pocisku ze środkiem uspokajającym. Kto był takim idiotą, żeby wypuścić tego teleempatę z osłoniętego pomieszczenia właśnie w takiej chwili? Orley był upośledzony umysłowo, lecz posiadał najbardziej czuły barometr emocji, z jakim Daffyd zetknął się kiedykolwiek. Pobudzony, był fizycznie niebezpieczny. W trakcie swego szaleńczego wypadu zdołał wchłonąć tyle lęku, napięcia, złości, że był zdolny roznieść wszystko, co stałoby mu na drodze do celu, jakim było najsilniejsze źródło tych emocji.

W głuchej ciszy słychać było jedynie świst butów op Owena na asfalcie i dudnienie stóp Orleya na miękkim trawniku. Jedną z zalet Talentu była możliwość dobrego porozumiewania się i pełnego zrozumienia nawet najkrótszych poleceń. Lecz mimo to fala spokoju wysyłana przez wszystkich empatów znajdujących się właśnie na terenie Centrum nie przebijała się przez ślepą furję Orleya: rozpraszała ją i osłabiała otwartą przestrzeń.

Trójka mężczyzn wyszła z głównego budynku i spokojnie schodziła po szerokich schodach. Każdy z nich miał w dłoni małokalibrowy pistolet. Ten z lewej pierwszy podniósł broń i wycelował w dyszącego, błyskawicznie zbliżającego się kretyna. Strzał trafił Orleya w ramię; nawet nie zwolnił biegu. Natychmiast strzelił drugi z mężczyzn. Orley zachwiał się, kiedy kula trafiła go w udo, lecz w niewytłumaczalny sposób odzyskał siły i pędził dalej. Trzeci mężczyzna - op Owen rozpoznał Charliego Moorfielda - gotów do strzału w pierś, spokojnie czekał, aż Orley zbliży się do niego, kiedy nagle tuż przed nim olbrzym potknął się i upadł na kolana z okropnym jękiem. Ostatkiem sił próbował się jeszcze podnieść, wygrażając zaciśniętą pięścią w kierunku budynku.

Charlie zdążył chwycić go za głowę, żeby nie poranił sobie twarzy o ostry żwir podjazdu.

- Dostał dwie podwójne dawki, szefie! - krzyknął zdumiony Charlie, trzymając w ramionach głowę Orleya.

- Widziałem. Skąd, do diabła, wchłonął tyle emocji?

Charlie skrzywił się nieco.

- Sally karmiła go na tarasie. Nie słuchała wiadomości. Powiedziała, że była tak skoncentrowana na tym, by się nie upaść jedzeniem, iż nie wyczuła jego rosnącego niepokoju, dopóki zupełnie się nie rozhuśtał.

- Chyba nie mogę mieć nadziei, że to uszło uwagi naszych niespodziewanych gości? Charlie uśmiechnął się kwaśno.

- To przez nich, szefie. Stali na dachu i męczyli Lesa, promieniując nienawiścią i podejrzliwością. Powinien pan widzieć wskazania czujnika atmosfery psychicznej. Nic dziwnego, że Orley tak zareagował. - Wyraz twarzy Charliego złagodniał, kiedy spojrzał na nieprzytomnego kretyna. - Biedaczysko. Gdzie ten zespół medyczny? Wezwałem ich, kiedy tylko wybiegł z pawilonu.

Daffyd popatrzył na szerokie okna trzeciego piętra, za którymi znajdowało się jego biuro. Sześciu mężczyzn spoglądało na niego. Zablokował swe myśli i uczucia i ruszył schodami na górę.

Goście nadal stali przy oknie, przyglądając się ludziom z zespołu medycznego przenoszącym ciężkie, bezwładne ciało na nosze.

- Orley działa jak ludzki barometr, reagując natychmiast na otaczającą go aurę emocjonalną. - Les przemawiał swym najbardziej

oschłym tonem. Op Owen czuł, że emituje wściekłość niemal równą tej, jaką wysyłali goście. - Jego iloraz inteligencji jest mniejszy od pięćdziesięciu według nowej skali, co sprawia, że nie można go niczego nauczyć. Dla nas jednak jest niezwykle pomocny w identyfikacji dominujących uczuć u osób z poważnymi zaburzeniami umysłowymi, którzy nie poddają się racjonalnym telepatom.

Komisarz policji Frank Gillings był głównym źródłem furii, która opanowała Orleya. Op Owen szczerze mu współczuł, że musiał znieść taki ładunek gniewu. Wiedział też, że wszystkie jego nadzieje okazały się daremne. Przez chwilę nie potrafił wytłumaczyć sobie aż tak silnej reakcji Gillingsa, nawet jeśli Les miał rację, wspominając o stratach finansowych i prestiżowych, jakie komisarz poniósł w wyniku tej afery.

Usiłował „wcisnąć” się w umysł Gillingsa, ale stwierdził, że facet posiadał silną, naturalną obronę, dość często spotykaną u ludzi, którzy osiągnęli wysokie stanowiska i mieli doświadczenie w wielu tajemnic. Potężnie zbudowany komisarz sprawiał wrażenie człowieka najzupełniej spokojnego, jakby przybył tu ze zwykłą rutynową wizytą; nie można było dotrzeć do jego myśli. Głęboko osadzone oczy, ledwo widoczne spod krzaczastych brwi na ogorzalej twarzy, również nic nie zdradzały. Gillings uważnie przyglądał się to Daffydowi, to znów Lesterowi.

Op Owen skinieniem przywitał Teda Lewisa, czołowego policyjnego „odnajdywacza”, który towarzyszył oficjalnej grupie. Tylko jego umysł był otwarty i poddawał się badaniu. Chyba liczył na to, że Op Owen zacznie go „czytać” i że będzie mógł przekazać mu ostrzeżenie, iż Gillings uważa wypadek z Orleyem za kolejny dowód na niezdolność Utalentowanych do sprawowania kontroli nawet nad mieszkańcami Centrum.

- Dzień dobry, komisarzu. Żałuję, że pańska pierwsza wizyta w Centrum została spowodowana tak niemiłymi okolicznościami. Poranne wiadomości sprawiły, że wszyscy tu pragniemy z całych sił zdjąć podejrzenia z naszej grupy zawodowej.

Zdawkowy uśmiech Gillingsa świadczył o tym, że nie przekonały go wyjaśnienia dotyczące zachowania Orleya.

- A więc przejdźmy od razu do rzeczy, Owen. Stwierdziliśmy bez wątpliwości, że podczas kradzieży nie naruszono żadnego systemu zabezpieczenia sklepu. Żaden obwód elektryczny, żadna pułapka nie

noszą śladów manipulacji. Nie ma też śladów włamania czy nawet wejścia do sklepu. W związku z tym istniał tylko jeden sposób usunięcia soboli, naszyjnika, sukienki i butów z wystawy w ciągu pięciu minut, które upłynęły między dwoma rejestrowanymi obrazami wideo. Z prawdziwą przykrością musimy stwierdzić, że wszystko wskazuje na działalność osoby obdarzonej zdolnościami parapsychofizycznymi. Dlatego nalegamy, aby wydał nam pan natychmiast winnego, a jego łup przekazał panu Greyowi, przedstawicielowi supersklepu. - Wskazał palcem korpulentnego mężczyznę w tradycyjnym, lecz drogim na pierwszy rzut oka garniturze.

Op Owen skinął głową i spojrzał pytająco na Teda Lewisa.

- Lewis nie może niczego znaleźć, więc jest oczywiste, że te przedmioty ukryto w osłoniętym pomieszczeniu. - W głosie Gillingsa pojawiła się nutka zniecierpliwienia. - Wiadomo powszechnie, że cały teren jest obwarowany.

- Skradzione przedmioty nie zostały ukryte na naszym terenie, komisarzu. Gdyby ktoś próbował to zrobić, zostałby wykryty w chwili, w której by to zaplanował.

Oczy Gillingsa, podobnie jak i jego usta, zwęziły się wyraźnie.

- Mówiłem już panu, że potrafię przenikać tutejsze osłony - powiedział ze zrozumiałym oburzeniem Ted Lewis. - Skradzione...

Machnięciem ręki Gillings przerwał wypowiedź Lewisa. Obrażony op Owen ledwie opanował gniew.

- Jest pan skończonym idiotą, Gillings - wtrącił się Welch, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, żeby zamaskować wściekłość - jeśli pan myśli, że chronilibyśmy złodzieja w takim momencie.

- Ach tak, wasza ustawa czeka na aprobatę Senatu - stwierdził Gillings z nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy.

Op Owen z najwyższym trudem powstrzymał odrzę, czując złośliwe zadowolenie i nową falę wrogości emanujące od Gillingsa.

- Tak, komisarzu - odparł. - Chodzi o ustawę, która będzie chroniła każdego Utalentowanego zarejestrowanego w naszym Centrum.

Op Owen zauważył lekkie drgnienie powiek komisarza wywołane dźwiękiem zaakcentowanego słowa.

- Gdyby panowie zechcieli tu podejść, do naszych urządzeń rejestrujących na odległość wszystkie incydenty naszych członków, wówczas, mam nadzieję, udałoby się was przekonać, że żaden z

zarejestrowanych Utalentowanych nie ponosi winy za dzisiejsze zdarzenie. Nie było pana tu wcześniej, komisarzu, więc nie zna pan naszych metod rejestracji incydentów wykorzystania sił psychicznych.

Nawiasem mówiąc, „siła” oznacza również „posiadanie kontroli”, osobistej i psychicznej, czego właśnie Centrum uczy swych wszystkich członków. Bardzo proszę. Charles Moorfield jest oficerem dyżurnym i pełnił służbę w czasie kradzieży. Jeśli przyjrzy się wykresom, zobaczycie, że odcinek między siódmą trzema a siódmą osiem, odpowiadający czasowi zdarzenia, jest jeszcze widoczny; nie został nawinięty na bęben archiwalny.

Gillings wcale nie patrzył na wykresy, wpatrywał się w Charliego.

- Przy następnej okazji niech pan od razu mierzy w pierś.

- Żałuję, że w ogóle go zatrzymałem - odrzekł Charlie z takim jadem w głosie, że komisarz poczerwieniał i zrobił krok w jego stronę.

Natychmiast interweniował op Owen.

- Komisarzu, nie lubi pan nas, nienawidzi i nie ufa nam - powiedział, starając się zachować spokój w głosie. - Pan i pańscy ludzie jesteście do nas uprzedzeni. Już uznaliście nas za winnych, choć stoicie tu otoczeni dowodami naszej niewinności. Przybyliście tu przepełnieni nieprzyjaznymi uczuciami... nie, wcale nie czytam w waszych umysłach, panowie... - Ostatnia uwaga Daffyda skierowała na niego całe zainteresowanie Gillingsa. - To nie jest konieczne. Wyzwalacie reakcje nawet wśród tych z nas o najsilniejszej samokontroli, a co dopiero mówić o tym biednym, ograniczonym teleempacie, którego musieliśmy uspić. Jeżeli natychmiast nie opanujecie swej bezsensownej nienawiści i strachu, nie będę miał skrupułów i wam też dam coś na uspokojenie!

- Jak na człowieka o takiej pozycji, poczyna pan sobie niezwykle ostro, Owen - rzucił Gillings surowo.

W całej jego postaci wyczuwało się napięcie.

- To pan, Gillings, ostro sobie poczyna. Niech pan spojrzy na ten wskaźnik za sobą.

Komisarz nie miał najmniejszej ochoty się odwracać, zwłaszcza na rozkaz op Owena; jednak jest coś takiego w słusznym gniewie, co wymusza posłuszeństwo.

- To urządzenie, podobnie jak Harold Orley, wychwytuje intensywność psychiczną w atmosferze. Umysł wysyła impulsy elektryczne, chyba się pan z tym zgodzi, Gillings. Policja od dawna z

tego korzysta w detektorach kłamstwa. Przy naszych instrumentach wasze maszyny wyglądają jak zaprzęg wołów przy statku kosmicznym. Mamy superczuły sprzęt, który mierzy najmniejsze impulsy o zmiennych częstotliwościach i czasie trwania. Ten wskaźnik właśnie pokazuje niebezpiecznie wysokie napięcie. Nawet pańskie oczy muszą dostrzec tak naukowe dowody.

Te rzędy wskaźników notują aktywność psychiczną absolutnie każdego zarejestrowanego członka Centrum. Widzi pan, że wszystkie wskazują pewne podniecenie, niepokój. Czerwone linie oznaczają upływ sześćdziesięciu minut. Na każdym wykresie widoczny jest czas dokonania przestępstwa. Proszę zauważyć różnicę. Na żadnym nie zobaczy pan śladu działalności kinetycznej, niezbędnej, aby „przesuwacz” mógł ukraść te przedmioty. Lecz wszystkie pokazują reakcję na pańską obecność. Nie ma sposobu, aby zarejestrowany Utalentowany mógł wyrwać się spod naszej kontroli. Czy któryś kinetyk był poza zasięgiem w chwili przestępstwa?

Nie spuszczać oczu z Gillingsa, Charlie przecząco potrząsnął głową.

- Nigdy dotąd nasi ludzie nie popełnili nawet najdrobniejszego wykroczenia. Nigdy nie złamali tajemnicy, nie zawiedli niczyjego zaufania. Nie są w stanie popełnić przestępstwa tak, żeby inni Utalentowani tego natychmiast nie wykryli. Czy naprawdę wierzy pan, że narazilibyśmy wieloletnie starania o uznanie nas za obywateli o nieposzlakowanej uczciwości dla futra i sznurka paciorków? Zwłaszcza gdy każdy Utalentowany ma do swej dyspozycji nie ograniczone fundusze i może za nie legalnie kupić wszystko, cokolwiek mu się zamarzy?

Teraz niech się pan stąd wynosi, Gillings. Niech pan zapanuje nad emocjami i jeszcze raz przemyśli pochopne wnioski. Potem niech się pan do nas zwróci normalnymi kanałami i poprosi o współpracę. Może mi pan wierzyć, że jesteśmy bardziej od pana zdeterminowani i lepiej wyposażeni, by znaleźć prawdziwego przestępcę. Bez względu na to, jakie jest pana osobiste zaangażowanie w tę sprawę.

Op Owen oczekiwał jakiejś reakcji na ostatnie słowa, jednak Gillings, blady z wściekłości, nic nie dał po sobie poznać. Skinął gwałtownie w stronę jednego z umundurowanych policjantów.

- Niech pan teraz nie wyciąga pozwolenia na przeszukanie posiadłości, Gillings! - powiedział op Owen cicho, lecz dobitnie.

Obserwował szaleńczą działalność wskaźnika atmosfery.

- Niech pan idzie. Teraz. Niech pan zadzwoni. Jeżeli nie może pan zapanować nad uczuciami, niech pan chociaż zachowa dystans.

Dopiero wówczas Gillings zdał sobie sprawę z namacalnej obecności ludzi, którzy zgromadzili się na korytarzu. Pozostawili szerokie przejście prowadzące prosto do drzwi windy. Nikt się nie odezwał ani nawet nie zakaszał. Presja, którą wywierali, nie była słyszalna ani fizyczna; opierała się jednak na jednomyślności. Trwało to dokładnie czterdzieści cztery sekundy.

- Moja firma pragnęłaby wiedzieć, jakie kroki zostały podjęte - powiedział reprezentant Cole'a ochryplym głosem, ruszając ku windzie coraz szybszym krokiem.

Trzej podwładni Gillingsa nie byli równie niezależni, ale wyraźnie odetchnęli z ulgą, kiedy komisarz odwrócił się i spokojnie pomaszerował do kabiny.

Nikt się nie ruszył, dopóki słyhać było huk silników policyjnego helikoptera. Potem Utalentowani zwrócili się do dyrektora o przydział zadań.

Burmistrz Julian Pennstrak, zarządzający metropolią z mniej więcej czterema milionami mieszkańców, miał zwyczaj osobiście sprawdzać wszelkie sprawy zakłócające płynną działalność miasta. Przyleciał w chwili, kiedy ostatnie zorganizowane grupy poszukiwawcze opuściły Centrum.

- Oddałbym swoją lewą nerkę i milion kredytów, żeby mieć dość Talentu i prawidłowo oceniać ludzi, Dave - powiedział, wchodząc do gabinetu.

Dobrze wiedział, że nie podaje się ręki Utalentowanym, jeśli oni sami pierwsi jej nie wyciągną, jednak dla Daffyda, który lubił Pennstraka, było widoczne, że ten szukał sposobu, by wyrazić swój osobisty żal z powodu niefortunnego zdarzenia. Burmistrz zatrzymał się na chwilę obok krzesła bez śladu swego sławnego uśmiechu na twarzy.

- Przysięgłbym, że Frank Gillings jest po stronie Utalentowanych - dodał, przeciągając palcami po swych gęstych, falowanych, czarnych włosach, co było kolejną oznaką zdenerwowania. - Od czasu, kiedy został szefem policji, najpełniej korzystał z waszych możliwości.

Lester Welch prychnął znad mapy, na którą nanosił przeszukiwane sektory miasta.

- Człowiek korzysta z wszelkich narzędzi, dopóki go nie zranią.

- Ale zdołaliście udowodnić, że żaden z zarejestrowanych Utalentowanych nie był zamieszany w tę kradzież.

- Człowiek przekonany wbrew swej woli w głębi serca nadal nie wierzy - powiedział Lester.

- Les! - Op Owen nie potrzebował cynizmu, nawet ze strony osób oddanych Utalentowanym. - Żaden z zarejestrowanych nie był w to zamieszany - powtórzył za burmistrzem.

Pennstrak rozchmurzył się.

- A więc przekonałeś Gillingsa, że to robota nie odkrytego Talentu?

Welch prychnął głośno.

- Przekona się dopiero, kiedy przyniesiemy mu pod nos zarówno sprawcę, jak i łup. Nic innego nie zadowoli ani Gillingsa, ani Cole'a.

- To prawda - zasepił się Pennstrak. - Tak samo rzecz ma się z niezdecydowanymi członkami mojej własnej rady. Wiem, że to wyjątkowe zdarzenie, jednak nastąpiło w niedobrym momencie, Dave. Twoja kampania opierała się na uczciwości i obywatelskiej postawie Utalentowanych.

- To zaplanowana akcja, żeby oczernić... - zaczął ponuro Welch.

- Sam o tym pomyślałem - przerwał mu burmistrz. - Kazałem moim ekspertom przejrzeć filmy. Znacie ten system: kamera telewizyjna robi zdjęcia w określonych odstępach czasu. Na jednej klatce manekin był ubrany, na następnej - golutki w całej swej plastikowej glorii. Nie było możliwości majstrowania przy tej taśmie.

- Pennstrak pochylił się bliżej Daffyda, mimo że w tym towarzystwie nie było potrzeby ukrywania czegokolwiek. - W dodatku Pat czytała w myślach wszystkich pracowników sklepu i ludzi Gillingsa. Do samego Gillingsa nie udało się jej dotrzeć. Powiedziała, że on ma naturalną osłonę, czy coś takiego. Wszyscy byli czyści; przynajmniej stwierdziła, że nie spiskowali. - Przelotny uśmiech Pennstraka zgasł. - Kazałem jej odpocząć, dlatego jestem tu sam.

Op Owen przyjął tę wiadomość spokojnie. Miał wprawdzie cień nadziei, mimo że podobne spekulacje raczej nie leżały w jego naturze. Jednak dobrze się stało, że zarówno personel sklepu, jak i policja są już sprawdzeni. Można skierować na poszukiwania wszystkie siły.

Stało się już ogólnie przyjęte, że silny telepata-odbiorca zawsze towarzyszył wszystkim ważnym czy kontrowersyjnym osobistościom. Taki agent rzadko działał jawnie, najczęściej oficjalnie pełnił funkcję usprawiedliwiającą jego stałą obecność przy chronionej osobie. Pat Tawfik była zatrudniona jako autorka przemówień Pennstraka.

- W tej sytuacji - ciągnął burmistrz - skorzystałem ze swych uprawnień i nadzoruję to śledztwo. Mam dość znajomości wśród dziennikarzy, żeby móc uciszyć nieco wrzawę spowodowaną przez to zdarzenie, ale chyba zdajesz sobie sprawę z możliwych konsekwencji dla ciebie, Centrum i ogólnie dla Utalentowanych. Jedno zgniłe jabłko potrafi zniszczyć całą skrzynkę. Jak jeszcze mógłbym ci pomóc?

- Sam chciałbym to wiedzieć. Rozesłaliśmy wszystkich odbiorców po mieście w cichej nadziei, że to zgniłe jabłko zacznie nadawać radość z udanego skoku. W końcu zrobiła to dla własnej przyjemności.

- Zrobiła?

- Wszyscy są zgodni, że mężczyzna mógłby w ostateczności ukraść futro i klejnoty, ale jedynie kobieta zabrałaby również pantofle. Czołowi „odnajdywacze” z innych Centrów są już w drodze.

- Szeffie, mam raport o znalezisku - zabrzmiał z interkomu głos Charliego. - Blok Q.

Kiedy Pennstrak i op Owen zwrócili się ku mapie, Welch oznajmił z westchnieniem.

- Boże, to strefa wielkich budynków mieszkalnych.

- Dzielnica biedoty - dodał op Owen.

- Gil Gracie pierwszy na to wpadł - kontynuował Charlie. - Znalazł nie tylko futro, ale ma jakiś problem.

- Założę się, że niejeden - mruknął pod nosem Les, ustalając współrzędne.

- Charlie, skieruj wszystkich „odnajdywaczy” i odbiorców do bloku Q. Gdyby udało im się zdobyć namiary...

- Szeffie, namiary już mamy, tyle że tam jest masa podobnych mieszkań.

- Co to znaczy? - spytał Pennstrak.

- Nie mamy innego wyjścia jak eliminować jedno po drugim. Wyślij tam wszystkich, którzy mogą się przydać. - Dopiero wydawszy te polecenia, op Owen zwrócił się do Pennstraka. - Zgłaszając znalezisko, „odnajdywacz” widzi pewne szczególne związki

przestrzenie między poszukiwanym obiektem a jego bezpośrednim otoczeniem. Inaczej niż kamera. Na przykład, czy zdarzyło ci się kiedyś wejść do pokoju, skręcić w boczną ulicę czy spojrzeć w górę i odnieść wrażenie, że widziałeś już wcześniej (Daffyd przyłożył dłonie do skroni, ograniczając sobie pole widzenia) tylko taką część tej sceny, w dokładnie takim samym oświetleniu i z takimi samymi elementami? Że widziałeś wyłącznie ten fragment, kiedy reszta była zamazana?

Pennstrak skinął głową.

- To właśnie nazywamy znaleziskiem. Czasami jest to widoczne w najdrobniejszych szczegółach, kiedy indziej niewyraźne; tym razem pojawiły się tysiące możliwości - mieszkania o tym samym nasłonecznieniu, z identycznym widokiem z okna, rozkładem, urządzeniem. To wysoce prawdopodobne, bo chodzi o standardowe mieszkanie dla niezamożnych. Brak jakichkolwiek charakterystycznych punktów odniesienia, które mogłyby nam wskazać na przykład mieszkanie 44 E pod numerem 18 przy Buhler Street.

- Szefie, akurat przy Buhler Street jest budynek numer osiemnaście - odezwał się oszołomiony Welch. - Ma czterdzieści osiem pięter, a na każdym dziesięć mieszkań.

W spojrzeniu Pennstraka błysnął podziw dla op Owena.

- To jakieś bzdury. Biuro jest dokładnie osłonięte, a ja nie jestem jasnowidzem.

- Zanim twoi ludzie podeszli do tego od strony naukowej, istniało coś takiego jak przeczucie - rzucił Pennstrak.

Ku zadowoleniu op Owena i Welcha przykład okazał się chybiony. Tak naprawdę chodziło o mieszkanie 1E głęboko w centrum bloku Q. Nikt z niego nie wyszedł ani do niego nie wchodził - przynajmniej w zwykły sposób - od chwili, kiedy Gil Gracie i dwaj inni „odnajdywacze” ustalili ten dokładny zamiar. Gil wręczył op Owenowi klucz uzyskany od przerażonego dozorca.

- Mój Boże - powiedział zdumiony Pennstrak. - To wygląda jak wschodni bazar.

- Raczej jak magazyn złodzieja, który hurtowo kradnie wszystko, co popadnie - poprawił go Daffyd, przyglądając się wspaniałym kotarom osłaniającym małe okno, jaskrawym poduchom, kontrastującym z empirowym fotelem, na który zostały rzucone.

Na marmurowym stoliku stały piękne wazoniki, srebrne szkatułki i pucharki. Na bezcennej porcelanie wałały się resztki jedzenia. Pod stołem leżały pootwierane puszki po najdroższych potrawach. Dwie opróżnione butelki po szampanie spoglądały na nich swymi pustymi, zielonymi oczami. Przenośny kolorowy telewizor był zarzucony odzieżą - dwie czarne, koronkowe pończochy udrapowano wyzywająco na wygaszonym ekranie.

- Wygląda to jak gniazdo sroki - westchnął op Owen. - Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że nasza srocza jest bardzo młoda i była biedna przez całe życie, dopóki - jego oczy napotkały pełne współczucia spojrzenie Pennstraka - nasz program edukacyjny jej nie podpowiedział, jak może odblokować swój Talent.

- Będziesz musiał współpracować z Gillingsem - stwierdził ze współczuciem Pennstrak, sięgając po zawieszony przy pasku telefon. - Ale najpierw musi was przeprosić.

Op Owen gwałtownie potrząsnął głową.

- Potrzebuję jego pełnej współpracy, Julian. Obojętne czy wymuszonej, czy dobrowolnej. Kiedy naprawdę uwierzy w Talent, wtedy sam nas przeprosi z własnej woli i w jakiś zawołowany sposób.

Ku niezadowoleniu op Owena Gillings przybył na miejsce wielkim helikopterem, na sygnale, z migającymi kogutami.

- Daj spokój. Nie w tej chwili - rzucił Dave, widząc, że Pennstrak szykuje się do awantury. - Działalność „odnajdywaczy” i tak mogła ją wcześniej ostrzec.

- A gdyby nie, to teraz już wie na pewno.

W chwili gdy Gillings z technikami pojawili się na korytarzu, Pennstrak wycofał się, by porozmawiać z jednym ze swoich ludzi.

Obdarzając op Owena i Gracie'ego nieznacznym skinieniem głowy, Gillings natychmiast wydał suche dyspozycje policjantom. Widać było, że zna się na swojej robocie i ufa całkowicie technikom, bo sam nie pofatygował się do zagraconego mieszkania, żeby nadzorować ich poczynania.

- Gdy tylko pańska ekipa zbierze odciski i ustali profil fizyczny, komisarzu, chcielibyśmy przepuścić te dane przez nasz komputer. Jest szansa, że ta dziewczyna skorzystała z ogólnego testu na posiadanie Talentu, reklamowanego przez Centrum.

- Czy to ma znaczyć, że jeszcze nie wiecie, kto to jest?

- Zdołałem znaleźć płaszcz tylko dlatego, że wiedziałem, jak wygląda - powiedział Gil Gracie, zdenerwowany arogancją Gillingsa.

- W takim razie gdzie jest ten płaszcz? - Komisarz gwałtownym ruchem wskazał na mieszkanie, w którym nie było soboli.

- Mamy pantofle, komisarzu. - Zza drzwi wychylił się jeden z techników, pokazując delikatny, wysadzany klejnotami bucik, szczelnie zamknięty w plastikowej torebce. - Są tu ślady brudu, kurzu, odprysk lakieru do paznokci. Sądząc po odciskach, były na nią za duże.

Gillings przyglądał się pantofelkowi bez większego zainteresowania.

- Ani śladu sukni?

- Ciągłe szukamy.

- To dziwne, że nie potraficie zlokalizować bosonogiej dziewczyny w futrze z soboli i jasnoniebieskiej, jedwabnej sukni - zwrócił się do Daffyda.

- Jeszcze dziwniejsze, że dotąd nie dokonali tego pańscy ludzie, których pełno na każdej ulicy, komisarzu. Przeoczyć kogoś w takim stroju? Któż mógłby się czegoś takiego spodziewać? - zareplikował op Owen. - Gil, gdzie było futro, kiedy je „zobaczyłeś”?

- Leżało przewieszane przez fotel. Jeden rękaw dotykał podłogi. Rozpoznałem krawędź parapetu i drzewa za oknem, pierwsze fałdy kotary i kaloryfer. Zgłosiłem to, ty przysłałeś pozostałych „odnajdywaczy” i metodą eliminacji namierzyliśmy właśnie to mieszkanie. Zajęło nam to około godziny.

- Czy przez cały ten czas „widział” pan futro? - spytał Gillings głosem tak pozbawionym wyrazu, że jego niechęć do rozmówców stała się przez to jeszcze bardziej widoczna.

Gil zaczerwienił się, przygryzł wargi i tylko częściowo hamowany delikatnymi ostrzeżeniami op Owena, niemal warknął.

- Niech pan sam spróbuje patrzeć na jeden obiekt przez godzinie!

- Odpocznij trochę, Gil - odezwał się łagodnie op Owen.

Odczekał, aż „odnajdywacz” zniknie za zakretem i zwrócił się do Gillingsa:

- Jeżeli naprawdę zależy panu na złapaniu tej dziewczyny, komisarzu, niech pan nie obniża skuteczności moich ludzi podobnymi wyskokami. W ciągu zaledwie czterech godzin udało im się znaleźć

właściwe mieszkanie jedynie na podstawie fotografii skradzionych przedmiotów.

- Ale nie przestępczynię nadal posiadającą futro z soboli, które najpierw znaleźliście po to, żeby natychmiast w niewytłumaczalny sposób je zgubić.

- Starczy, Gillings - uciał Pennstrak, który właśnie do nich dołączył. - Przez fanfary, z jakimi tu przybyłeś, dziewczyna wie, że jest poszukiwana i teraz chowa się za osłonami.

Pennstrak wskazał za okno, gdzie widać było olbrzymie wirniki helikoptera. Grupa dzieciaków porzuciła zabawki na osiedlowym placu zabaw i zgromadziła się wokół maszyny, zachowując pełen respektu, lecz możliwie najkrótszy dystans.

- Biorąc pod uwagę różnorodność jej możliwości - powiedział op Owen - jestem pewien, że wiedziała, iż jesteśmy na jej tropie, zanim jeszcze komisarz zdążył tu przybyć. Czy któryś z tych przedmiotów zgłoszono jako skradziony, komisarzu?

- Tę komódkę. Dwa dni temu. Również była przez was poszukiwana.

- A więc z czasem stawała się coraz śmielsza - ciągnął op Owen, przygnębiony nieprzejednaną postawą komisarza.

W dodatku czuł żal, że taki Talent, jakim niewątpliwie była ta dziewczyna, objawił się od razu skrzywiony, wypaczony, egoistyczny. Dlaczego? Dlaczego tak właśnie musiało się stać?

- Jeżeli pańskim służbom kiedykolwiek uda się ustalić chronologię kradzieży tego całego bałaganu, bylibyśmy wdzięczni za kopię takiego dokumentu.

- Po co? - Gillings prześwidrował Daffyda badawczym spojrzeniem. Ta prośba wyraźnie go zaskoczyła i oburzyła.

- Talent wymaga czasu, żeby się w pełni rozwinąć. Nie wyskakuje z czoła dojrzały jak starożytna bogini Atena. Ta dziewczyna na przykład nie mogła ukraść telewizora przy pierwszej próbie skorzystania z Talentu. Im więcej będziemy mieli danych na temat... zresztą, nie czas teraz na wykłady.

Nie wypowiedziane na głos „no i racja” dotarło do Daffyda, który z kolei spojrzął na komisarza ze zdziwieniem.

- No cóż, pańscy „odnajdywacze” nie są nowicjuszami - powiedział Gillings. - Jeśli już raz udało im się wyśledzić to cholerne futro, to dlaczego nie mogą tego zrobić powtórnie?

- Każdy specjalista, którego mamy do dyspozycji, prowadzi poszukiwania - odpowiedział op Owen. - Ale jeżeli dziewczyna była w stanie uciec z tego mieszkania już po tym, jak Gil odnalazł futro, w dodatku zabierając płaszcz ze sobą, to znaczy, że jest zdolna również osłonić siebie i łup. Dopóki nie uchylą osłony, nie mamy szansy trafić na nią lub na sobole.

Wyniki badań laboratoryjnych były wyczerpujące. Uzyskano pełen zestaw odcisków palców i stóp. Jednak nie figurowały w miejskiej kartotece, w dokumentach federalnych czy urzędu imigracyjnego. Dziewczyna nie była też nigdy testowana w Centrum. Znalezione długi, czarny włos. Analiza drobin skóry sugerowała oliwkową cerę. Termofotografia pozwoliła ustalić, że przestępczyni ostatni raz przebywała w mieszkaniu mniej więcej w momencie, kiedy „odnajdywacze” ją namierzyli, co potwierdzało przypuszczenia op Owena. Obraz termowizyjny wykazał, że była drobnej budowy, miała około pięciu stóp i czterech cali wzrostu przy wadze stu pięciu funtów. Dzięki plamom na nożu kuchennym rozpoznano zerową grupę krwi. Nikt oprócz niej nie przebywał w mieszkaniu co najmniej przez osiem dni przed badaniem.

Na podstawie tych danych policyjny ekspert wykonał przybliżony portret „Maggie O”, jak ją nazwano dla potrzeb śledztwa. Pokazano go sąsiadom, ale bez żadnych rezultatów. Mieszkańcy bloku Q nie zawracali sobie głowy ludźmi, którzy nie zawracali głowy im samym.

Daffyd op Owen przypomniał sobie o dzieciach, zgromadzonych wokół policyjnego helikoptera. To od nich wydobyto informację, że mieszkała tam od niedawna. (Z dokumentów wynikało, że mieszkanie stoi nie zasiedlone). Często śpiewała i tańczyła, lubiła się przebierać. Czasami bawiła się z dziećmi i przynosiła im różne łakocie. Powtarzała, że same mogą mieć takie dobre rzeczy, jeżeli będą o nich mocno myśleć. Kiedy dzieci opowiadały, Daffyd „zobaczył” twarz Maggie zachowaną w ich pamięci. Policyjny ekspert niewiele się pomylił. Nie była wiele starsza od dzieci, z którymi się bawiła. Trudno było uznać ją za ładną, ale była tak „inna”, że jej obraz dawał się dokładnie zapamiętać. Szczupła twarz, lśniące, lekko skośne oczy, osadzone nad wystającymi kośćmi policzkowymi, wąskie, małe usta i ostra broda rzucały się w oczy nawet na tak etnicznie zróżnicowanym osiedlu.

Taki portret i rysopis zostały błyskawicznie rozesłane do wszystkich punktów wyjazdowych z miasta i do personelu środków transportu publicznego. Istniało prawdopodobieństwo, że będzie próbowała wyśliznąć się w porze popołudniowego exodusu pracowników do podmiejskich miejscowości.

Południowy i zachodni korytarz powietrzny były od początku sprawdzane przez „odnajdywaczy”. Teraz kontrola objęła cały transport.

Gil Gracie znów odnalazł futro.

- Wygląda na to, że niesie je w walizce - zgłosił przez policyjny radiotelefon ze swego stanowiska przy głównej linii kolejowej. - Jest złożone, otaczają je ciemności i porusza się w rytm kroków. Ale tu jest masa ludzi, mnóstwo walizek. Będę krążył w tłumie, może sam złapię dokładniejszy namiar.

Gillings wydawał rozkazy przez radiostację, którą zainstalowano w Centrum, żeby usprawnić koordynację działań.

- Trzeba będzie przetestować Gila pod kątem jasnowidzenia - mruknął Charlie do op Owena, kiedy porozumieli się ze wszystkimi telepatami-odbiorcami. - Upierał się, żeby przydzielić mu ten dworzec.

- Powinieneś mi wcześniej o tym powiedzieć, Charlie. Dałbym mu odbiorcę do pomocy.

- Niech pan patrzy! - krzyknął nagle Charlie, wskazując szalejącą igłę jednego z rejestratorów wizji.

Les znalazł się przy nim, zanim jeszcze włączył się akustyczny zapis incydentu.

- Nie ten tor! - krzyczał jasnowidz. - Och! Uważaj! Bagaż na wózku! Uważaj na wózek. Rusz się, człowieku! Ruszaj! W prawo! Za późno! - przejmujący krzyk zakończył wizję.

Daffyd odepchnął Charliego od mikrofonu.

- Gil, mówi op Owen. Zatrzymaj się. Nie goń tej dziewczyny! Rozpoznała cię. Gil, zgłoś się. Odpowiedz, czy zrozumiałeś! Gil! Charlie, wywołuj go. Gillings, niech pan połączy się ze swoimi ludźmi na stacji. Niech natychmiast zatrzymają Gila Gracie'ego.

- Zatrzymać go? Dlaczego?

- Wizja! Bagaż na wózku! - krzyknął Daffyd, dając znak Lesterowi, żeby mu wyjaśnił.

Sam wypadł na awaryjną klatkę schodową i pobiegł na dach. Ledwie dysząc z wysiłku, chwycił się barierki ochronnej i skierował umysł na Gila.

Znał go od dawna. Sam go szkolił po tym, jak ktoś z Centrum przedstawił mu chłopaka świetnie odnajdującego różne przedmioty. „Widział” teraz, jak biegiem przebija się pod prąd strumienia podróżnych zmierzających do pociągów. Dotykał walizek, nie zwracając uwagi na wściekłych lub zdumionych właścicieli, każdym nerwem, każdą swą cząstką skoncentrowany na tym, żeby wyczuć „dotyk” ciemnego, sobolego futra. Był tak skupiony, że sygnały Daffyda zupełnie do niego nie docierały.

Jednak op Owen „dostrzegł” moment, w którym wyladowany bagażem wózek oderwał się od szeregu innych i zmiażdżył owładniętego jedną myślą „odnajdywacza” o filar peronu. Spuścił głowę, wiedząc doskonale, że tragedia miała podwójny wymiar: Gil zginął, a dziewczyna im się wymknęła.

Rozdygotany umysł nie doznał spokoju, nawet gdy op Owen powrócił do ciszy osłoniętego gabinetu. Lester i Charlie udawali niesłuchanie zaabsorbowanych bieżącymi zadaniami. Gillings był naprawdę zajęty: kierował przeszukaniem dworca, kłócąc się z zawzięciem z zawiadowcą, który nie chciał wstrzymać odjazdów wszystkich pociągów. Stanowczy ton jego głosu przebił się przez rozpacz op Owena.

- W porządku. Jeśli Utalentowani przeszukali stację i nie ma tam kobiety o takim rysopisie, to możesz sobie puszczać te cholerne pociągi. Mam nadzieję, że ktoś posprawdzał kible, co? Ta dziewczyna jest diabelnie bystra, silna i niebezpieczna. Nie wiadomo, do czego jeszcze jest zdolna, ale chyba nie potrafi zmienić swego wzrostu, wagi i grupy krwi!?

- Daffyd. Daffyd. - Lester musiał go dotknąć, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Wskazał mu Charliego, który trzymał słuchawkę w wyciągniętej ręce.

- To Cole.

Daffyd słyszał potok wylewnych podziękowań płynący z ust współwłaściciela supersklepu. Uprzejmie odpowiadał we właściwych momentach, ale dopiero kiedy oddał słuchawkę Charliemu, dotarło do niego znaczenie usłyszanych słów.

- Futro, suknia i naszyjnik wróciły na wystawę sklepu - powiedział. Chrząknął i powtórzył to, żeby inni go usłyszeli.

- Wróciły? - zdumiał się Gillings - Ot, tak sobie? A to mała dziwka! Sam, sprawdź damskie toalety na dworcu. Zaczekaj! Czy tam jest sklep z używaną odzieżą? Niech sprawdzą, czy nic im nie zginęło. Chcę mieć dokładną listę i żeby pokazali telepatom duplikaty zaginionych rzeczy. Ona jest przerażona i ucieka na oślep.

„Przerażona i ucieka na oślep”. Słowa Gillingsa rozbrzmiewały echem w głowie op Owena. Nagle coś mu błysnęło. Na obraz szczupłej, dziewczęcej twarzy nałożyła się wizja sklepowego manekina, elegancko ubranego w odzyskaną błękitną sukienkę i ciemne futro. „Macie, bierzcie sobie. Już tego nie chcę. Naprawdę. Widzicie, oddałam to, czego szukaliście. Teraz dajcie mi już święty spokój. Nie chciałam go zabijać. Naprawdę”.

Daffyd smutno pokiwał głową. Pobożne życzenia. Równie nieistotne jak spóźniony gest skruchy. Zbyt wiele, zbyt wcześnie. Zbyt mało, zbyt późno.

- Nie chcę, żeby się bała - powiedział na głos. - Była przerażona, kiedy przewracała ten wózek.

- Zabiła człowieka, op Owen! - wrzasnął Gillings.

- Zabije i innych, jeżeli nie będziemy uważać.

- Chyba się pan nie spodziewa, że będę podchodził w rękawiczkach do maniackalnej morderczyni...

Nagłący sygnał radiotelefonu zmusił Gillingsa do podniesienia słuchawki. Już miał wrzasnąć na dzwoniącego, kiedy wiadomość skupiła jego uwagę.

- Może pan sobie darować te ojcowskie kawałki, op Owen - powiedział, odkładając słuchawkę. - Zwalila z nóg wszystkich moich i pańskich ludzi przy wyjściu na Oriole Street. Pańscy leżą nieprzytomni, moich, a także ze dwudziestu niewinnych przechodniów, okropnie rozbolały głowy. Ma pan jakiś pomysł na złapanie potwora, którego sam pan stworzył?

- Oriole? Idzie na wschód czy na zachód? - musiał jakoś przerwać tę tyradę nienawiści.

- Czy to ważne?

- Tak, jeśli mamy ją schwytać, a musimy to zrobić. Działa już na najwyższych obrotach. Trudno sobie wyobrazić, do czego jest zdolna

w takim stanie. Dotąd taki Talent to była jedynie teoretyczna możliwość...

Gillings stracił resztki opanowania. Strach i nienawiść wybuchły z taką gwałtownością, że Charlie Moorfield zerwał się z fotela i instynktownie rzucił na komisarza.

- Gillings! Charlie! - Les i Daffyd krzyknęli jednocześnie, przytrzymując walczących.

Charlie, błądy i zaszokowany własną reakcją, ochłonął pierwszy. Zziębnięty opadł na fotel i wysapał przeprosiny.

- Naprawdę chce pan, żeby więcej takich potworów jak ona i ten wariat żyło tutaj, wśród nas? O to panu chodzi!? - krzyknął Gillings.

Daffyd czuł, że głowa mu pęka z bólu i zmieszania.

- Niech pan nie będzie głupcem - wtrącił się Les, łapiąc komisarza za rękę. - Nie wolno wysyłać takich emocji w obecności wrażliwego telepaty i wywoływać podobnych reakcji. Niech pan spojrzy na Daffyda, na Charliego! Boże Świąty, człowieku, jesteś równie straszny, jak ta przerażona dziewczyna, której już się wszystko poplątało! - Nagle Les uwolnił ramię Gillingsa, nie przestając wpatrywać się w niego z niedowierzaniem. - Jezu, pan sam jest telepatą!

- Proszę o spokój! - odezwał się Daffyd tak dobitnie, że wszyscy zwrócili się ku niemu. - Istnieje rozwiązanie. Nie mamy chwili do stracenia. Charlie, niech helikopter kliniki zabierze Harolda Orleya na Dworzec Centralny. Po drodze będziemy ewentualnie korygować jego trasę. Gillings, potrzebuję dwóch najsilniejszych i najbardziej zrównoważonych policjantów. Mają być uzbrojeni w szybkostrzelne pistolety załadowane podwójnymi ładunkami obezwładniającymi. Niech czekają na nas przy dworcu.

- Harold? - Les był kompletnie zaskoczony. Nagle pojął intencje Daffyda i wyraźnie się odprężył. - Oczywiście. Nic nie powstrzyma Harolda. Nikt też nie wyczuje, że się zbliża.

- Nic i nikt - zgodził się cicho Daffyd.

Kiedy Gillings kończył wydawać odpowiednie rozkazy, za oknem przemknął helikopter medyczny.

- Lecimy za nim?

Daffyd skinął głową i gestem wskazał drogę na dach. Nie obejrzał się za siebie wychodząc, ale i tak doskonale wiedział, czego nie powiedzieli Les i Charlie.

Widziano ją, jak biegła Oriole Street na wschód. Łatwo było ją śledzić: zostawiała za sobą ludzi zgiętych w pół w nagłym ataku nudności, krzyczących z bólu. To znaczy było tak, dopóki nie przebiegła przez Boulevard.

- Leć na południe, południowy wschód, aż na nią trafimy - powiedział Gillings pilotowi, który przekazał tę poprawkę do ambulansu. - Czyżby kierowała się ku morzu? - spytał sam siebie, szukając właściwej mapy miasta. - Jest. Możemy wylądować w Seaman's Park. Na pewno będziemy tam przed nią. Chyba że nagle nauczyła się fruwać. - Spojrzał na op Owena.

- Prawdopodobnie może się teleportować - odrzekł Daffyd, widząc, że oczy komisarza zwięzają się groźnie - ale jeszcze nie pomyślała o tym. Gdyby udało nam się zmusić ją do biegu, byłaby zbyt przerażona, żeby myśleć...

Taka konieczność prześladowała Daffyda. Musieli ją gonić, aż postrada zmysły.

Gillings nakazał wszystkim policyjnym poduszkomcom okrążyć obszar poszukiwań, budynki mieszkalne i małe przedsiębiorstwa.

Do czasu, kiedy trzy helikoptery spotkały się w niewielkim parku, nie trafiono na nowe ślady Maggie O.

Op Owen powstrzymał komisarza szykującego się do opuszczenia helikoptera.

- Jeżeli nie będzie pan zupełnie opanowany, Gillings, Harold ruszy na pana.

Gillings przez moment wpatrywał się w Daffyda z upartym wyrazem twarzy. Wreszcie wrócił na fotel i podał mu radiotelefon.

- Dziękuję, Gillings - powiedział op Owen i wysiadł z pojazdu.

Dał sygnał obsłudze ambulansu, żeby wypuściła Harolda Orleya, i przez trawnik przeszedł do oczekujących go policjantów.

Dwaj wybrani wyglądali naprawdę potężnie. Wytrenowani, dobrze wyszkoleni, powinni poradzić sobie z Orleyem. Op Owen dyskretnie zbadał stan ich umysłów i był zadowolony z wyniku. Obaj posiadali naturalne osłony ludzi z gruntu opanowanych, co czyniło ich mniej podatnymi na burze emocjonalne. Ani Webster, ani Heis nie byli głupi i dobrze rozumieli zadanie, jakie przed nimi postawiono.

- Orley nie posiada użytecznej inteligencji. To ludzki barometr, mierzący intensywność i rodzaj uczuć, jakie go otaczają. Reaguje na nie instynktownie. Nie nadaje, a wyłącznie odbiera sygnały. Dlatego

Maggie O nie może go unieszkodliwić ani rozpoznać. To jedyny Utalentowany zdolny niepostrzeżenie się do niej zbliżyć.

- Ale jeżeli ją dopadnie... - zaczął Webster, mierząc Harolda fachowym spojrzeniem miłośnika boksu.

Nie dokończył jednak, tylko wzruszył ramionami i znów uważnie słuchał op Owena.

- Wzięliście podwójne ładunki obezwładniające? To świetnie. Mam nadzieję, że zdążycie ich użyć na czas.

Najważniejsze, żebyście ją złapali, zanim narobi więcej szkód. Już zabiła człowieka...

- Rozumiemy, proszę pana - powiedział Heis, widząc, że op Owen nie chciał dokończyć zdania.

- Jeśli to będzie możliwe, najpierw obezwładnijcie dziewczynę. Kiedy ona przestanie nadawać, Orleya łatwiej będzie opanować. - Daffyd przypomniał sobie Harolda rozciągniętego przed wejściem do budynku Centrum i wcale nie był pewien prawdziwości wypowiedzianych słów. - Ostatnio widziano ją na wschód od Boulevard, jakieś osiem przecznic stąd. Pewnie jest zmęczona i szuka miejsca, gdzie mogłaby się schować i odpocząć. Ale prawdopodobnie ciągle jest pobudzona i nadaje emocje, które Harold będzie w stanie odbierać. Zareaguje, ruszając na nią w linii prostej. Starajcie się go powstrzymać od przechodzenia przez mury. Mówcie do niego spokojnym głosem. Tylko proste polecenia. Widzę, że macie radiotelefony. Będę leciał tuż nad wami. Helikopter ma wprowadzić osłony, ale będę starał się wam pomóc.

Wziąwszy Harolda między siebie, Webster i Heis szybko podążyli Oriole Street na zachód. Policjanci maszerowali równym krokiem, a wyższy od nich o głowę Harold - swoim własnym rytmem.

Daffyd op Owen wrócił do helikoptera. Siadając, dał głową znak Gillingsowi, że wszystko w porządku. Starał się nie myśleć przez chwilę.

Kiedy helikoptery uniosły się nad parkiem i zaczęły powoli sunąć na zachód, op Owen ze smutkiem patrzył w dół na zatłoczone ulice; na dzieci bawiące się na chodnikach; na strumienie mężczyzn z aktówkami i kobiet z torbami pełnymi zakupów, na wąskonose miejskie auta i przysadziste ciężarówki wjeżdżające w zatoki parkingowe, na potężne helibusy podrywające się do lotu i lądujące na ulicznych wypach, żeby zabrać i wysadzić pasażerów.

- Twarz mu dziwnie drga, jakby miał tik - zgłosił Heis beznamiętnym tonem.

Daffyd uruchomił radiotelefon.

- To normalne. Zaczyna ją wyczuwać.

- Idzie coraz szybciej. Ma ochotę przebijać się przez ściany domów. - Op Owen wyczuł, że Heis nie wierzył mu, kiedy ostrzegwał o dziwnym upodobaniu Harolda. - Pozwala sobą kierować, ale ciągle spycha nas na prawo. Chwyć go za drugą rękę, Web. Tak, tak lepiej.

Gillings przesiadł się bliżej sprzętu optycznego na lewej burcie helikoptera. Sprawnie nastawił obiektyw na niezwykle trio, powiększył obraz na wewnętrznym ekranie i włączył również odbiornik pilota na konsoli. Helikopter ustawił się na bardziej precyzyjnym kursie.

- Spokojnie, Orley. Nie, Web, nie próbuj go powstrzymywać. Zatrzymaj ruch uliczny.

Linia marszu Orleya przecinała ruchliwą, szeroką arterię biegnącą z północy na południe. Webster ruszył naprzód, by pokierować ruchem pojazdów. Przechodnie przyglądali się im z zaciekawieniem. Niektórzy wręcz stawali, żeby się na nich gapić. - Nie - powiedział op Owen, widząc, jak Gillings sięga ręką po włącznik syreny. - Ona ma dobry słuch.

Na drugiej stronie ulicy Orley ruszył jeszcze prędzej. Koniecznie chciał skręcić w prawo i przejść przez budynki zagradzające mu drogę.

- Heis, skierujcie go w lewo, na chodnik - rzekł op Owen. - Chyba można go jeszcze kontrolować. Na razie nie biegnie.

- Ciężko oddycha, panie op Owen. - Głos Heisa brzmiał dość niepewnie. - I twarz mu się zmienia.

Op Owen pokiwał głową. Doskonale znał to niezwykle zjawisko, kiedy na twarzy Orleya pojawiała się klasyczna maska emocji, jakie właśnie odbierał. W tych warunkach musi to być naprawdę przerażająca przemiana.

- Jaką ma minę?

- Powiedziałbym, że pełną nienawiści. - Głos Heisa załamał się nieco przy ostatnim słowie. - Uśmiecha się również, ale to nie jest miły uśmiech - dodał policjant już normalnym tonem.

Przytrzymywali Orleya na chodniku prowadzącym na zachód. Harold nieustannie spychał Webstera na prawo, a jego szybki marsz z

wolna przeradzał się w bieg. Policjanci gwałtownymi gestami torowali mu drogę w tłumie, ale i tak wkrótce wszyscy w okolicy będą wiedzieli, że dzieje się coś niezwykłego. Chyba lepiej wezwać policję, żeby uspokoić ludzi i nie podgrzewać ich emocji. A może taka interwencja wywoła jedynie dodatkową falę tłumionego podniecenia i dziewczyna ją wyczuje? Może powinien ostrzec Heisa i Webstera, by myśleli wyłącznie o Haroldzie? Jednak czy nie odniesie to wręcz przeciwnego skutku?

Orley zaczął biec. Webster i Heis mieli już poważne trudności z utrzymaniem go na chodniku.

- Co jest za następną przecznicą? - spytał op Owen Gillingsa.

Komisarz rzucił okiem na mapę. Trzymał ją tak, żeby móc stale obserwować biegnącą trójkę.

- Budynki mieszkalne i piętrowy parking dla ciężarówek. - Spojrzał pytająco na op Owena.

- Ona musi tam być. Orley się rozpędza.

- Popatrz na jego twarz! Mój Boże! - radio przekazało rozpaczliwy krzyk Heisa.

Na ekranie widać było, że zatrzymał się na moment. Pojawiła się twarz Webstera. To, co zobaczył, najwyraźniej go przeraziło.

Orley wyrwał się swoim opiekunom. Biegł coraz prędzej, bezmyślnie spychając wszystko, co stało mu na drodze. Heis i Webster pędzili za nim jak szaleni. Orley próbował się przebić przez betonową ścianę sklepu. Odbił się od niej, dostrzegł swój cel i ruszył naprzód. Webster wyprzedził go, rozpędzając gwizdkiem przechodniów. Heis na przemian krzyczał coś do radiotelefonu i do osłupiałych ludzi. Niektórzy z nich zaczęli coś odczuwać i łapali się za głowy.

- Wysadź nas na dachu - powiedział op Owen do pilota. - Gillings, niech pańscy ludzie obstawią wszystkie wejścia do tego parkingu. Niech helikoptery zawisną przy otwartych piętrach. Może oszczędzimy ludziom trochę bólu.

Kiedy poczuł pierwszą falę świadcząca o tym, że dziewczyna zdała sobie sprawę z zagrożenia, wiedział, iż te wszystkie środki nie na wiele się zdadzą.

- Zamknijcie swe umysły! - krzyknął do pilota i Gillingsa. - Nie myślcie!

- Moja głowa, moja głowa - jęczał Heis.

- Skoncentruj się na Orleyu - poradził mu op Owen, przyciskając dłoń do skroni, żeby zapanować nad przeszywającym, narastającym bólem.

Widoczny na ekranie Heis zataczając się biegł za Haroldem, który właśnie znalazł się na parkingu.

Op Owen poczuł psychiczny nacisk i rozproszył go, nadając w zamian uspokojenie, pomoc, obronę, współczucie. Był w stanie wybaczyć jej śmierć Gila Gracie'ego. Każdy Utalentowany byłby gotów to zrobić, gdyby się teraz poddała. Centrum zdołałoby nawet jakoś ją obronić przed skutkami prawnymi popełnionego czynu. Niech tylko się podda!

Ktoś krzyknął przeraźliwie. Helikopter zakołysał się gwałtownie. Pilot jęczał, ciężko dysząc. Gillings rzucił się naprzód i przejął stery.

Prowadząc niesamowitą walkę, op Owen był ślepy na fizyczną rzeczywistość. Gdyby udało mu się przechwycić całą uwagę jej przeładowanego umysłu... zatrzymać ją na jakiś czas...

Szorstki beton zadrapał policzek op Owena. Jego palce krwawiły, kiedy szarpał zamknięte stalowe drzwi na dachu. Nie mógł wejść do środka. Musiał być przy niej pierwszy!

Stopy same odnajdywały stopnie, gdy zbiegał po schodach pożarowych, zamykając swój umysł przed intensywnym dudnieniem. Dudnieniem, które stawało się fizycznie słyszalne.

Wtedy ją zobaczył: palcami oplotła barierkę dla zachowania równowagi, stopę wysunęła jakby do skoku na podest. Zbyt chuda, niedojrzała jeszcze sylwetka skamieniała na ułamek sekundy na skutek wahania i szoku. Pasemka czarnych włosów jak blizny przylgnęły do szczupłej twarzy wykrzywionej grymasem potwornego fizycznego i psychicznego wysiłku. Jej ogromne oczy, czarne z szalonej furii i strachu, przepelnione desperacką chęcią ucieczki, napotkały jego spojrzenie.

Znała go takim, jakim był naprawdę, i jej nienawiść zazgrzytała w jego mózgu. Słowa, które „słyszał” po śmierci Gila Gracie'ego, nie były wytworem jego wyobraźni - pochodziły od niej. To w nim, Daffydzie op Owenie, upatrywała swego prawdziwego wroga.

Odsuwał od siebie nieubłaganą decyzję, którą musiał podjąć po tej błyskawicznej konfrontacji, z całego serca pragnąc, by mógł uniknąć tego, co nieuchronne.

Była mądrzejsza! Zawirowała!

Znalazła się nagle za ciężkimi, stalowymi drzwiami przeciwpożarowymi, wcale ich nie otwierając. Harold Orley, jak burza pędzący za nią, nie miał takiego Talentu. Z niewiarygodną siłą uderzył całym ciałem w zamknięte drzwi. Daffyd nie miał już wyboru. Dziewczyna teleportowała się. Uspokoił nieco Harolda, przesunął zasuwę i szeroko otworzył drzwi.

Orley ruszył za szczupłym cieniem przemykającym niskim, betonowym korytarzem. Biegła na niższy poziom.

- Zatrzymaj się, zatrzymaj - op Owen usłyszał swój błagalny szept.

Heis wypadł z klatki schodowej.

- Strzelaj do niego! Na miłość boską, Heis, powstrzymaj Orleya!

Heis nie był w stanie wycelować. Op Owen próbował wyszarpnąć mu pistolet z dłoni. Lecz wytrenowany policjant nie oddał mu broni. W tym momencie op Owen usłyszał rozpaczliwy krzyk dziewczyny.

Na drugim końcu korytarza pojawiło się dwóch mężczyzn. Wystrzelili równocześnie. Huk broni zlał się z głuchym jękiem dziewczyny.

- Nie do niej! Strzelajcie do mężczyzny! - zdążył jeszcze krzyknąć, lecz było już za późno.

Orley dopadł dziewczynę, zanim jej bezwładne ciało dotknęło podłogi. Darł i deptał źródło emocji, które tak go wzburzyły. Znęcał się nad ciałem Maggie O tak, jak ona znęcała się nad nim psychicznie.

Drgnął, gdy dosięgły go pociski obezwładniające, ale upłynęło jeszcze trochę czasu, nim zadziałały na przesycony adrenaliną organizm pobudzonego teleempaty.

W oczach Gillingsa czaiły się ból, żal i przerażenie, kiedy wybiegł na korytarz. Policjanci nie zbliżali się do pokrwawionych ciał.

- Boże, czy nikt nie mógł go powstrzymać? - mruknął pilot, odwracając głowę od krwawej miazgi wylewającej się spod nieprzytomnego Orleya.

- Drzwi by go powstrzymały, ale on - Heis ponuro wskazał na op Owena - je otworzył.

- Teleportowała się przez nie - powiedział Daffyd słabym głosem. Oparł się o ścianę. Zaczynał dygotać. - Musieliśmy ją zatrzymać. Tu i teraz. Zanim do niej dotarło, do czego jest zdolna. - Nogi się pod nim ugięły. - Teleportowała się przez drzwi!

Niespodzianie Gillings przyszedł mu z pomocą. Gillings, którego umysł odrzucił osłony i emitował współczucie, podziw i zrozumienie.

- Pan też - mruknął.

Op Owen zemdlał, ledwo doszło do niego znaczenie tych słów.

- To wszystko, co zostało po zmarłej Solange Boshe - oznajmił Gillings, rzucając na biurko kasetę. - Tyle, ile udało nam się ustalić. Cyganie nigdzie nie zagrzewają miejsca na dłużej.

- To jeszcze jacyś zostali? - zdziwił się Lester, patrząc ponuro na streszczenie piętnastu lat życia zawarte na trzycalowej kasecie.

- Są, są, zapewniam pana - odpowiedział mu Gillings, pierwszy raz od wejścia do biura używając swego zwykłego, kwaśnego tonu. - Na tej taśmie jest dłuższa rozmowa z niejakim Billem Jonesem, kuzynem Solange, odnalezionym przez opiekę społeczną, kiedy małą wypuszczali ze szpitala po zapaleniu płuc. Nie miał pojęcia, że chodzi o coś więcej ponad rutynowe poszukiwania zaginionej nieletniej. Myślał - Gillings skrzywił się nieco - że cała rodzina pojechała do Toronto. I tak też było. Sądził, że uznali dziewczynę za zmarłą, kiedy straciła przytomność na ulicy. Raport z Toronto to potwierdza. Tak więc, op Owen, pewnie nie będzie pan zaskoczony, kiedy powiem, że, według Jonesa, jej plemię to ostatni ludzie, którzy nadal zarabiają na życie, przepowiadając przyszłość, czytając z dłoni, z fusów i tak dalej.

- Chwileczkę, Gillings - uniósł się Lester.

Uspokoił się zobaczywszy, że op Owen i komisarz uśmiechają się do siebie.

- Jak pan podejrzewał, op Owen, to był wypaczony Talent. Wiemy od pielęgniarek z oddziału, na którym leżała, że namiętnie oglądała wasze programy. Możemy też przypuszczać, że wiedziała, iż jest poszukiwana albo od chwili, kiedy Gil Gracie znalazł futro, albo od momentu, kiedy namierzono jej mieszkanie. Łatwo zrozumieć pobudki, jakimi się kierowała kradnąc, i jej instynktowną chęć ukrycia się. - Gillings gwałtownie poruszył głową i wstał.

Wykonał gest, jakby chciał podać Daffydowi rękę, ale w ostatniej chwili tylko uniósł ją w geście pozdrowienia.

- Nadal prowadzi pan te audycje, prawda?

Lester Welch spojrział na komisarza z takim oburzeniem, że op Owen nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Tak, z pewnymi zmianami.

- To dobrze. Trzeba odnajdywać Utalentowanych i szkolić ich. Najlepiej już za młodu i solidnie, by nie zeszli na manowce. - Patrzył

op Owenowi prosto w oczy. - Ta Boshe była zła, op Owen, z gruntu zła. Niech pan posłucha, co Jones miał o niej do powiedzenia, a nie będzie pan zbyt żałował tego, co stało się we wtorek. Czasami nawet najmłodszych nie da się naprawić.

- Zgadza się z panem, komisarzu - powiedział op Owen, odprowadzając gościa do drzwi tak spokojnie, jakby zupełnie nie słyszał jego myśli. - Dziękujemy za pańską pomoc w pełnym wyjaśnieniu tego wydarzenia.

- Po prostu zwykły przykład dobrej współpracy. Och, proszę mnie nie odprowadzać. Sam umiem otworzyć te drzwi.

Kiedy wyszedł, Lester zaatakował Daffyda.

- No i kto tu teraz kogo głaszcze, he? Nie zgrywaj niewiniątka. Dwa dni temu ten facet był twoim wrogiem, ział taką nienawiścią, że nawet ja go wyczuwałem.

- A pamiętasz, co we wtorek sam powiedziałaś o Gillingsie?

- Ostatnio wiele się tu o nim mówiło.

- Frank Gillings jest telepatą. - A kiedy Les borykał się z tą myślą, op Owen dodał jeszcze: - I wcale nie chce nim być. Dlatego stłumił swój Talent. Oczywiście musiał przez to przyjąć postawę antagonistyczną.

- Ha!

- Nie jest jeszcze zbyt stary, ale zbyt mało elastyczny, aby teraz dać szansę swemu Talentowi. Po tylu latach blokowania go!

- To mogę jeszcze zrozumieć, ale o co mu chodziło na końcu z tymi drzwiami?

- Ja też jestem za stary, żeby uczyć się nowych sztuczek. Tam, na parkingu, teleportowałem się przez drzwi. Gillings widział, jak to zrobiłem. Dziewczyna zobaczyła to w swoim umyśle. Gdyby przeżyła, mogłaby nawiązać ze mną pełen kontakt. Ja chciałem, żeby przeżyła.

Op Owen gwałtownie odwrócił się do okna, pragnąc, by kojąca panorama posiadłości przywróciła mu spokój ducha. To pomagało do chwili, kiedy zobaczył Harolda Orleya spacerującego ze swoim opiekunem. Natychmiast pojawił się obraz bladej twarzy z szeroko otwartymi oczami i kosmykami włosów na policzkach.

Zabrzączał interkom.

- Szefie - wesół głos Sally Iselin przywołał go do rzeczywistości.

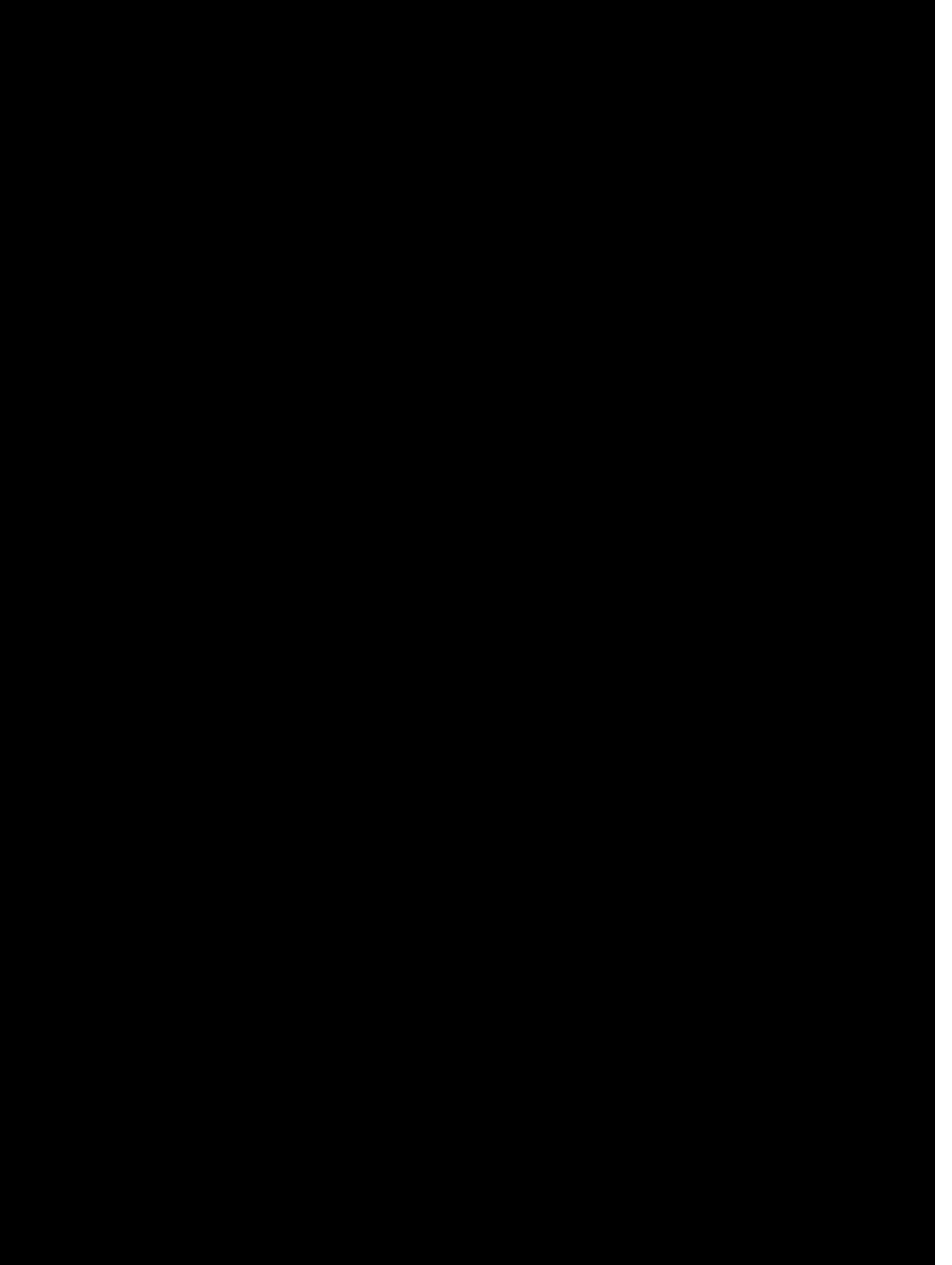
- Mamy nowego. Silny jasnowidz z możliwościami kinetycznymi. I

wiesz co jeszcze? - podniecenie zapierało jej dech w piersiach. - Powiedział, że to dzielnicowy kazał mu się zgłosić. Nie chciał żadnych kłopotów z policją, więc przyszedł do nas.

- A nie nazywa się czasem Bill Jones?

- Skąd wiedziałeś?

- To nie wizja, Sally - roześmiał się uradowany, że znów może uciec od przeszłości. - Oczywiście rzeczy nie pojawiają się w wizjach jasnowidzów, prawda, Les?



Julian Pennstrak, burmistrz Jerhattanu, Daffyd op Owen, dyrektor Wschodnioamerykańskiego Centrum Parapsychologii i Frank Gillings, komisarz policji miejskiej, spotkali się w biurze tego ostatniego. Było to świetne miejsce na zebranie w sprawach metropolii: cztery ściany wysokiego wieżowca wykonano ze wzmocnionego pleksiglasu, więc przed zgromadzonymi rozpościerał się wspaniały widok na miasto, którym zarządzali, którego przyszłość przewidywali i które chronili.

- Sprawa Maggie O miała w końcu pewne pozytywne rezultaty - przypomniał pozostałym op Owen. - Jej krewny, Bill Jones, bez względu na to, jak ściśle więzy krwi ich łączyły, okazał się silnym jasnowidzem.

Gillings prychnął i podrapał się po mięsistym nosie, co miało oznaczać powątpiewanie.

- Pół miasta powalone przez straszliwy ból głowy, dwóch zabitych, konieczność okłamywania opinii publicznej, a ty mówisz o pozytywnych rezultatach!

- Uwielbiasz widzieć wszystko w czarnych barwach, prawda, Frank? - zauważył żartobliwie burmistrz.

Kątem oka obserwował op Owena. Wiedział, że dyrektor Centrum długo nie mógł dojść do siebie po śmierci Gila Gracie'ego i Solange Boshe, nazwanej przez policję Maggie O. Od czasu tamtego wydarzenia między Gillingsem a op Owenem toczyła się szczególnego rodzaju walka, w której pierwszy patrzył na drugiego z niechętnym podziwem, a drugi na pierwszego z pełnym zadumy żalem. Pennstrak sam posiadał pewne zdolności empatyczne i dlatego wolał nie wgłębiać się w to zbyt. Wystarczy, że prawda o nagłym wzlocie i upadku Maggie O dała się ukryć przed społeczeństwem. I jeśli Daffyd chciał dostrzegać jakieś jasne strony w tym ponurym wydarzeniu, tym lepiej dla burmistrza.

- Tak czy siak, ustawa o immunitecie zawodowym jest od wczoraj obowiązującym prawem federalnym i stanowym. Co cię teraz gryzie, Frank?

- Jedna sprawa: jeżeli tacy odszczepieńcy jak Maggie O będą się nam od czasu do czasu trafiali, to czy można ich wykryć, zanim narobią kłopotów? Chwileczkę. - Podniósł rękę, widząc, że op Owen zamierza się odezwać. - Wiem, że macie swój program w telewizji trójwymiarowej, że oddziałujecie w nim również na podświadomość, jednak na ile jest on skuteczny w odnajdywaniu takich cudaków?

Op Owenowi wyraźnie nie spodobało się to ostatnie określenie.

- Niestety, tylko czas może dać na to odpowiedź. Mamy Billa Jonesa, kuzyna Maggie O. Będzie z niego jasnowidz pierwszej klasy. Sally Iselin bada w naszej klinice ponad pięćdziesiąt osób dziennie - westchnął. - Większość z nich jest jednak do niczego, choć czasami coś się trafi. Nie można zmusić ludzi, żeby się poddali testom.

- Tego właśnie nam potrzeba - stwierdził komisarz grobowym głosem. - Obowiązkowych badań.

- Dziewięciu milionów ludzi? - spytał Pennstrak z rozbawieniem.

Gillings oburzył się.

- Szaleńcy będą nas więcej kosztować.

Burmistrz musiał się z nim zgodzić.

- Jeszcze lepiej byłoby testować dzieci - powiedział op Owen. - Nasi telepaci-odbiorcy na oddziałach położniczych czasami wyłapują co silniejsze Talenty już przy narodzinach. Brak nam jednak odpowiednich urządzeń i, co gorsza, ludzi. Trzeba posiadać specyficzny Talent, żeby móc wykryć załazek Talentu u niemowlaka. W tej dziedzinie szczególnie dobra jest Sally Iselin i dziękuję Opatrzności za jej obecność w klinice. Dotąd ani razu się nie pomyliła. Lecz jest jedyna i już od dawna pracuje ponad siły. - Daffyd uśmiechnął się i zdecydował jednak nie powiedzieć tego, co cisnęło mu się na usta. Stała mu przed oczami kwaśna mina Lestera Welcha mówiącego: „Na Boga, Dave, nie opowiadaj każdemu wszystkiego. Ludzie wcale nie chcą tego wiedzieć”. Daffyd sam miał pewne wątpliwości, czy Frank Gillings przyjąłby z zadowoleniem wiadomość, że w tej chwili główną asystentką Sally Iselin była dwuletnia Dorotea Horvath, obdarzona niezwykleymi zdolnościami córka dwojga mieszkańców Centrum. Dorotea każdego ranka przychodziła do kliniki, żeby „pobawić się” w poczekalni.

Instynktownie podchodziła do każdego obdarzonego choć odrobiną Talentu, tak że Sally mogła kierować ich od razu na dokładniejsze badania. Pozostałych poddawano rutynowym testom i odprawiano do domów. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tej wstępnej selekcji. Nawet Dorotea o tym nie wiedziała - po prostu to robiła.

- Talent bywa czasami uśpiony - Daffyd zwracał się wyraźnie do Gillingsa. - Tak jak w przypadku Solange Boshe. Dojrzewa lub budzi się pod wpływem jakiegoś stresu. Różne umysły odmiennie reagują na te same bodźce, a tak niezwykle Talent, jak u Solange Boshe, to jeszcze podświadomie tłumione zdolności, żeby nie zwracać na siebie uwagi innych. Wiecie przecież, jak ludzie się do nas odnoszą. Staramy się złagodzić tę zazdrość naszymi programami, pokazując, że Talent to nie same przyjemności, a wręcz przeciwnie.

Gillings przerwał mu niecierpliwym machnięciem ręki. Sam będąc stłumionym Talentem, komisarz nie zamierzał poddać się szkoleniu i nie lubił, kiedy przypominano mu o jego sekrecie.

- Przepraszam za ten wykład, ale musicie sobie uświadamiać, że Utalentowani podlegają różnym ograniczeniom. Nie jesteśmy też w stanie przewidzieć pojawienia się wypaczonego Talentu. Twoi ludzie, Frank, dostali od nas wszelkie informacje pomocne w wykryciu takiego Talentu. Cóż więcej możemy uczynić?

- Namówcie swojego senatora, żeby wprowadził poprawkę do tej nowej ustawy - mruknął Gillings, uważnie obserwując podłogę. - Ukrywanie Talentu powinno być nielegalne.

Daffyd popatrzył na niego okrągłymi ze zdumienia oczami. Gillings doskonale wiedział, co znaczy uśmiech na twarzy dyrektora i obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Zaproponuję to Joelowi Andresowi przy najbliższym spotkaniu - powiedział op Owen uprzejmie. - To świetny pomysł.

- Ale jak, do diabła, wyobrażacie sobie wprowadzenie go w życie w obecnych warunkach! - zaprotestował Pennstrak. - Nie macie urzędzeń, brak wam ludzi. A zresztą, jeżeli w kimś drzemie uśpiony Talent, to może o nim wcale nie wiedzieć. Z kolei ten, kto chciałby ukryć swoje zdolności, i tak to robi. Nie będzie można mu niczego udowodnić.

- To by mi jednak pomogło - stwierdził ciągle naburmuszony Gillings. Spoglądał na op Owena z mniejszą złością. Było widoczne, że telepata nie powiedział burmistrzowi o uśpionym Talencie

komisarza. Facet najwyraźniej wiedział, kiedy trzymać język za zębami. - Mógłbym zamykać podejrzanych i nie dopuścić do tego, by wpadli w amok, jak ta Cyganka.

Uśmiech zgasł na twarzy op Owena.

- Nie można w żadnym wypadku powstrzymywać ani zamykać Utalentowanych, Frank. Właśnie to wywoływałyoby u nich stres, którego chcemy za wszelką cenę uniknąć. Jest jeszcze naprawdę wiele rzeczy, których nie wiemy o rozwoju i mechanizmach działania Talentu.

- Na przykład co? - Komisarz gotował się na nieprzyjemne wieści. Op Owen bezradnie rozłożył ręce.

- Na to nie potrafię ci odpowiedzieć. Nie jestem jasnowidzem. Amen!

Gillings znów coś zamruczał niezadowolony.

- Jeśli już o tym mowa, to czy twoi Utalentowani nie trafili czasem na coś związanego z tymi bzdurami o kluczu etnicznym przy przydzielaniu pracy? Wy, jak sądzę, jesteście wielonarodowościowi?

- Jak najbardziej.

Gillings spojrział na niego podejrzliwie. Julian Pennstrak chrząknął donośnie.

- No, to mamy o jeden problem mniej - ciągnął komisarz. - Ale jasnowidze nie zanotowali żadnego incydentu na ten temat, nie licząc tego tu - postukał palcem w kasetę przysłaną mu wczoraj.

Daffyd pokręcił głową.

- Jasnowidzenie nie jest najbardziej nieuchwytnym talentem. Można jedynie generalnie stwierdzić, że im więcej osób ma wziąć udział w jakimś przyszłym zdarzeniu, tym większa jest szansa na pojawienie się wizji. Inaczej mówiąc, im silniejsza zmiana ma dotknąć większą grupę ludzi, kogoś szczególnie ważnego lub osobę związaną z jasnowidzem, tym większa istnieje możliwość wystąpienia wizji. Dawni wróżbici usiłowali przepowiadać przyszłość w ogóle, czyjąkolwiek, i choć, jak sądzę, dość dobrze radzili sobie z przeciętną osobą, to najlepsi z nich osiągnęli niezłą dokładność tylko w odniesieniu do osób, od których zależał los większej grupy. Niektórzy nasi jasnowidze działają jedynie w bezpośredniej konfrontacji z jakąś osobowością i dlatego im właśnie powierzamy ochronę VIP-ów. Nie udaje się jednak sprowokować wizji na jakiś zadany temat. Maggie O to był fuks, zupełnie wyjątkowa osoba, nie zintegrowana z żadną

grupą i bez powiązań, dzięki którym jakiś jasnowidz mógłby ją dostrzec. Przynajmniej do chwili, kiedy okoliczności nie związały jej z życiem Gila Gracie'ego. Wtedy zanotowaliśmy wizję na jego temat, ponieważ jasnowidz go znał. Świadomie powtarzam to aż do znudzenia, ale jest wiele manifestami psychicznych, o których nic nie wiemy. Zawsze, kiedy wydaje mi się, że coś zaczynam rozumieć, pojawiają się nowe fakty, które nie pasują do całości. Henry Darrow mawiał, iż posiadanie jakiegokolwiek Talentu jest jak jazda na skrzydlatym koniu: widok z jego grzbietu przepiękny, ale zwykle nie można zsiąść wtedy, kiedy się chce.

Gillings dotąd cierpliwie wysłuchiwał gadaniny Daffyda, lecz tego było mu już za wiele. Nerwowo postukiwał w kasety leżące na biurku, oznaczone napisem PILNE. Pennstrak spojrział na op Owena innymi oczami.

- Zawsze myślałem, że Pegaz to symbol poezji, wzlotów werbalnej fantazji. Przyznaję jednak, że podoba mi się to porównanie, Dave. Skrzydlaty koń to dla was odpowiedni wierzchowiec. Lecz ja sam chyba nie miałbym odwagi go dosiąść.

- Gdybyście zechcieli teraz poświęcić chwilkę przyziemnym sprawom maluczki - odezwał się kwaśno Gillings - to może moglibyście mi powiedzieć, gdzie, do diabła, znaleźć pracę dla tych wszystkich awanturników?

Jakieś dwa miesiące po tym spotkaniu, kiedy Daffyd dotarł rano do swego gabinetu, znalazł na biurku kartkę od Sally Iselin z prośbą o jak najszybszy kontakt. Natychmiast wystukał jej numer. Jeżeli choć jeden prawdziwy Talent miesięcznie zostanie wychwycony na skutek kampanii informacyjnej, to cały wysiłek w nią włożony będzie opłacalny.

- Sally? Tu Daffyd. Dzwoniłaś?

- Ach, Dave. - W jej głosie było pełne zaskoczenie i coś jakby zażenowanie. - Nie jestem pewna, czy powinnam zawracać ci tym głowę.

- Moja prababcia mawiała: co wątpliwe, musi być brudne.

- Nie mówię o koszulach, Daffyd. - Jej zwykły humor gdzieś się zapodział. - Mówię o ludziach.

- Jakich ludziach? - To było zupełnie nie w jej stylu, żeby wyciągać z niej informacje jak stare gwoździe z deski.

- No cóż, nie chcę cię do niczego uprzedzać, ale... zabrałbyś mnie gdzieś dziś wieczorem? Jest takie miejsce, które chcę ci pokazać. Sama nie potrafię wyczuć, o co w tym wszystkim chodzi, a wiem, że tam się dzieje coś dziwnego.

- Coraz lepiej! Złapałaś mnie na to.

- Cholera! Wcale nie chcę cię łapać. Jak zwykle robię jedno, a wychodzi coś zupełnie innego.

Daffyd roześmiał się.

- Nie przejmuj się. Wzbudziłaś moją ogromną, niepohamowaną ciekawość.

- W porządku, dziecię słońca. Przyjedź po mnie o dziewiątej. Będzie ci potrzebny helikopter i szmal. - Jej ton zdawał się sugerować mroczne implikacje szalonej rozrzutności i rozpusty, ale z trudem powstrzymywała śmiech, co zdradziło Daffydowi, że znów była sobą.

- Wezmę tyle, na ile mi Lester pozwoli. Do dziewiątej!

Przycisnął wyłącznik, kiedy zjawił się Lester Welch.

- Co znowu knuje ta cała Iselin?

- Nie jestem telepatą telefonicznym! - Daffyd udał, że go nie zrozumiał.

Les zaklął cicho, wpatrując się w szefa z kwaśną miną.

- W porządku. Więc i ty nie chcesz mi nic powiedzieć. Może i nie mam Talentu, ale wcale go nie potrzebuję, żeby wiedzieć, iż coś ją piekielnie podnieciło. Zawsze stara się mówić tak spokojnie.

Daffyd wzruszył ramionami i sięgnął po leżące na biurku kasety.

- Zaraz gdy się dowiem, natychmiast cię powiadomię. Czy coś jeszcze zakłóca ci ten piękny poranek? Aha, Sally napomknęła, że będę potrzebował pieniędzy na wieczór.

Les nie potrafił ukryć zaskoczenia. Wskazał palcem kasetę z niebieską nalepką oznaczającą sprawy finansowe.

- Jakiś chłopek z East Waterless Ford na półmocy stanu koniecznie chce opodatkować część mieszkalną Centrum na tych samych zasadach co inne osiedla. Twierdzi, że wpływy od „mieszkańców o tak wysokich dochodach” zredukują deficyt stanu o 9 procent.

Daffyd gwizdnął z uznaniem.

- Prawdopodobnie się nie myli, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że to zarejestrowana, ograniczona komuna i że ci dobrze zarabiający mieszkańcy oddają Centrum każdy kredyt ze swoich pensji.

- Posłuchaj mnie, Dave. On przygotowuje całkiem niezłą sprawę.

Op Owen westchnął głęboko. Zawsze było coś, ktoś lub jakiś komitet, który próbował ugryźć Centrum, starał się je rozerwać, zniszczyć lub oczernić mimo całej ostrożnej reklamy i uświadamiania.

- Wiesz, że zrobili to samo w New Jersey, kiedy Uniwersytet Princeton zbudował wioski akademickie, żeby oszczędzić na kupnie drogich gruntów i uniknąć podatków - przypomniał mu Les.

- Zaraz to przesłucham. A teraz, Lester, znikaj.

Welch wymamrotał coś niezbyt uprzejmego pod nosem i wyszedł. Daffyd przesłuchał kasetę. Nie podobało mu się to, co usłyszał, lecz musiał przyznać, że senator stanu dobrze odrobił zadanie domowe. Podatki ściągnięte z części mieszkalnej Centrum stanowiłyby rzeczywiście niezłą sumkę istotnie zasilającą anemiczny skarb stanu. Tyle że Centrum leżało w obrębie Jerhattanu, o półtorej mili od jego granic, i dlatego, jeśli w ogóle miałyby płacić jakieś podatki, to raczej miastu.

- Połącz mnie, proszę, z Julianem Pennstrakiem - poprosił sekretarkę.

Burmistrz miasta mógłby coś pomóc w tej materii. A już na pewno zainteresuje go propozycja senatora z północy Aarona Greenfielda. (Zawsze musimy walczyć z różnymi „fieldami”, pomyślał Daffyd, pamiętając przepawy z senatorem USA Mansfieldem Zeusmanem.) Oczywiście jeżeli Julian jeszcze nie słyszał o sprawie. Zwykle niewiele rzeczy udawało się ukryć przed jego dociekliwym umysłem. Pennstraka nie zdołał złapać, ale jego sekretarka taktownie połączyła go z Pat Tawfik, oficjalnie autorką przemówień burmistrza, a faktycznie jego Utalentowaną ochroniarzką.

- Tak, Dave. Julian obserwuje poczynania Greenfielda - wyjaśniła Pat. - Nawet zaprosił go do siebie na przyjacielską pogawędkę, kiedy pierwszy raz usłyszał o tym projekcie. Greenfield jest podobny do Zeusmana: podejrzliwy i boi się nas, supermenów.

- Czy Julian mu powiedział, że budynki mieszkalne to własność komuny?

- Tak. I przedstawił mu kwoty, jakie Centrum zgłasza każdego roku oraz raporty audytorów. Nic nie pomogło. Właściwie - Pat skrzywiła się - to tylko utwierdziło Greenfielda w przekonaniu, że Centrum jest bogatym źródłem dodatkowych dochodów.

- Centrum leży w obrębie Jerhattanu.

- Julian też o tym wspomniał, ale Greenfield jest jednym z tych maniaków wspólnej kasy; jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Cała forsa do jednej kiesy - jego. Jest przewodniczącym komisji budżetu stanowego.

Daffyd skinął głową na znak, że wiedział o tym.

- Nie chciałam cię niepotrzebnie martwić - powiedziała przeproszającym tonem.

Op Owen ledwo powstrzymał cierpki komentarz, jaki cisnął mu się na usta i zamiast tego jedynie westchnął.

- Pat, łatwiej poradzić sobie z chwastem, dopóki jest mały.

- Chwastem? Dobrze powiedziane. Greenfield jest prawdziwym chwastem. - Słowa Pat brzmiały wyjątkowo kwaśno. - Powiem Julianowi, że dzwoniłeś i że się tym martwisz.

- Nie, Pat, nie martwię się. Jeszcze nie.

- Ja bym się przejmowała na twoim miejscu - stwierdziła ponuro.

- Czy to wizja?

- Nic szczególnego. Szczerze mówiąc, Dave, daleko bardziej martwię się nastrojami panującymi w mieście niż pomysłami starego Greenfielda. Julian zresztą też. Dziś osobiście bada nastroje ulicy. - Skinęła dłonią. - Och, nie ma się czego obawiać, wysłałam z nim jednego z naszych z policji. Ostatnio nie mogę zbyt szybko chodzić. - Wymownie spojrzała na swój wielki brzuch. - Widziałeś mój ostatni raport?

- Przysłałaś mi coś? - Daffyd zaczął przeglądać stos kaset.

- Powinien już być na twoim biurku. Lepiej, żeby tam był.

Daffyd odnalazł kasetę z oznaczeniem ADMINISTRACJA MIEJSKA.

- Jest. Lester Welch dopadł mnie, zanim zabrałem się do roboty.

- I nie wspomniał ci o naszej kasecie? - zdziwiła się. - Dave, przesłuchaj ją natychmiast, ponieważ, uwierz mi, jest o wiele ważniejsza od Greenfielda, nawet jeśli Lester uważa inaczej.

- Czy to wizja, Pat?

- Powiedz tylko, że to wina mojego obecnego stanu, tak jak Julian - zachnęła się rozzłoszczona. - Albo że to wynik niedoboru witamin, jak twierdzi mój ginekolog, a natychmiast rzucam tę pracę. - Równie nagle przestała się gniewać. - Boże, gdybym tylko mogła to zrobić!

- Pat, a może potrzebujesz paru tygodni urlopu?

Op Owen widział, że targają nią sprzeczne uczucia: niechęć ustępowała miejsca nadziei, a tę natychmiast zastępowała rezygnacja.

- Nie kuś, Dave.

- Wcale nie miałem zamiaru. Mogę wysłać sygnał SOS...

- ...i dołożyć pracy innemu biedakowi? - Pat wysoko uniosła brodę.

- Poradzę sobie, Dave. Serio! To tylko... Lepiej przesłuchaj moje sprawozdanie. I pamiętaj: w tym roku na tapecie jest problem narodowościowy.

W tym roku? Kolejne zadanie. Daffyd op Owen wprowadził kasetę do czytnika i natychmiast problem Greenfielda przestał istnieć wobec bardziej naglącego zagrożenia wiszącego nad całym miastem. Zaczął się zastanawiać, kto jeszcze wpadł na pomysł oszczędzania zmartwień drogiemu dyrektorowi i nie poinformował go o wydarzeniach, o których właśnie usłyszał po raz pierwszy. Bo jeżeli to zespół do spraw korelacji dopuścił do opóźnień w odczytywaniu wizji, natychmiast zdegraduje tę całą bandę.

Krótkie, gwałtowne spory pomiędzy różnymi grupami etnicznymi o przydział kontraktowych miejsc pracy w zimie udało się jakoś załagodzić, jednak zawieszenie broni między etnicznymi enklawami miast było chwiejne: każda dzielnica uważała, że sąsiadom skapnął smakowitszy kąsek. (Większość okresowych miejsc pracy była w gruncie rzeczy niepotrzebna, opłacana z funduszy na inne niezbędne sprawy po to tylko, żeby nie zranić niczyich uczuć). Najpoważniejsze kłopoty sprawiał młody lider Wszechsłowian, Vsevolod Roznine. Badania opinii wykazywały, że Roznine bardziej budził lęk wśród swoich popleczników, niż cieszył się prawdziwą popularnością - i że choć czyniono próby uspokojenia tego zręcznego agitatora, zawsze udawało mu się wywinąć. Raport Pat kończył się przypuszczeniem, iż Roznine być może posiada uśpiony Talent. Lecz jedyny kontakt mentalny, jaki z nim uzyskano, był tak nieprzyjemny dla Utalentowanego, który tego dokonał, że musiał go przerwać przed wprowadzeniem sugestii, by Roznine stawiał się do Centrum na testy.

- Społeczna świadomość tego człowieka to rynsztok - brzmiał końcowy komentarz.

Daffyd op Owen złączył końce palców obu dłoni, odwrócił fotel ku oknu i zapatrzył się na uporządkowany teren poniżej. Czuł głęboki smutek, choć miał pełne powody do dumy z tego, co Utalentowani w ogóle, a Wschodnioamerykańskie Centrum w szczególności, zdołali

osiągnąć w ostatnich dziesięcioleciach. Jednak op Owen wiedział, nawet bez pomocy jasnowidzów, ile jeszcze zostało do zrobienia na wielu płaszczyznach: publicznej, prywatnej, cywilnej, klinicznej, militarnej, przestrzennej i, co najważniejsze, wewnętrznej. Bez względu na rodzaj posiadanego Talentu, jasnowidze, telepaci, teleportyści, kinetycy, empaci wciąż byli zwykłymi ludźmi i to tak często komplikowało terapię przystosowawczą.

Nareszcie wszystkim zarejestrowanym w Centrum udało się zapewnić ochronę prawną wykonywanych przez nich zawodów. Był to kolejny wielki krok naprzód. Dzięki wieloletniej pracy przynoszącej wymierne korzyści pracodawcom Utalentowani zyskali ich akceptację. Ochroniarze obdarzeni zdolnościami parapsychicznymi udowodnili, że są w stanie wyłowić potencjalnych zamachowców z tłumu i jako pierwsi zdobyli uznanie. Później jasnowidze zostali docenieni przez kierownicze gremia przedsiębiorstw. Jednak nie przekonani nadal stanowili większość i ciągle trzeba im było wyjaśniać, że Utalentowani nie są dla nich zagrożeniem.

Wielokrotnie się nad tym zastanawiał, ale nie znajdował odpowiedzi na piętrzące się przed nim problemy. Miasto rozdarte walkami etnicznymi służyło za przykład kompromisu wobec braku podstawowych wartości pod koniec dwudziestego wieku. Zbliżało się lato, a mimo postępów w pracy nad kontrolowaniem pogody gorąca susza, ograniczająca produkcję prądu elektrycznego niezbędnego do urządzeń klimatyzacyjnych, mogła stworzyć warunki sprzyjające wybuchowi zamieszek.

Dotychczas nie zanotowano żadnej wizji katastrofy, a dla miasta wielkości Jerhattanu pojawienie się takiej wizji było statystycznie bardziej prawdopodobne niż w przypadku mniejszej społeczności. Było to jednak słabe pocieszenie.

Dobrze, że Talent jest ponadnarodowościowy, pomyślał Daffyd. Nie musiał się martwić, że konflikty na tym tle mogłyby pojawić się w Centrum.

Nagrał apel do wszystkich Utalentowanych o wzmożoną wrażliwość na nastroje społeczne w mieście. Wielkie umysły będą teraz pracowały nad tym problemem. Być może uda się im znaleźć rozwiązanie.

Kiedy spotkał Sally Iselin o dziewiątej wieczór przy wejściu do kliniki, dziewczyna obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Już po sekundzie jej minę zaciekawionego dziecka opromienił uśmiech.

- Wiedziałaś, wiedziałaś... - wydawało się, że zacznie klaskać w dłonie i tańczyć wokół niego.

- Co wiedziałaś? - spytał, obracając się, żeby nie tracić jej z oczu.

- Że ubierzesz się tak, jak trzeba. Ale jakim cudem...? Jestem pewna, że nie dałam ci żadnej wskazówki. Chyba nie jesteś również jasnowidzem?

- Wolałbym nim nie być.

Radosna żywiołowość dziewczyny zgasła natychmiast. Sally wyciągnęła rękę, w ostatnim momencie powstrzymując gest pocieszenia. Delikatnie dotknął jej palców.

- Nic takiego. Po prostu ciężki dzień.

Przechyliła głowę i spod przymkniętych powiek przyglądała się jego eleganckiemu kombinezonowi.

- Potrafisz być rozrywkowy.

- I kto to mówi - uśmiechnął się.

Sally miała na sobie tunikę w kolorach zielonym i czarnym i odpowiednio dobrane wysokie buty. Jej młodzieńczy wdzięk działał na niego jak środek uspokajający, więc zastanawiał się - jak to zresztą często czynił - dlaczego tak rzadko ją widuje.

Kiedy ujął ją pod ramię, pomagając wsiąść do helikoptera, spojrzała na niego zdumiona. Nawet gdy opowiadała mu o swym dniu, jeszcze wyczuwał to zdziwienie.

- Ludzie przychodzą, zaklinając się na wszystkie świętości, że mieli takie to a takie wizje. Dorotea nie wykryła ani jednego Talentu. Przechodzą przez całą tę procedurę, ale nawet przy maksymalnej dawce perceptolu są głusi i ślepi.

Sally z zasady nie bardzo potrafiła milczeć, lecz tym razem Daffyd czuł, że potok słów, jakim go zalewała, był swoistą tarczą. Zastanawiał się, co też chciała przed nim ukryć. Dobre wychowanie powstrzymywało go przed zapuszczeniem szybkiej sondy w jej myśli. I tak wiedział, że prędzej czy później sama mu powie. Sally była zbyt otwarta, by długo tłamsić coś w sobie.

Kazała mu lecieć do dzielnicy K, na północny zachód od Centrum, gdzie niskie wzgórza wyrastały z dawnych bagien. Był to niezbyt zdrowy rejon mimo prac melioracyjnych. Gdziekolwiek można było

dostrzec mury fabryk z początku dwudziestego wieku i właśnie przy jednej z takich budowli, rozległej hali z cegły i szkła, Sally kazała mu wylądować.

- To chyba dość popularne miejsce - powiedział, krążąc w poszukiwaniu wolnego lądowiska.

Sally patrzyła na szeregi prywatnych samochodów i miejskich helikopterów.

- Ludzie szybko wykrywają nowe źródła rozrywki.

- A to jest nowe? - Wyczuł zmartwienie w jej myślach. - Czy tłum jest tu nie na miejscu?

- Sama już nie wiem. - Była bardziej niż zmartwiona. - Naprawdę nie wiem. To... - urwała, silnie zaciskając wargi.

Stanęli w krótkiej kolejce po karty wstępu i zapłacili po kredycie za jedną.

- To złoty interes dla właścicieli - powiedziała, kasując karty przy masywnych drzwiach oddzielających przedsionek od obszernego wnętrza hali.

- Dobrze strzeżony - zauważył Daffyd na widok potężnie zbudowanych ochroniarzy w kombinezonach.

- Są bardziej potrzebni, niż przypuszczasz - stwierdziła poważnie. Praktycznie cały jej umysł krzyczał: uwaga kłopoty!

- Będziemy potrzebowali pomocy? - spytał, szacując, ilu empatów byłoby niezbędnych do opanowania takiego tłumu.

Sally nie odpowiedziała. Rozglądała się po olbrzymiej sali szybko wypełniającej się nowo przybyłymi. Nie trzeba było mieć Talentu, żeby odczuwać aurę oczekiwania i podniecenia emanującą z publiczności. Widownia nie była jeszcze pełna. Niemal połowa stolików stała pusta, lecz większość kanap na wewnętrznych kręgach była zajęta. Daffyd pierwszy raz w życiu oglądał taką mieszaninę stylów, wieku i stanu umeblowania.

- Musieli to chyba zbierać po całej dzielnicy.

Sally wskazała stolik w kręgu zewnętrznym. Daffyd zauważył, że znajdował się on w pobliżu jasno oświetlonych drzwi wejściowych. Ledwie zdążyli usiąść: Daffyd na fotelu w stylu królowej Anny, Sally na szwedzkim krześle z chromowanych rurek, kiedy zjawił się kelner.

- Co tu podajecie? - spytała go Sally tonem zblazowanej bywalczynie podobnych przybytków.

Daffyd był zaskoczony. Nie rozumiał, po co jej ta poza.

- Co tylko sobie pani zażyczy - odpowiedział kelner, niecierpliwie spoglądając na zapelniające się sąsiednie stoliki.

- Spróbuj czegoś łagodniejszego, kotku. - Daffyd uznał, że lepiej dostosować się do jej zachowania. - Lekarze już cię ostrzegali, a ja nie mam ochoty znów cię wozić na drenaż mózgu.

Sally udała oburzenie, potem rezygnację i poprosiła o łagodną kofeinę. Daffyd, nadal w nowej roli, zamówił mieszankę ezoteryczną.

- Ja ciebie też nie będę woziła!

- Dobra. Niech będą dwie łagodne, ale w dzbanku.

Kiedy kelner odszedł, Daffyd przysunął się bliżej dziewczyny.

- Czy to rejon niezadowolenia społecznego?

Zmarszczyła nos.

- Mamy stąd sporo osób marzących o Talencie. Doszedł ich jakiś dźwięk, coś bardziej przypominającego sygnał niż muzykę. Blade światła na filarach zgasły, a w zamian rozbłysły reflektory rampy, podgrzewając nastrój wyczekiwania. Sally spojrzała na półkolistą scenę w połowie pogrążoną w mroku. Aura niecierpliwości, żarłocznego, emocjonalnego apetytu wyraźnie się nasiliła. Dziewczyna zadrżała i skrzyżowała ręce na piersiach, lecz Daffyd czuł, że ta sztuczna atmosfera bardziej ją denerwuje niż przygnębia.

Kiedy zjawił się kelner niosący dzbanek i dwie filiżanki, Sally podskoczyła przestraszona. Kelner obsłużył ich szybko i niedbale - nie opłacało mu się zbytnio troszczyć o gości zamawiających łagodniejsze trunki - i natychmiast odpłynął, dziękując cierpkim uśmiechem za spory napiwek.

Sala była niemal pełna. Szmer rozmów brzmiał w uszach Daffyda jak warczenie głodnej bestii. Tak, trzeba przyznać, że w mieście panowało napięcie. Było to szczególnie dobrze wyczuwalne w tej wielkiej gromadzie. Ochroniarze rozstawili się między stołami. Niepokój Daffyda rósł. Teoretycznie dobrze poznano mechanizmy psychologii tłumu, jednak między teorią a praktyką zawsze istniała pewna luka - ta niebezpieczna przerwa, którą może wypełnić nawet najbardziej nieistotny incydent, iskra, zarzewie rozruchów. Daffyd i Sally zbyt dobrze znali „brzmienie” bliskich zamieszek, by czuć się swobodnie w tak nabrzmiałej atmosferze.

Op Owen nachylał się właśnie, by uprzedzić Sally, że być może będą musieli nagle opuścić klub, kiedy oświetlenie sceny zmieniło się i na jej środek wyszła dziewczyna. Ubrana była w prostą, białą

sukienkę bez żadnych ozdób. W ręce trzymała staroświecką dwunastostrunową gitarę akustyczną. Instrument nie był podłączony do żadnego wzmacniacza, co zaskoczyło Daffyda tak samo, jak królewska postawa artystki i jej prosty strój.

Czyjaś ręka podstawiła jej wysoki stołek na trzech nogach. Dziewczyna usiadła, nie oglądając się za siebie.

Daffyd zmarszczył brwi, poszukując jakiegoś systemu nagłaśniającego. Nie miała przecież szansy być słyszaną w tak wielkim tłumie bez żadnego wzmocnienia.

Zauważył, że Sally wyraźnie się odprężyła i uśmiechnęła.

Dziewczyna na scenie poprawiła się na stołku, odrzuciła w tył grzywę brązowych włosów i nie zwracając najmniejszej uwagi na widownię, dotknęła palcami struny gitary. Delikatne dźwięki nie potrzebowały wzmocnienia, rozległy się bowiem w absolutnej ciszy, która okazała się najlepszym przewodnikiem akustycznym.

Daffyd wyprostował się na fotelu. Każdym nerwem odbierał subtelne, niesamowite pulsowanie, które rozwinęło się w łagodną melodię i dalej ją rozbudowywało. To nie cisza! Dziewczyna oddziaływała na publiczność telepatycznie!

Właśnie to Sally pragnęła sprawdzić. Chciała, by potwierdził jej własne odczucia. W jej oczach dostrzegł iskierki radosnego triumfu. Głos śpiewającej dziewczyny, ciepły, liryczny sopran, rozbrzmiewał pogłosem, kiedy karmiła tłum czułym wezwaniem do wzajemnej miłości. Każdy słuchacz namacalnie to odczuwał.

Daffyd słuchał i „słuchał”, oszołomiony fizycznie i emocjonalnie tym niezwykłym przeżyciem: niezwykłym nawet dla kogoś, kto jak on całe życie poświęcił zagadkowym siłom psychicznym człowieka. Intelkt nie pozwalał mu wierzyć własnym odczuciom. Nie potrafił określić, jak udawało się jej stworzyć tak doskonałą więź z publicznością. Był pewien, że nie kryła się za tym żadna elektroniczna sztuczka. W takim razie skąd ten pogłos?

Dziewczyna musiała być empatką nadającą uczucia. Inteligentną empatką, nie taką jak biedny Harold Orley, zupełnie pozbawiony rozumu. Ta młoda kobieta umiała świadomie dobierać i wysyłać emocje. Zaraz, zaraz! To musi być to! Świadomie wysyłała emocje. Do kogo? Przecież nie indywidualnie do każdego słuchacza. Ludzie wprawdzie reagowali, ale to nie tłumaczyło „generowania” uczuć, które tu wszystkich obejmowały. Potrzebne są wrażliwe umysły, żeby

wytworzyć takie uczucia, a ludzie na widowni byli parapsychicznie martwi. Mimo to dziewczyna potrafiła w jakiś sposób nimi manipulować, bez żadnych technicznych tricków.

Pieśniarka przeszła do bardziej złożonej melodii autorstwa jakiejś dziewiętnastowiecznej sekty religijnej, której członkowie osiedlili się we wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Przesłaniem tej pieśni była kojąca ludzkie dusze powszechna akceptacja. Dziewczyna celowo wyciągała widownię z technokratycznej pułapki i przenosiła ją w czasy, kiedy wszystko wydawało się łatwiejsze, kołysząc słuchaczy i wprowadzając ich w nastrój, w jakim jeszcze lepiej ją rozumieli. Daffyd nie był uodporniony na naładowaną atmosferę sali, nie licząc tej części jego mózgu, która ciągle dociekała, jak można osiągnąć taki poziom kontroli nad masami.

Artystka skończyła pieśń i delikatnie trącała struny, zmieniając tonację. Trzecia piosenka, o intensywności nie niniejszej niż poprzednie, była skoczną, wesołą balladą podnoszącą na duchu i pomagającą przy pracy.

Daffyd uświadomił sobie, że dziewczyna starannie przygotowywała słuchaczy do dalszej części występu, której nastroju mógł się domyślić. Zaczął się odpręzać lub, dokładniej mówiąc, jego intelekt dotąd tak czujny zareagował na wesoły czar ballady.

Niespodzianie dopadł go lęk. Głębokie ukłucie, nagły błysk przeładowany niepokojem mającym swe źródło w tekście piosenki. Tyle że to wcale nie była prawda. Sally również coś poczuła i nerwowo rozglądała się dookoła. Reszta sali zdawała się niczego nie zauważać, kompletnie zauroczona toczącym się przed nią spektaklem, zanurzona w iluzji idyllicznej przeszłości.

Lęk musiał pochodzić od śpiewającej i wcale nie był częścią ballady. Daffyd doszedł do takiego wniosku, ponieważ nie widział innego wyjaśnienia: na sali nie pojawił się nikt nowy, nie zmieniło się jej oświetlenie ani aura. Sally również skupiła uwagę na śpiewającej dziewczynie.

Czego się wystraszyła? Przecież trzymała widzów w garści. Mogła z nimi zrobić dosłownie wszystko.

Ballada dobiegła końca. Pieśniarka wstała płynnym ruchem, oparła gitarę o stół i zniknęła w cieniu otulającym większą część estrady.

Sally spojrzała pytająco na Daffyda. Oboje równocześnie zorientowali się w sytuacji. Dziewczyna została śmiertelnie przestraszona. Już nie wróci na scenę tego wieczoru.

- I to właśnie najbardziej niebezpieczne posunięcie, jakie mogła zrobić - „powiedział” op Owen do Sally.

Na widowni nikt się nie poruszył. Daffyd również nie miał śmiałości wstać. Światła zmieniły się troszkę, rozbłysły nieco mocniej. Ludzie zaczęli otrząsać się z transu, sięgali po papierosy, drinki; rozległ się stłumiony gwar rozmów.

- Jeszcze nie wiedzą, że ona nie wróci. Gdy tylko się dowiedzą...

Daffyd dał Sally znak. Koniecznie muszą się stąd wydostać. Nie mogli narażać się na zaburzenia psychiczne związane z zamieszkami, a kiedy ten tłum wreszcie pojmie, że piosenkarka nie będzie dalej śpiewać, dotychczasowe zadowolenie zmieni się w dziką wściekłość. Daffyd wolał zachować ostrożność. Nie mogli tak po prostu opuścić klubu, lecz koniecznie musieli opuścić salę.

Niezgrabnie sięgnął ręką przez stół i rozmyślnie przewrócił dzbanek kofeiny.

- Ty baranie! - krzyknęła Sally ze złością, zrywając się na równe nogi i odciągając od ciała zaplamioną spódnicę.

Daffyd też wstał, przepaszając ją gorączkowo. Sąsiedzi obrzucili ich gniewnymi spojrzeniami, źli, że zakłócono ich przyjemny nastrój. Przesuwając się ku wyjściu, Sally nie przestawała pomstować na swego kompana. Razem dotarli do rozsuwanych drzwi. W przedsionku aura wytworzona przez artystkę była słabsza niż na sali. Grupa osób przy kasie przerwała dyskusję, przyglądając im się podejrzliwie.

- Nie mogę tu siedzieć w mokrej sukience - jęczała Sally. - Te plamy tak łatwo nie zejdą, a wiesz, że dopiero co ją dostałam!

- Kotku najmilszy, zaraz wyschnie, to tylko...

- Zawsze byłeś słoniem!

- Stańmy tutaj. Tu jest cieplej. Zaraz wyschniesz i nic nie stracimy.

- Jeżeli opuścimy choć jedną piosenkę Amaldy, to nigdy, przenigdy, ci nie daruję.

Rozmawiając w tym stylu, dobrnęli do wyjścia. Daffyd „usłyszał” tak sprośne komentarze na temat Sally, że pospiesznie założył blokadę na swą wrażliwość.

- Jak sądzisz, Sally, ile mniejszości tu się zebrało?

- Z punktu widzenia twojego porannego memo - zbyt wiele. Dave, boję się. Tym razem to już nie jest lęk Amandy.

- Dzwonię do Franka Gillingsa.

- Poszukam dziewczyny. Musi dostać ochronę.

- Dasz radę?

- Nie jestem pewna, ale muszę choć spróbować. Kiedy tłum się zorientuje, że wyszła...

Skreśliła w lewo, na tyły fabryki, przemykając między samochodami, aż zniknęła Daffydowi z oczu. Ruszył do helikoptera i kanałem alarmowym połączył się z Centrum.

Charlie Moorfield był na dyżurze. Natychmiast zaalarmował policję oraz specjalistów Centrum do walki z rozruchami. Gdyby udało im się na czas zgromadzić dość telepatów, mogliby stłumić zamieszki w zarodku, zanim policja zostanie zmuszona do użycia wysoce niepopularnego gazu.

- Odszukaj Franka Gillingsa i powiedz mu, że jest tu Roznine - polecił Daffyd.

- Roznine? A cóż on, do diabła, może robić w takim klubie?

- Gdybyś zobaczył, jak ta piosenkarka wpływa na widownię, nie dziwiłbyś się.

Moorfield zaklął, nie znajdując lepszego ujścia dla swego zdenerwowania. Daffyd żałował, że przeklinanie nie działało na niego równie odprężająco.

- Charlie, trzymaj tę linię otwartą.

- Dave, nie możesz tam zostać! - Głos Charliego dogonił Daffyda kilka metrów od helikoptera.

Żałował, że nie kazał mu być cicho. Koncentrował się na „słuchaniu” dziewczyny. Wyczuwał, dokąd poszła Sally, ale był przyzwyczajony do kontaktu z nią; umiał ją „odszukać” na znacznie większą odległość. Ta piosenkarka była jednak obca, niepokojąco obca, uświadomił sobie, ponieważ w żaden sposób nie był w stanie jej „odnaleźć”. Przecież widział ją, czuł ją przez ponad pół godziny. Wystarczająco długo jak na niego, żeby ją zidentyfikować i dosięgnąć w promieniu mili. W tak krótkim czasie nie mogła się bardziej oddalić.

Usłyszał głuchy łoskot ciężkich helikopterów policyjnych. Dostrzegł ich migocące światła. Spojrzał na wschód w nadziei, że ujrzy maszyny Centrum. W ciągu dnia trudno było zgromadzić dość

telepatów, by stłumić zamieszki, o ile wcześniej jakaś wizja nie ostrzegła o zagrożeniu. Jednak wieczorem wszyscy byli na miejscu, pod ręką. Gdyby tylko...

Budynek starej fabryki nie był już tak cichy jak wcześniej. Słuchacze zaczęli się denerwować. Chciał mieć nadzieję, że nadal wierzyli, iż pieśniarka zrobiła sobie tylko krótką przerwę.

Ktoś otworzył część ciężkich drzwi wejściowych i na moment stanął w prostokacie światła, wyglądając na zewnątrz. Daffyd rozpoznał Roznine'a. Nagle przywódca etniczny zamarł. Wyszedł w mrok nocy z wysoko zadartą głową. Daffyd usłyszał jego przekleństwa, kiedy pospiesznie wracał do środka i zatrząskiwając za sobą drzwi. Szybko ruszył na poszukiwanie Sally, zastanawiając się, jak Roznine zareaguje na przybycie policji. Tylko że... Daffyd nieomal upadł, kiedy to do niego dotarło: skąd Roznine mógł wiedzieć, że wielkie helikoptery należały do policji? Firmy transportowe korzystały z maszyn tego samego typu. A jednak op Owen był absolutnie pewien, że Roznine rozpoznał je prawidłowo.

Daffyd mijął narożnik starej fabryki w chwili, gdy jej tylne drzwi otworzyły się z rozmachem. Doliczył się ośmiu ochroniarzy, którzy rozbiegli się na wszystkie strony. Za nimi wyszedł dziewiąty mężczyzna - Roznine, który ochryplym, choć stanowczym głosem nakazywał im znalezienie tych pieprzonych policyjnych kapusiów albo spędzą resztę swych dni na zasiłku.

Kapusiów, liczba mnoga. Kto oprócz Amaldy? Szkoda czasu na spekulacje. Wysłał Sally szybkie ostrzeżenie: ma natychmiast przerwać poszukiwania i wrócić do helikoptera. Kiedy do niego dotarł, z łatwością omijając ochroniarzy równie głośnych fizycznie jak psychicznie, Sally już tam była.

- Publiczność traci cierpliwość - powiedziała, patrząc na olbrzymią, czarną bryłę budynku.

Drżała ze strachu.

Daffyd spojrział na wschód i zobaczył poruszające się światełka transporterów Centrum.

- Zaraz tu będą.

Jednak znajdowały się zbyt daleko. Rozczarowanie i rozbudzone apetyty słuchaczy osiągnęły niebezpieczne rozmiary. Wszystkie boczne bramy klubu rozwarły się z hukiem. Część publiczności wypadła na zewnątrz w daremnym poszukiwaniu piosenkarki. Z sali

dochodził trzask niszczonego i rzuconych sprzętów. W szale ludzie tratowali się i ranili nawzajem.

Daffyd nie tracił czasu. Nieomal wpełznął Sally do helikoptera, nacisnął przycisk startu rakietowego, ostrzegając ją, by trzymała się fotela. Z pierwszego policyjnego helikoptera rozległy się donośne wezwania, zanim jeszcze zdołał włączyć światła identyfikacyjne. Nie pozostawało mu nic innego, jak uciec poza zasięg gazu obezwładniającego.

Na bezpiecznej wysokości zatrzymał helikopter i kazał transporterom Centrum zawrócić do bazy. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zdołał zatoczyć tylko jedno kółko, kiedy z policyjnych maszyn wystrzelono ładunki z gazem. Nie mieli innego wyjścia w obliczu rozjuszonego tłumu, pomyślała Sally, kiedy skierowali się na wschód.

Nie byłam pewna, Daffyd - powiedziała Sally, zwinięta w kłębek na wiszącej kanapie w jego kwaterze.

Wpatrywała się w trzymaną w dłoni szklanę, jakby bursztynowy płyn był czymś naprawdę fascynującym. Wyglądała jak mała dziewczynka, przerażona zbliżającą się burzą. W rzeczywistości część umysłu Sally była szeroko otwarta, umożliwiając Daffydowi porównanie jej wrażeń na temat pieśniarki z własnymi. Choć trudno było to sobie wyobrazić, nie mógł wykluczyć, że w grę wchodziły jakieś sztuczki z nagłośnieniem.

- To jeszcze jeden powód, dla którego powinnaś mi o tym powiedzieć. Właśnie ze względu na możliwość podobnych manipulacji nagłaśnianie jest licencjonowane. Jedyne sprawdzeni technicy o nieposzlakowanej opinii mogą dostać licencję.

- Mamy coś na temat tej dziewczyny?

- Jeszcze nie. Właściciele fabryki byli wśród ofiar gazu obezwładniającego. Będą przesłuchiwać przez ludzi Gillingsa, gdy dojdą do siebie. Prowodrzy zamieszek nie mogą liczyć na pobłażanie policji.

- Najpierw musimy odszukać tę dziewczynę, Sally.

- Gdybym cię uprzedziła... - smutek Sally był zaraźliwy.

- Zawsze powtarzam, tobie i wszystkim innym: zwracajcie mi głowę najmniejszymi błahostkami. Często nie są tak nieistotne, jak wam się wydaje.

- Wiem, wiem. Po prostu nie pomyślałam.

Ale tak naprawdę bała się rozczarować Daffyda i siebie samą. Przecież mogło się okazać, że jej pierwsze wrażenia po usłyszeniu piosenkarki były mylne. To, co reprezentowała sobą ta dziewczyna, było zbyt dobre, by mogło być prawdziwe.

- Daffyd, czy ona bała się tłumu? Był trzy razy większy niż wtedy, kiedy słyszałam ją pierwszy raz. Sama byłam przerażona na widok takiej masy ludzi.

- Kiedy zobaczyłaś ją pierwszy raz?

- Dwa dni temu. Po koncercie próbowałam do niej dotrzeć. - Wzruszyła ramionami.

- Ochroniarze?

- Nie - zdziwiła się Sally. - Każdy chciał się do niej dostać. Nie miałam szansy dowiedzieć się czegokolwiek przy takiej interferencji, a co dopiero zasugerować, żeby przyszła do Centrum.

Daffyd przechadzał się po pokoju ze złożonymi na piersiach ramionami i nisko pochyloną głową.

- Oboje wyczuliśmy jej strach?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Więc oboje zgadzamy się, że to nadająca empatka?

Sally znów przytaknęła, tym razem energiczniej.

- Ale czy potrafi również odbierać? - spytała. - To mogłoby jakoś tłumaczyć zjawisko pogłosu, prawda? Wyrzuca z siebie emocje, a potem, odbierając je od widzów, wzmacnia je.

- To całkiem możliwe.

- Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie.

Daffyd uśmiechnął się do Sally.

- To niezupełnie pasuje do okoliczności. Zresztą Roznine używał liczby mnogiej: „ci pieprzeni kapusie”.

Oczy Sally zaokrągliły się ze zdumienia.

- Ona jest łącznikiem. To tłumaczyłoby wzmacnianie i echo.

Daffyd skinął głową.

- Więc kto jest tym drugim empatą? A może jest ich więcej?

Daffyd wzruszył ramionami.

- Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, kim jest?

- Prawdopodobnie. Będziemy musieli jej to powiedzieć.

- Tylko, jak chcesz to zrobić?

Chyba będziemy musieli poprosić o pomoc Franka Gillingsa.

- Ależ ona spowodowała zamieszki. Sam wiesz, co robią z prowodyrami.

- Oczywiście, ale wiem także, że Frank chce, aby wszyscy ludzie obdarzeni Talentem zostali zarejestrowani, wyszkoleni i podlegali naszej kontroli. Zatem kiedy damy mu szansę przesłuchania śpiących królewien...

- Będziemy mogli wytropić Kopciuszka za pomocą pantofelka. - Sally uśmiechnęła się, w mig łapiąc analogię, zanim odleci na Pegazie?

- Pegaz? On jest z mitów, nie bajek. To nie fair, Daffyd!

- Jednak porównanie jest jak najbardziej na miejscu. - Op Owen miał śmiertelnie poważną minę. - Musimy założyć uzdę jej Pegazowi albo nadpali sobie skrzydła.

Chociaż komisarz policji i dyrektor Wschodnioamerykańskiego Centrum Parapsychologii potrafili dobrze ze sobą współpracować, komisarz starał się unikać wizyt w Centrum. Respektując ten kaprys, Daffyd zadzwonił następnego ranka do jego sekretariatu z prośbą o spotkanie w sprawie zamieszek w fabryce.

- Jakim cudem tu się dostałeś? - spytał Gillings wstając, kiedy wprowadzono op Owena do jego gabinetu.

Daffyd poświęcił chwilę wspaniałej panoramie metropolii osnutej lekką mgiełką.

- Byłem na tropie dość wyjątkowego Talentu.

- Chodzi o tę piosenkarkę? - Gillings zaklął cicho, kiedy Daffyd skinął głową. - Czy znasz koszty całej tej imprezy?

- Nie, ale wiem, że taniej by wyszło, gdybyśmy nie zaalarmowali twoich oddziałów.

Gillings skrzywił się.

- Nie powinna była dostać licencji na publiczne występy.

- Właśnie chciałem się dowiedzieć, czy ją miała.

Wściekły komisarz uruchomił interkom i kazał się natychmiast połączyć z kartoteką ludności. Żadna osoba odpowiadająca rysopisowi Amaldy nie otrzymała licencji. Fabryka również nie posiadała zezwolenia na organizowanie recitali. Znalazły się natomiast dane na temat systemów nagłośnienia, z jakich klub mógł korzystać, częstotliwości programowania, dni, w których mogły się odbywać zgromadzenia i na temat maksymalnej liczby ludzi na widowni.

Okazało się, że wczorajszy spektakl był całkowicie nielegalny. Gillings kazał wezwać właścicieli klubu, braci Dicka i Harry'ego Dittsów, którzy mówili coś zupełnie innego, kiedy minęły skutki działania gazu. Pięć minut później poinformowano komisarza, że braci nie można znaleźć w ich miejscu zamieszkania.

- Czy wiecie coś o ich powiązaniach z Roznine'em?

- Roznine'em?

Gillings zerknął na Daffyda z mieszaniną niesmaku i pełnej zdumienia troski, która przeszła w głębokie zamyślenie.

- Widziałeś go tam?

- Tak. Był w fabryce. Kiedy wycofywaliśmy się stamtąd tuż przed wybuchem zamieszek, dojrzałem, jak rozmawiał w holu z paroma typami. Później pierwszy dostrzegł wasze helikoptery i uciekł. To ciekawe, że nie zaproponował braciom Ditts, żeby uciekli razem z nim.

- Nie bądź naiwny, Dave. Roznine troszczy się wyłącznie o siebie; gdyby nie to, dawno już bym go zamknął. Tyle że dzielnica K leży dość daleko od jego terytorium. - Gillings patrzył na miasto spod przymkniętych powiek. - Robi się cholernie mocny, i to nie tylko wśród Słowian. To megaloman, a takim zwykle udaje się unikać poważniejszych wpadek, dopóki nie staną się zbyt pewni siebie. Roznine nie popełnił błędu - na razie.

- W każdym megalomanie jest oprócz szaleństwa trochę Talentu.

- Talentu? - Zgodnie z przewidywaniami Daffyda, Gillings wpadł w niepohamowaną wściekłość. - Chryste! Niczego bardziej nie potrzebuję, jak mieć tu Utalentowanego lidera narodowościowego! Do diabła, dlaczego nie weźmiecie się wreszcie do roboty i nie powyłapujecie tych pomyleńców, zanim wymkną się spod wszelkiej kontroli!? Mamy dość kłopotów z utrzymaniem tego wszystkiego w korbach. - Wyciągniętym palcem zatoczył koło, wskazując metropolię za oknem. - Po co mi jeszcze problemy z uśpionymi Talentami?

- Więc pomóż nam odnaleźć Amalę. Mogłaby ci się przydać.

- Jest prowodyrem zamieszek. - Oczy komisarza zwęziły się oskarżycielsko.

- Zamierzasz mi pomagać czy przeszkadzać, Frank? Dziewczyna jest ważna dla nas obu, ale nie w pudle. Jest inteligentną, nadającą empatką, o niesłychanym zasięgu i sile oddziaływania. Nie sądzę, żeby zdawała sobie z tego sprawę, choć może od wczoraj coś jej

świta. W czasie trzeciej piosenki coś napędziło jej okropnego stracha. Uciekła! Nie wiem, co to było, ani też w jaki sposób potrafi tak nadawać, ale Centrum musi ją odnaleźć i chronić.

Gillings uniósł brwi w ironicznym zdumieniu.

- Byłeś tam razem z Iselin. Dlaczego jej nie złapaliście? Co się stało?

- Między innymi wybuchły rozruchy. Niektórzy ludzie potrafią automatycznie założyć sobie osłony, Frank, a jeżeli nie można dotrzeć do ich umysłu, tym bardziej nie można znaleźć ciała.

- Dobrze, już dobrze - powiedział Gillings, z irytacją machając ręką na łagodny wyrzut Daffyda. - Ale jak ona może nie wiedzieć, kim jest? No dobrze, dobrze, już wiem. Więc co mam robić?

- Chcę, żebyś odnalazł każdą młodą piosenkarkę o jej rysopisie, która starała się gdziekolwiek o licencję. Chcę się też dowiedzieć, gdzie dotąd występowała, gdzie chodziła do szkoły i skąd pochodzi. Ukryła się i niełatwo będzie ją odszukać. Po pierwsze, jest nadal przerażona tym, co jej się wczoraj przytrafiło. Po drugie, na pewno zdaje sobie sprawę z tego, co się stało na widowni po jej zniknięciu. Ma więc dwa dobre powody, żeby się ukrywać. Nie chcę, aby lęk całkowicie nią zawładnął - więc pozwól, by moi ludzie prowadzili właściwe poszukiwania. Zmienimy nasze programy telewizyjne tak, żeby działały na podświadomość. Być może uda mi się doprowadzić do tego, że sama się do nas zgłosi. To byłoby najlepsze rozwiązanie - zakończył wstając.

- Zgoda. Rób to po swojemu. Jak najszybciej znajdźcie tę dziewczynę i wyszkolcie ją, czy coś takiego. Wszystko, co znajdziemy na jej temat, prześlę do twojego komputera. To nie powinno długo potrwać.

Potrzebne były aż dwa dni, żeby prześledzić losy dziewczyny znanej jako Amalda, a i tak raport był dziurawy jak sito.

Urodziła się i wychowała w małej komunie w Appalachach. Do szesnastego roku życia była uczennicą. Rzuciła szkołę, aby „podróżować”, co się często zdarzało nie ukierunkowanej młodzieży, nie mającej żadnej motywacji. Brakowało śladów świadczących o nauce gry na jakimś instrumencie, jednak muzyka była nierozłącznie związana z jej środowiskiem. Przez kilka lat było o niej cicho, dopóki nie podjęła pracy na Florydzie w kompleksie kontroli żywności. Jej

dwa podania o licencję artystki estradowej na Florydzie zostały odrzucone przez komisję stanową. Za trzecim razem dostała pozwolenie tymczasowe, którego termin upłynął bez prośby o przedłużenie. Odnotowano, że kilkakrotnie zatrudniano ją w małych klubach jako piosenkarkę folk grającą na instrumentach strunowych i nie korzystającą z nagłośnienia. Nowe podanie o pozwolenie na pracę na scenie, już nie w charakterze piosenkarki, złożyła w Waszyngtonie przed czterema miesiącami. Znalezione bezterminowy kontrakt podpisany z jedną z trup teatralnych. Daffyd kazał sprawdzić sztukę, w której grała. Zaczynając jako statystka, Amalda otrzymała w niej nagle ważną rolę drugoplanową. Premiera miała się odbyć w Jerhattanie za trzy tygodnie.

Chociaż Daffyd tylko ogólnie orientował się w mechanizmach rządzących show biznesem, dostrzegł rażące sprzeczności w sprawozdaniu. Brakowało też wyjaśnienia kwestii, skąd Amalda nagle pojawiła się jako solistka w wątpliwej sławy klubie mniejszości etnicznych.

Op Owen i Sally współpracowali z zespołem propagandy, żeby włączyć do audycji podświadomą sugestię dla ludzi znajdujących się w sytuacji Amaldy. Daffyd skontaktował się także z producentem sztuki.

- Mielśmy kupę kłopotów z tą dziewczyną - powiedział mu Norman Kabilov. - Nie będę owijał w bawełnę: ona już nigdy nie podpisze kontraktu i powinna stracić wszelkie nadzieje na licencję. Nie, dopóki ja będę miał coś do powiedzenia w tym interesie.

- Jakie to były problemy? - spytał Daffyd, wysyłając uspokajające sygnały do poirytowanego małego jegomościa.

- Cała masa problemów - wściekał się Norman Kabilov.

Daffyd wiedział, że zainteresowanie Centrum jego była aktorką solidnie nim wstrząsnęło.

- Uczepiła się mojego szefa sceny, Reda Vadena. To świetny facet. Solidny. Można było na nim polegać. Ta mała owinęła go sobie wokół palca, jakby nigdy przedtem nie miał do czynienia z panienkami rwącymi na scenę za wszelką cenę. Red rzadko prosił o przysługę, więc kiedy zażyczył sobie, żeby znalazła się w obsadzie na objazd - myślę, że nie chciał stracić tego, co regularnie dostawał w domu - czemu miałem się nie zgodzić? Nagle Red zaczyna mnie prosić, abym zrobił jej przesłuchanie na jedną z drugoplanowych ról. Już wybrałem

kogoś na to miejsce - wyraz twarzy Kabilova sugerował, że jego decyzja miała bardziej osobiste niż artystyczne uzasadnienie - ale przecież muszę dbać o jego szczęście, więc znów się zgadzam.

Mały producent skrzywił się. Daffyd bez trudu czytał w jego myślach. Facet był autentycznie zdumiony wspaniałą grą Amaldy i natychmiast podpisał z nią kontrakt, mimo że wiedział, iż czeka go niezła przeprawa z własną kandydatką.

- Niech pan pamięta, to nie była dobra rola, dopóki ta mała się do niej nie zabrała. - Kolejne, pełne zdumienia potrząśnięcie głową. - Sam nie wiem, jak to robiła, bo na pewno nie miała wielkiego doświadczenia, ale po prostu nie mogłem jej odmówić. Któregoś dnia na próbie zjawiał się autor i od razu rozpiął tę rolę na nowo, by dać Amaldzie więcej możliwości. O mało nie doszło do awantury z Carlą Jacobs, która jest gwiazdą w tej sztuce. Red ją uspokoił. Kawał niezłej roboty. Nie mam pojęcia, jak mu się udało. Widzi pan, Jacobs dobiega pięćdziesiątki i każda młoda to dla niej zagrożenie. Zabawne.

Kabilov spojrział na ścianę za Daffydem. W głowie kotłowały mu się setki wspomnień z obrazami Carli Jacobs w amoku, Carli Jacobs udobruchanej i bardzo niewieloma fragmentami z Amaldą. Facet podświadomie cenzurował wspomnienia.

- Kiedy La Jacobs pracowała z tą małą, wszystko było w porządku. Chce pan zobaczyć recenzje?

Daffyd zgodził się pospiesznie, ale nie miał szansy na nic więcej, jak rzucenie okiem na pochwalne tytuły krzyczące z kserokopii.

- Wszystko było okay, dopóki byliśmy w Waszyngtonie, ale gdy tylko przyjechaliśmy do Jerhattanu, zaczęły się kłopoty! La Jacobs wpada do mnie z prawnikami i swym aktualnym chłopem i wrzeszczy, że już nigdy nie pokaże się na scenie z tą kretynką. Tak się wściekła, że musieliśmy nafaszerować ją środkami. Jeżeli stracę Jacobs, stracę teatr i sztukę, bo tak jest zapisane w kontrakcie. Mówię więc Redowi, żeby znalazł inne miejsce dla tej małej. Nie stać mnie na takie kłopoty. I co pan powie: odeszli oboje! - Był oburzony. - Ot, tak sobie. Odszedł. Facet, którego byłem w stu procentach pewny, że mnie nigdy nie zawiedzie, odchodzi z teatru na dwa tygodnie przed premierą. Z powodu takiej małej!

Choć Norman Kabilov wyglądał jak obraz wzburzonej niewinności, „brzmiał” jak ktoś, kto przeszedł prawdziwą gehennę. Miał przy sobie zdjęcia Amaldy i Reda Vadena. Z wyraźną ulgą

wręczył je op Owenowi, jakby chciał się pozbyć wszystkiego, co przypominałoby mu epizod, który pragnął całkowicie wymazać z pamięci.

Daffyd op Owen przekazał fotografie najlepszym „odnajdywaczom”, kopie dostarczył policji i, trochę bez przekonania, swemu najlepszemu jasnowidzowi.

- Znajdź tę dziewczynę - powiedział Gillings. - W przeciwnym razie ja ją odnajdę i będę musiał oskarżyć o wywołanie tamtych zamieszek.

- Frank, nie prowokuj następnej Maggie O.

Choć ekran wideotelefonu nie był kolorowy, Daffyd był łowień, że komisarz poczerwieniał.

- Robimy, co w naszej mocy - dodał uspokajająco - ale nie możemy jej zmusić, żeby do nas przyszła.

Gillings mruzczał złowrogo, odkładając słuchawkę.

Zdarzały się dni, kiedy Gillings nie był jedynym krzyżem Daffyda. Op Owen spędził cały ranek z Sally, starając się znaleźć sposób zwabienia Amaldy do Centrum. Lester Welch wszedł do gabinetu, posłuchał ich przez chwilę i prychnął pogardliwie.

A może byście tak sprawdzili, gdzie mieszka ten cały Red Vaden, co? Jeżeli dla dziewczyny opuścił teatr, któremu świetnie szło, to musi być z nią blisko związany. A jeśli jest aktualnie bez pracy - Lester uśmiechnął się złośliwie - to pewnie jego zgłoszenie leży w Agencji Teatralnej.

Op Owen na moment przymknął oczy, zanim szczerze mu podziękował. - Naprawdę nie wiem, Les, co byśmy zrobili bez twego zdrowego rozsądku.

- Prędzej czy później ktoś by ci wyjaśnił, że dwa razy dwa to cztery - Les wyszedł.

- To jedna z tych chwil, kiedy żałuję, że nie jestem kinetykiem - powiedział Daffyd z westchnieniem, wymyślając różnorodne, pomniejsze katastrofy, jakie zesłałby na cierpkiego elektronika z Nowej Anglii w drodze do jego biura. Dostrzegł przekorny uśmiech Sally. - Jeżeli mu powtórzysz, co sobie myślałem...

Przybrała poważną minę i uniosła dwa palce.

- Wiesz przecież Dave, że nie czytam w myślach zbyt dokładnie. - Zachowała jednak w pamięci żywy obraz Lestera wciskanego do kosza na śmieci.

Daffyd połączył się z Agencją Teatralną. Bruce Vaden zgłosił gotowość do pracy i podał swój nowy adres. Pracownica Agencji poinformowała op Owena, że adres jest oczywiście zastrzeżony. Przedstawił się jej i wyjaśnił, że koniecznie musi skontaktować się z Vadenem. Uzyskał zapewnienie, że Agencja przekaże to Vadenowi i jeżeli ten będzie zainteresowany, na pewno sam zadzwoni.

- Też coś: jeżeli będzie zainteresowany - powtórzył Daffyd, rzucając słuchawkę z obcą mu zwykle złością.

- Pomyślmy przez chwilę jak nasz kochany Les i szepnijmy słówko wszechwładnemu lwu - zaproponowała Sally.

Jej sugestia doprowadziła do tego, że za pięć minut mieli już ten adres i nim minęło pół godziny, siedzieli w helikopterze lecącym w odludny rejon na wybrzeżu. Niewielki, owiany oceanicznymi wiatrami domek stał szczelnie zamknięty i wyraźnie opuszczony. Sally i Daffyd rozczarowani wrócili do Centrum. Les spotkał ich na schodach na dach.

- Wyglądasz, jakbyś złapał ptaszka - powiedziała Sally na jego widok.

- Nie wiedziałem, że potrafisz czytać w myślach.

- Wystarczy mi twoja mina...

Na progu gabinetu Daffyda Sally się zawahała. Op Owen, bardziej od niej poruszony, chwycił ją zdecydowanie za łokieć i niemal wepchnął ją do pokoju. Natychmiast znalazł się w wirze niesamowitych wrażeń; bezpośredni kontakt z Sally pozwolił mu się zorientować, że jej równowaga emocjonalna była silnie zaburzona. W pomieszczeniu unosiła się niezwykle intensywne aura nienawiści i miłości, była też pewność, że dziewczyna o kasztanowych włosach siedząca naprzeciw drzwi jest silną i gwałtownie pobudzoną empatką, że rudobrody mężczyzna przy oknie jest z nią związany desperackimi, pełnymi rozpaczami więzami.

- Jestem Daffyd op Owen, a to Sally Iselin, szefowa zespołu rekrutacyjnego naszej kliniki. Szukaliśmy was. - Daffyd wysyłał fale współczucia, zrozumienia, przyjaźni i szacunku.

- To my was znaleźliśmy - odpowiedział mężczyzna. - Nazywam się Bruce Vaden.

- Staraliśmy się odszukać cię wczoraj w fabryce. - Daffyd zwrócił się do Amaldy.

Miał wrażenie, że dziewczyna zaraz się rozsypie.

W tym momencie Sally nabrała powietrza w płuca i zrobiła ruch w kierunku Amaldy, kiedy uderzenie jej lęku, zmieszania, nienawiści, miłości, obrzydzenia, afektu zważyło się na oboje Utalentowanych.

- To jedynie próbka tego, co potrafię. - Mimo miękkiego, południowego akcentu słowa Amaldy zazgrzytały w ich uszach, a echo intensywnego, mentalnego krzyku spowodowało, że się wzdrygnęli. - Wcale tego nie chcę. Już nie ma znaczenia, czy Red jest ze mną w pokoju czy nie. Teraz to działa wszędzie.

Była przepelniona goryczą, lecz gdy dostrzegła, że Sally zaczyna drżeć, w jej oczach obok współczucia pojawiła się iskra satysfakcji.

Daffyd uprzejmym gestem wyprosił Sally z gabinetu. Opierała się, dopóki mentalnie nie powtórzył prośby, każąc jej jednocześnie natychmiast sprowadzić Jerry'ego Framesa. Zauważył, że była wojowniczo nastawiona i nawet nie zadawała sobie trudu, by to ukryć. Mrugnął lekko, kiedy z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

- Jesteś empatką - powiedział do Amaldy, usiłując przebić się przez jej fale i ukoić wzburzone uczucia.

- Nie obchodzi mnie, kim jestem. Chcę się tego pozbyć. Natychmiast!

- Moja droga, tego nie można się pozbyć - odrzekł najłagodniej, jak umiał, choć w mózgu uparcie kołatała się wizja skrzydlatego konia, mknącego po niebie bez uzdy.

Amalda wstała jednym płynnym ruchem. Jej oczy iskrzyły się gniewem.

- Więc sama to zrobię! - krzyknęła, rzucając się w stronę okna.

Daffyd ruszył, żeby ją powstrzymać fizycznie i mentalnie, ale był wolniejszy od Reda Vadena. Zresztą i tak nie miała szans zrealizowania swego zamiaru, ponieważ okna nie można było rozbić. Twardo uderzyła w plastik i wpadła w ramiona rudzielca, szlochając histerycznie i wysyłając tak sprzeczne i silne emocje, że Daffyd sięgnął w odruchu litości po pistolet i strzelił do niej.

W pokoju zaległa przeraźliwa cisza, kiedy obaj mężczyźni wpatrywali się w bezwładną postać w objęciach Vadena.

- To chyba było konieczne - powiedział Red bezbarwnym głosem, mocniej podtrzymując dziewczynę.

Daffyd wyczytał w jego myślach ulgę. Umysł Vadena był obolały ze zmieszania, strachu i całkowitego oddania dziewczynie. Op Owen wskazał mężczyźnie kanapę.

- No dobrze, op Owen, i co dalej? - spytał Red, troskliwie ułożywszy Amaldę w wygodnej pozycji.

Jego oczy były zimne, błękitne i przepelnione bólem.

Daffyd odwzajemnił spojrzenie i stwierdził, że pomysł przyjscia do Centrum wyszedł ze strony Reda. Była to ostatnia szansa na znalezienie pomocy, ponieważ Amalda była zdecydowana zniszczyć swój Talent nawet kosztem życia.

- Najpierw nasz lekarz przeprowadzi kurację uspokajającą. - Daffyd zerknął na wychudzone ramię dziewczyny. - I przepisze odpowiednią dietę.

Vaden prychnął z niesmakiem, jakby praktyczne rady były ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwał od op Owena, ale usiadł na podsunętym krześle.

- Potem nauczymy ją panować nad Talentem.

- Talentem?! - wybuchnął Vaden. - Talentem?! To cholerne przekleństwo. Po zeszłej nocy boi się wyściubiać nosa z domu. Już nigdy nie wystąpi na scenie. Nigdy nawet... - Zaciśnął zęby, żeby nie powiedzieć tego, co cisnęło mu się na usta, choć „słyszalna” dla Daffyda myśl sprawiła, że op Owenowi zrobiło się jeszcze bardziej żal zagubionej pary.

- Każdy Talent to miecz o dwóch ostrzach, Vaden - stwierdził op Owen, kołysząc się delikatnie na fotelu.

- Jakiego rodzaju cudakiem jest Amalda?

- W żadnym wypadku nie jest cudakiem - odpowiedział mu Daffyd dość ostrym tonem. - Jest nadającą teleempatką.

- A ja jestem jej wzmacniaczem?

- Sądzę, że to niezłe porównanie.

- Niech pan posłucha, op Owen, sporo się naczytałem o tych pańskich Utalentowanych i nigdzie nie trafiłem na nic podobnego do tego, co umie Amalda.

- To całkiem prawdopodobne. Dopiero zaczynamy zajmować się możliwymi mutacjami Talentu. Mamy tu tylko jednego prawdziwego teleempata. Niestety, jest mniej roztropny niż królik i potrafi jedynie odbierać. Amalda najwyraźniej jest w stanie transmitować to, co sama chce. Przypuszczam, że to się zaczęło dopiero, kiedy się poznaliście?

Ich pierwsze spotkanie pozostawiło niezatarte wrażenie w pamięci Vadena: coś jakby niejasne przekonanie, że są „dla siebie stworzeni”. Pierwsza noc była rewelacją dla zblazowanego, znużonego seksem Reda, każdy następny dzień wzmacniał ich wzajemną zależność od siebie.

- Była kompletnie zagubiona - powiedział bez emocji w głosie.

Nie opisywał żywych uczuć, które nierozzerwalnie łączyły się w jego umyśle z relacjonowanymi faktami.

- Dzięki Bogu, że trafiła akurat na mnie.

Poza warstwą wspomnień Daffyd wyczuwał, że Vaden nigdy przedtem nie pozwolił sobie na luksus kochania kogokolwiek, bojąc się, że może zostać zraniony i wykorzystany. W jego zawodzie, gdy był obleżony przez dziewczyny za wszelką cenę dążące do kariery, wierzące, że licencja aktorki to wszystko, czego im trzeba na drodze do sławy, uodpornił się na fizyczne wdzięki i miłosne podchody. Jednak przy Amaldzie pękły wszystkie jego bariery ochronne. Nerwowo przeczesywał swe sztywne, rude włosy.

- Wszędzie chodziliśmy razem. - Stale się bał, że mogłaby go opuścić lub ktoś mógłby mu ją zabrać. - Nawet na próby. Kiedyś dziewczyna, która miała grać Charmian, spóźniła się, więc poprosiłem Amalę, żeby ją zastąpiła do czasu, aż się zjawi. Nigdy w życiu nie słyszałem lepszego pierwszego czytania. Pozbyła się nawet swego południowego akcentu i przeistoczyła w autentyczną zdiurę. Nienawidziliśmy jej, jakby była prawdziwa. To była niesamowita gra! Pierwszy taki przypadek w mojej karierze. Mógłbym się czegoś takiego spodziewać po ludziach klasy Mathesa czy Crusady, ale u nowicjuszek? - Vaden spojrzał na nieprzytomną dziewczynę i wykonał gest pełen zdumienia. - Była taka szczęśliwa, że się jej udało. Przedtem parę razy próbowała sił w śpiewaniu. - Vaden chrząknął z irytacją. - Kiedy pierwszy raz dla mnie zaśpiewała, nie mogłem pojąć, że odmówiono jej licencji. - Znów popatrzył na Daffyda. - To się po prostu nie trzymało kupy.

- Podejrzewam, że to ty byłeś wówczas brakującym ogniwem.

- Współczesny Svengali? - W głosie Vadena brzmiała gorzycz.

- Niezupełnie. Mózg generuje prądy elektryczne. Odbiorca musi być w jakiś sposób nastrojony na pewne długości fal, żeby móc je odbierać. Umysły muszą pracować na tej samej częstotliwości. Twój i

Amaldy tak właśnie działają. Byliście kiedyś testowani pod kątem zdolności parapsychicznych?

- Nic o tym nie wiem.

- No cóż, później zajmiemy się techniczną stroną tego zjawiska. Jest jedno pytanie, które muszę zadać już teraz.

Vaden bezsprzecznie miał Talent. To, czy rozwinął się on pod wpływem kontaktu z Amaldą czy nie, było bez znaczenia. Vaden natychmiast pojął intencje Daffyda i zeszywniał. Op Owen mówił dalej, uważając, że lepiej będzie, gdy Vaden na razie się nie zorientuje, iż rozmawia z silnym telepatą.

- Załóżmy, że służysz rzeczywiście jako wzmacniacz nastroju wytwarzanego przez Amaldę. Co się więc stało wczoraj w fabryce? Co ją tak przeraziło, że uciekła z koncertu, który tak wspaniale się zaczął? Owinęła sobie widownię wokół palca.

Wyraz zbliżony do lęku pojawił się na moment na twarzy Vadena.

- Był pan na sali? - spytał, żeby zyskać na czasie.

- Tak. Sally Iselin słyszała Amaldę dwa dni wcześniej i chciała, żebym potwierdził jej przypuszczenie, iż Amalda ma zdolności empatyczne. Co wygoniło tę dziewczynę z estrady? Dlaczego się ukrywacie?

Umysł Vadena nie zawierał niczego, co mogłoby mu pomóc oprócz powtórzenia uczuć, które razem z Sally odbierali wówczas od Amaldy. Doszła jedynie nuta rozpacz.

- Właśnie dlatego musi pan nam pomóc, op Owen. Niech pan wyłączy Amaldę!

Vaden nie panował już nad strachem. Nie wyglądał na kogoś, kogo łatwo wystraszyć. Był twardy, potrafił zadbać o siebie, miał bary jak niedźwiedź. Blizny na kłykciach i twarzy świadczyły, że nieraz zdarzało mu się demonstrować siłę.

- Na szczęście nikt nie jest w stanie jej wyłączyć. Zresztą, moim zdaniem, nie ma takiej potrzeby.

- Niech pan wreszcie zrozumie! - krzyknął Vaden, pochylając się gwałtownie w stronę op Owena. Jego oczy gorzały gniewem i lękiem. Było w nim też poczucie bezradności o wiele bardziej przerażające i upokarzające dla mężczyzny jego pokroju. - Niech pan zrozumie, że to do tego stopnia niszczy Amaldę, iż woli popełnić samobójstwo, niż z tym żyć!

- Jeszcze mi nie powiedziałaś, co ją tak przestraszyło i co, jeśli mogę być szczery, gryzie was oboje?

Vaden opanował lęk i złość.

- Na widowni był jeszcze ktoś - wyjaśnił ochryplym, lecz już spokojnym głosem. - Ktoś, kto się z nami połączył. Ktoś, kto próbował dominować, kto był zdecydowany przejąć kontrolę nad umiejętnościami Amaldy. Oczywiście ona pierwsza się zorientowała, a potem dotarło to do mnie.

Instynktownie op Owen wyczuwał, że tą trzecią osobą był Roznine. Wynikające z tego możliwe konsekwencje były wysoce niepokojące. Zdołał się uśmiechnąć krzepiąco do Vadena. Kołysał się na fotelu, udając, że niczym się zbytnio nie przejmuje. Stracił Solange Boshe, ale nie wolno mu stracić Amaldy, Vadena i Roznine'a.

- To bardzo interesujące - powiedział. - Czy Amalda wie, kto to był? Zna go?

- Skąd? - zdumiał się Vaden. Czynił ogromne wysiłki, żeby nie zdradzić swych wewnętrznych rozterek. Nie potrafił znieść samej myśli o tym, że mógłby z kimś dzielić Amaldę. - W chwili kiedy się połapała, co się dzieje, jak silny jest ten facet i czego od niej chciał, udała, że robi krótką przerwę. Kazała mi iść za sobą. Teraz już nigdy nie zaśpiewa. Nie ma pan pojęcia, co to znaczy.

- Wiem to chyba lepiej niż inni - odparł Daffyd z bladym uśmiechem.

Vaden niecierpliwie machnął ręką.

- Musi pan zrozumieć, że Amaldę trzeba wyłączyć.

W jego głosie rozbrzmiewała groźba, a emocje osiągnęły niebezpieczne natężenie. Daffyd nieznacznie zbliżył dłoń do pistoletu.

- Ani się waż! - Vaden skoczył błyskawicznie i chwycił go za przegub dłoni. - Myślałem, że choć ty będziesz umiał to pojąć, op Owen. Kimkolwiek jest tamten facet, stanowi podwójne zagrożenie!

- Będziecie korzystać z pełnej ochrony tego Centrum i każdego innego Centrum na świecie, Vaden - powiedział Daffyd z naciskiem, ale bez podnoszenia głosu. - Zapewniam cię, że to bardzo ważne. Nie możesz pojąć, Vaden, iż głównym problemem Amaldy jest po prostu brak pełnej kontroli nad jej zdumiewającymi zdolnościami.

- To ty nic nie rozumiesz. - Vaden był zdesperowany do ostateczności. - Ona jest zdolna sterować masami ludzi. Weźmy tych biedaków z fabryki, mogła im wszystko wmówić, wszystko nakazać.

Właśnie to ją tak przeraża. Mnie zresztą też. A tamten spaczony umysł... on chciał ją wykorzystać do zdobycia kontroli nad niebezpiecznym motłochem. Boże, człowieku, ja już widziałem rozruchy. Znam je. Wiem, co się wtedy dzieje. Amalda byłaby w stanie je wywołać. Już samą ucieczką spowodowała wybuch. Mogłaby rzucić na ulice cały Jerhattan!

- W jaki sposób? - spytał po prostu op Owen.

- Wystarczy, że zrobiłaby to, czego żądał od niej tamten ktoś w klubie.

- A jednak - Daffyd mówił równie gorączkowo jak Vaden - nie uczyniła tego! Nie mogła! I nic na tym świecie, żaden pomylenieć chory na megalomanię, nie zdoła jej do tego zmusić. A kiedy już nauczy się w pełni panować nad swym skrzydlatym koniem, oboje przekonacie się, że to nie taki zły Talent.

- Nie wierzę!

- Ile lat ma Amalda?

- Co? Jakie to ma znaczenie?

- Ile lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Dwadzieścia dwa. Myślałem, że jest młodsza. Ale to i tak jeszcze wrażliwy wiek. - Daffyd byłby szczęśliwy, posiadając teraz choć część empatycznej siły Amaldy. Zaczynał jednak docierać do Vadena siłą logicznego rozumowania. - I związała się z tobą uczuciowo, Vaden. Z dość zagmatwanego życia trafiła prosto na scenę, stała się kimś ważnym. Nawet bardzo dojrzałe jednostki tracą głowę w podobnej sytuacji. Potem zostaje rzucona w miejsce przeładowane emocjami, do fabryki. Chociaż sam byłem jedynie widzem, przeżyłem szok, a przecież potrafię panować nad swoimi reakcjami. Boi się i ucieka! Nie mogę jej za to winić. Podsumujmy: przez dłuższy czas Amalda działała na wysokich obrotach. Nadal potrafimy jedynie częściowo panować nad daną nam mocą, Vaden. Ten aparat nadawczo-odbiorczy, jakim jest Amalda, zaczyna się przegrzewać.

Nie, nie możemy jej wyłączyć. Zresztą wcale tego nie chcemy. Możemy jednak skierować jej Talent na właściwe tory, możemy ją nauczyć, jak nad nim zapanować, żeby już nigdy nią nie zawładnął, tak jak to się teraz dzieje. Możemy też ci pokazać, jak pomóc jej z niego korzystać. O tak, to właśnie ty jesteś w stanie zablokować jej obwody zgodnie z twoją wolą. Będzie potrzebowała twojej siły i

agresywności. Między nami mówiąc, sama Amalda nie jest taka ważna, jak wy razem. Dlatego uznam was za zespół, bo tym przecież jesteście.

- A więc możesz nam pomóc? - spytał Vaden.

Jeszcze nie całkiem dowierzał op Owenowi, ale aura wojowniczej desperacji zaczęła powoli zanikać.

- Oczywiście.

- Nie. - Vaden pokiwał głową ze złością, jakby sądził, że Daffyd dokładnie wie, o co mu chodzi.

- Emocje są takim samym narzędziem, jak pióro czy młot pneumatyczny.

Vaden popatrzył na niego i roześmiał się niespodzianie.

- Amalda macha młotem?

Op Owen wydał wewnętrzny okrzyk radości. Dzięki Bogu, facet miał poczucie humoru.

- Właśnie. Amalda posiada finezję tyranozaura. Gdybyś to ty, zamiast dość wpływowej dziewczyny, był centralną postacią w tym wszystkim, myślę, że działałbyś z większą ostrożnością.

- Nie sądzę, by Amalda ci uwierzyła, op Owen - powiedział Vaden, ze smutkiem spoglądając na nieprzystomną dziewczynę.

- Chyba nie będzie miała wyboru - odpowiedział Daffyd surowo.

Vaden skrzywił się, zmrużył oczy, lecz op Owen odwzajemnił spojrzenie, wzmacniając je psychicznie.

- Sądząc po jej wyglądzie, jest już wykończona, co się zresztą często zdarza u osób dłużej działających na podwyższonych obrotach. Nafaszerujemy ją środkami uspokajającymi, żeby jej ciało i umysł mogły nieco odpocząć. Będziemy utrzymywać ją w takim stanie, aż zacznie sobie uświadamiać, że nie może kontrolować wszystkiego, co się wokół niej dzieje twardą dłonią tyrana, a tego chyba boi się najbardziej. To normalne.

- I co dalej? - Pytanie było już rzeczowe, nie podbarwione buntem.

- Ty będziesz się uczył, w jaki sposób można jej pomóc. Dotąd byłeś bierny. - Daffyd uśmiechnął się i pochylił bliżej Vadena. - Można powiedzieć, że oboje zawarliście długoterminowy kontrakt. Nie mogliście się od tego wymigać.

Drzwi rozwarły się z trzaskiem; weszli przez nie Jerry Frames, lekarz Centrum, i Sally Iselin, która z hukiem wróciła do gabinetu. Uśmiechnięty Daffyd zrobił im przejście do Amaldy.

- Dlaczego to tak długo trwało? - spytał Sally.

- A kim ja jestem, co? Jakaś zwariowaną Utalentowaną piosenkarką?

- Teraz jest już w stanie całkowicie się zasłonić, Daffyd - powiedziała Sally z uzasadnioną dumą.

Oboje przyglądali się przez weneckie lustro, jak Amalda karmi Harolda Orleya. Bezrozumny empata jadł porządnie, z apetytem, a na jego dziecinnej twarzy od czasu do czasu pojawiał się pełen zadowolenia uśmiech.

- W najśmielszych snach nie przypuszczałem, że kiedyś wykorzystamy Harolda w roli instruktora - stwierdził op Owen.

Sally wyszczerzyła zęby, a w jej oczach pojawiły się błyski.

- Przecież Harold to dobry, wypróbowany członek Centrum.

Daffyd przelotnie pomyślał o Solange Boshe.

- Nie rób tego, Dave! - Słowa Sally zostały wzmocnione rozkazem mentalnym, za którym Daffyd wyczuł sympatię, współczucie i, co dziwne, niepokój.

- Ona już nic nie dostaje? - spytał, wdzięczny Sally za obecność tutaj.

- Jasne. Wiesz przecież, że musi się koncentrować na Haroldzie.

- Więc pozwólmy im wreszcie wyjść na zewnątrz.

- Na twoim miejscu zrobiłabym to. Rudy miś już zaczyna wariować.

- Rudy miś?

Sally zmarszczyła nos.

- Tak sobie nazwałam Vadena.

- Więc Amalda to Złotowłosa?

- Ależ skąd! To Kopciuszek. Nie pamiętasz?

- Kopciuszek i miś?

- Kopciuszek, miś i zły wilk.

Daffyd skrzywił się.

- Myślałem, że jestem lepszym terapeutą.

- To niewielkie zmartwienie. Ona nie zacznie być absolutnie pewna siebie, dopóki nie zmierzy się z wilkiem i nie pokona go. Potem wszyscy będziemy mogli żyć długo i szczęśliwie.

W dźwięcznym głosie Sally pobrzmiwała nutka goryczy. Daffyd spojrział na nią uważniej. Czuł pokusę zagładnięcia głębiej w jej

umysł; byłoby to jednak sprzeczne z jego etyką. Zwłaszcza że Sally od razu wyczułaby jego wtargnięcie. Poprzestał zatem na przyglądaniu się Amaldzie przez chwilę - i opuścił klinikę.

W ciągu miesiąca spędzonego w Centrum wychudzona dziewczyna o niemal dziecięcej sylwetce przekształciła się w nadal szczupłą, lecz dobrze zbudowaną, opanowaną młodą kobietę. Jej lęki ustępowały pod wpływem zręcznej terapii Daffyda i dzięki jej własnej dyscyplinie uczuciowej oraz zdolności do opanowania przechodzących przez nią strumieni energii.

Pierwsze sesje z udziałem Harolda Orleya przeprowadzono, kiedy Amalda wciąż była pod wpływem środków uspokajających. Z początku czuła odrazę do upośledzenia Harolda. Nie było jednak lepszego lustra dla jej własnych reakcji. Współczucie dla skretyniałego empaty zostało szybko stłumione, ponieważ Harold wybuchał nieopanowanym płaczem. Buntowała się trochę, kiedy zmuszano ją do współpracy z nim, lecz nie mogła zaprzeczyć, że przez to, iż natychmiast reagował na jej uczucia, sama musiała nauczyć się je kontrolować. Kiedy opanuje tę sztukę w jego obecności, będzie również w stanie dokonać tego w miejscach publicznych.

Zdarzały się dni, że kategorycznie domagała się, nawet będąc pod wpływem leków, żeby poddano ją lobotomii, która, jak wówczas sądziła, mogłaby stłumić jej niepotrzebny Talent. Później poznała Harolda i wreszcie do niej dotarło, że część mózgu odpowiedzialna za Talent nie zostanie naruszona przez taki zabieg. Drugim krokiem w rehabilitacji Amaldy było jej spotkanie z najmłodszą Utalentowaną Centrum, dwuletnią Doroteą Horvath. Amalda nie potrzebowała wiele czasu, by zrozumieć znaczenie otrzymanych lekcji.

Mała bawiła się w najlepsze drewnianymi klockami. Kiedy starannie wznoszona wieża zawalała się, dziewczynka wybuchała gniewem, który, nieświadomie, lecz stanowczo, był natychmiast hamowany przez jej matkę. Myśli małej telepatki były tak głośne i wyraźne, że Amalda nie mogła nie dojrzeć analogii.

- Tak więc odkryłam wspaniałą, nową zabawkę w swoim mózgu, ale ona nie chce, żebym się nią bawiła, czy tak?

- Musisz się nauczyć posługiwać tą zabawką tak jak Dorotea - powiedział Daffyd.

- Żeby nie zrobiła „bum”?

- Przy twoim udziale - dodała Sally. - Jak tamtego wieczoru w fabryce.

Mimo leków wyraźnie zbladła i zadrżała.

- On mnie już nie znajdzie, prawda?

- Na pewno nie tu, przy naszych osłonach, moja droga - zapewnił ją Daffyd.

Kiedy Amalda nauczyła się opanowywać emocje, włączono Vadena do jej ćwiczeń. Dopiero w trakcie tych sesji w pełni zrozumiano zjawisko pogłosu zaobserwowane w fabryce. Amalda potrafiła razem z Redem zdominować atmosferę emocjonalną każdej dużej sali, mogła wysyłać dowolne uczucia nawet do wyszkolonych umysłów. Jednak nie robiła tego z siłą, jaką Sally i Daffyd odczuli w klubie.

- Rzeczywista siła zespołu jest dość ograniczona - powiedział smętnie Daffyd.

- Ograniczona? - zdziwiła się Sally.

- Tak. Jeżeli Amalda nie czuje złych emocji skierowanych na nią, może wysyłać jedynie dobre. Miałem nadzieję, że wraz z Vadenem będzie mogła przeciwdziałać...

- Zagrożeniu rozruchami?

- Tak - Daffyd pochylił się ku Sally. - To by uspokoiło Franka Gillingsa i zmasało ciężące nad nią oskarżenie o sprowokowanie zamieszek. Pomyśl tylko, jak ważne by to było dla techniki opanowywania rozruchów: dwoje ludzi zamiast dwudziestu. Gdyby zareagowali we właściwym czasie, byłiby lepsi od gazu.

- A więc to chodziło ci po głowie.

- Właśnie to. Myślę, że powinniśmy pozwolić im działać na zgromadzeniach, które najczęściej kończą się burdami: na konwencjach różnego rodzaju, targach, wystawach przemysłowych.

- A co z wilkiem?

- No tak, tylko chciałbym wreszcie, żeby wyszedł z lasu.

- A Amalda? - Sally czuła ogarniającą ją wściekłość.

- Na kogo stawiasz? Na wilka czy na misia?

Daffyd op Owen wcale nie był tak obojętny na bezpieczeństwo Amaldy, jak sądziła Sally. Rozesłał okólnik do wszystkich Utalentowanych dotyczący Amaldy i Bruce'a Vadena oraz wszelkich niezwykłych posunięć Roznina'a. Ted Lewis, główny Utalentowany w

policii, pierwszy coś znalazł. Pewien dobrze znany i szanowany agent teatralny, który zupełnie przypadkowo był polskiego pochodzenia, poszukiwał w centralnym rejestrze niejakiego Bruce'a „Reda” Vadena, który pozostawał podobno bez pracy, lecz nie odpowiadał na propozycje zatrudnienia.

- To może być podstęp - powiedział Daffydowi Ted. - Facet rzeczywiście tworzy jakieś varietes dla sieci Borschta, ale do takiej rzeczy nie potrzebuje szefa sceny klasy Vadena.

- A co z piosenkarką folk?

Ted Lewis potrząsnął głową.

- Do tego czasu Roznine mógł się już zorientować, że Amalda jest ukochaną Vadena. Zresztą wszyscy wiedzą, że Gillings poszukuje pieśniarki, która rozpoczęła, rozróbę w fabryce. Roznine na pewno nie jest głupi. Nie można mu też odmówić sprytu.

Daffyd był nawet zadowolony, że Gillings nie zrezygnował z oskarżenia Amaldy. Dopóki dziewczyna odzyskiwała siły i uczyła się panować nad swym Talentem, oskarżenie w pewnym sensie zapewniało jej ochronę.

Nadal było niejasne, co tak naprawdę zamierzał zrobić Roznine, gdyby udało mu się zawładnąć Amaldą. Opinia publiczna była dość szeroko informowana o możliwościach Utalentowanych, jednak nigdy nie mówiono o bardziej niezwykłych przejawach sił psychicznych. Na pewno nigdzie nie wspomiano o takim Talencie, jaki posiadała Amalda. Przyczyna była prosta: dopóki nie spotkała Bruce'a Vadena, nikt nie wiedział, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Stąd pytanie: co Roznine'owi podsuwała jego bujna wyobraźnia? Czy wiedział, że sam jest obdarzony Talentem? Czy mając już pełną władzę nad swoją grupą etniczną, planował opanowanie całego miasta?

- Vsevolod Roznine nie jest niczyją marionetką, szefie - mówił dalej Ted Lewis, potęgując jeszcze niepokój Daffyda. - Dzięki niemu najlepsze posady i stanowiska dostają Słowianie. Oczywiście, wszystko jak najbardziej legalnie. Trochę to naciągane z punktu widzenia innych grup etnicznych, ale legalne. Zaczyna szybko wychodzić ze swej grupy. Dostaje wsparcie, na jakie żaden Słowianin nie mógł przed nim liczyć. Jak i dlaczego tak się dzieje, nikt nie wie. Być może stosuje popularne odmiany szantażu, albo też posiada prawdziwy Talent. Gillings się przekreśli, kiedy się dowie, że będzie musiał stawić czoło Utalentowanemu przywódcy narodowościowemu.

- Są gorsze rzeczy - odrzekł Daffyd, choć wiedział, że Ted się z tym nie zgodzi. - Czy policyjni jasnowidze są ustawieni na Roznine'a i Amalę?

Ted spojrział na przełożonego z niechęcią.

- Od dawna śpią na ich fotografiach.

- No i?

- Szefie, przecież pan doskonale wie, że nie można wymusić żadnej wizji.

- Nic? Najmniejszych incydentów?

- Prawie. Tylko niejasny niepokój. - Widać było, że często odpowiadał na to pytanie i że odpowiedź satysfakcjonowała go bardziej niż Daffyda.

- Pilnuj Roznine'a i nie pozwól, aby Gillings się domyślił, że podejrzewamy go o posiadanie Talentu. Zamierzam wykorzystać Amalę i Reda jako zespół. Prędzej czy później Roznine znów na nią wpadnie.

- Chce pan tego?

- Bardzo.

Kiedy Daffyd wychodził od Teda Lewisa, miał w pamięci obraz nieprzytomnie oszalałej Solange Boshe na moment przedtem, nim teleportowała się przez stalowe drzwi parkingu.

Gillings był zachwycony pomysłem wykorzystania duetu Amalda i Red Vaden do zapobiegania zamieszkom. Nawet zaproponował, że zdjęcie wiszące nad nią oskarżenie, lecz Daffyd wolał, by się jeszcze z tym wstrzymał. Nowemu zespołowi natychmiast przydzielono szereg zjazdów, spotkań, konferencji i konwencji. Głównym zadaniem podobnych zgromadzeń było dostarczenie rozrywki społeczeństwu cierpiącemu na nadmiar wolnego czasu, ale pod wpływem odpowiedniego bodźca każde z nich mogło przekształcić się w regularne rozruchy. W każdej sali, gdzie odbywały się takie imprezy (łącznie z kościołami), musiały być zainstalowane systemy alarmowe reagujące na wzrost hałasu, jednak sprytni agitatorzy umieli tak je unieruchamiać, że gaz uspokajający nie uwalniał się nawet, jeżeli natężenie hałasu odpowiadało poziomowi zamieszek. Profesjonalni wichrzyciele nauczyli się także ściszać głos, żeby nie przekraczać poziomu alarmowego, starannie prowadząc swe ofiary do spontanicznego wybuchu, którego później nie mógł już opanować ani

gaz, ani strumienie wody. W takiej sytuacji żaden jasnowidz nie był w stanie wysłać ostrzeżenia na czas.

Ku ogólnemu zaskoczeniu Amalda, kiedy nauczyła się już panować nad swymi uczuciami, potrafiła zrozumieć Harolda lepiej niż Sally. Wobec tego Daffyd zdecydował, że Harold może współpracować z zespołem jako miernik ogólnej atmosfery w tłumie, a w niebezpiecznych sytuacjach jako ochrona dziewczyny. (Nawet nieszczęścia mogą nas czegoś nauczyć, pomyślał Daffyd.) Ich pracę zorganizowano w ten sposób, że Amalda z Haroldem siedzieli w centrum widowni lub krążyli w tłumie, natomiast Vaden czekał gdzieś z boku, gotów do „nadawania”. Mieli również wytwarzać aurę, jakiej zażyczy sobie policja lub sponsorzy imprezy, oczywiście jeżeli nie była to akcja promocyjna. W takich sytuacjach korzystanie z podświadomych bodźców było zarówno nielegalne, jak i sprzeczne z kodeksem etycznym Utalentowanych.

Efekty uboczne działalności zespołu bywały często zaskakujące. Wystawa motorówek odznaczała się najniższą w swej historii liczbą przypadków kradzieży; na wystawie sprzętu domowego nie tylko nie odnotowano ani jednego zgubionego dziecka, ale i nigdy nie widziano tyłu grzecznych maluchów cierpliwie podziwiających eksponaty. Dwie konwencje, słynące z pijaństwa swych członków, obniżyły na przyszły rok stawkę kaucji, pobieranej na poczet ewentualnych zniszczeń, dzięki wesołemu, lecz niegroźnemu dla sprzętów zachowaniu uczestników.

Amalda zaczynała być na tyle pewna siebie, że, jak zauważyła Sally, nawet Bruce Vaden od czasu do czasu się uśmiechał.

Miałam zupełną rację co do dzisiejszego menu, myślała Amalda, kiedy kelnerzy roznosili sztuczne kurczaki, brejowate ziemniaki z proszku i zimną fasolkę. Tak wspaniale jest zawsze na konkursie „Życie jest piękne”, dodawała i natychmiast zaczynała przekazywać intensywne wrażenia smakowe. Harold, uśmiechnięty jak dziecko, z apetytem atakował swoją porcję.

Dziewczyna obserwowała współbiedniaków, zwykle nieco nadętych, jak przystało na uczestników ważnych wydarzeń, i sama czuła się ważna. Czy wszyscy ci ludzie zawsze przybierają takie same maski na konwencjach? A może przyszli tu ci sami co w zeszłym tygodniu na zgromadzenie Związku Producentów Plastikowych Pojemników i na zebranie Stowarzyszenia Impregnatorów

Tekstyliów? Wszyscy reagowali na jej sygnały niemal tak szybko, jak Harold i pomrukując z zadowolenia, zjadali tekturowe pożywienie. Amalda westchnęła głęboko. Szkoda, że Bruce i ona nie mogli otrzymywać prowizji od dostawców żywności za nie objęte kontraktem ulepszenie ich wyrobów.

Chyba zaczynam się powtarzać, ale ci Utalentowani robią naprawdę wspaniałe rzeczy, myślała.

Była bardzo zadowolona ze swej nowej pracy. Bawiły ją drobne dodatki do podstawowych zadań, które traktowała jak świetny żart. Cieszyła się, kiedy mogła w jednej chwili uciszyć płacz wszystkich dzieci na wystawie motorówek. Przypominało jej to trochę dom rodzinny, kiedy jej bracia i siostry przestawali beczeć, zaraz gdy mama wchodziła do pokoju. Natomiast sprawianie, że jedzenie wydawało się smaczne, było obroną jej własnego, zaniedbanego układu pokarmowego. Według specyfikacji, żywność zawierała wszelkie niezbędne środki odżywcze, witaminy i było lekkostrawne. Ale spodobało się jej „smakowanie” potraw. Dzięki temu wszystkiemu lunche na konwencjach stały się znośniejsze. Cóż za sposób zarabiania na życie!

Z coraz mniejszą rezerwą Amalda przyznawała, że podoba jej się posiadanie Talentu. Gdyby jeszcze... wołała o tym nie myśleć. To mogłoby popsuć jej apetyt. W końcu dowiedziała się, jak korzystać ze swego pokręconego mózgu i mogła zmusić kupę ludzi, żeby czuli to, co ona im każe. Bruce zawsze był blisko. Uśmiechnęła się. Ciepło jego nieskończonej miłości kołło każde ukłucie bólu. Czasami, kiedy się kochali, miała ochotę objąć cały świat, lecz wysyłanie takich sygnałów nie byłoby moralne. To, co wtedy czuła, było prywatną sprawą między nią i Bruce'em. Wtedy w klubie tamten facet myślał o niej takie rzeczy. Bała się nawet o tym wspomnieć.

Harold zaczął się wiercić. Przerwała rozmyślenia.

Uderzenie przyszło chwilę później. Było tak ostre, że przez moment nie mogła złapać tchu; tak mocne, że niemal fizyczne, choć trafiło jedynie do jej umysłu. Pamiętała podobny cios. ON tu był!

Harold pisnął boleśnie, odczuwając to samo co ona. Pospiesznie stłumiła szok. Natychmiast usunęła GO ze swych myśli. Drżała z obrzydzenia wywołanego tym mentalnym dotykem.

Przewyciężyła w końcu i to uczucie oraz uśmiechnęła się uprzejmie do sąsiadów przy stoliku. Uspokoila Harolda i poklepała go

po ramieniu. Wyszczerył zęby i wrócił do równowagi. Udało się. Musi zachować to w tajemnicy.

Rozglądała się po sali, szukając Bruce'a. Siedział przy stole numer cztery, blisko dygnitarzy. Podniósł na nią oczy i skinął głową. Potem musiał odpowiedzieć coś wdzięczającej się do niego sąsiadce.

Czasami, pomyślała, Red ma trudniejszą rolę ode mnie.

Część jej umysłu chciała GO odszukać, lecz najgorętszym pragnieniem było, aby już nigdy do niej nie dotarł. Uważnie zlustrowała salę, pewna, że zdoła go rozpoznać. Wystarczająco długo wpatrywała się w jego zdjęcia, by umieć go fizycznie odnaleźć w każdym otoczeniu. Kelnerzy nieustannie wchodzili i wychodzili z kuchni. Nie był jednym z nich. Nie mógł też przebywać wśród uczestników konwencji, gdyż dawno już by go wyłowiła. Szerzej otworzyła umysł, tworząc z niego, zgodnie z pouczeniami Daffyda, rodzaj soczewki. Robiła to dość niechętnie: zbyt wiele ludzkiej ohydy dostawało się do środka. Dziwiła się, jak Daffyd, który był pełnym telepatą, wytrzymywał „słyszac” ludzkie myśli, a nie jedynie emocje, jak ona. Zastanawiała się także, do jakiego stopnia przygotował jej umysł, żeby mogła uznać wreszcie swój Talent. Wiedziała, że musiał to uczynić - sam jej o tym powiedział. Nie miała mu tego za złe. Był dla niej taki dobry. Gdyby tylko...

Nie, powiedziała sobie stanowczo, nie wolno mi tak myśleć. Sally jest w nim szaleńczo zakochana, skrzywiła się lekko. Jak na Talent odbiorczy Dave potrafi być wyjątkowo gruboskórny. Na miłość boską, przecież wcale nie trzeba być telepatą, żeby zauważyć, jak bardzo Sally go kocha. Może Daffyd wiedział o tym, ale nie umiał odwzajemnić jej uczucia? Czy ktoś nie powinien nad nim popracować? Hmm. Może sama się do tego wezmę? Nie, pokręciła głową, to byłoby nieetycznym mieszaniem się w cudze sprawy.

Westchnęła. Posiadanie Talentu zmuszało człowieka do przestrzegania pewnych zasad i reguł, których w żadnym wypadku nie wolno złamać. Wszelkie naruszenia kodeksu zostają natychmiast wykryte przez innych. Mniejsza nawet o uzdę dla skrzydlatego konia, o której Daffyd tak często mówi, ale przestrzeganie tych zasad naprawdę chroniło przed upadkiem moralnym, o który przecież nietrudno.

Kelner nachylił się nad nią. Amalda przysunęła się do Harolda, aby ułatwić zabranie pustego talerza. Lecz zamiast to uczynić, kelner wymamrotał jej do ucha coś niezrozumiałego.

- Przepraszam, nie usłyszałam pana.

Spojrzał na nią i znów coś niewyraźnie powiedział. W jego głosie wyczuła naleganie. Czy chce, żeby coś zrobiła?

- Naprawdę przepraszam, ale czy mógłby pan powtórzyć?

Kelner wyglądał na zagniewanego. Poprosił o pomoc kolegę obsługującego sąsiedni stół.

- Zadaję jej proste pytanie, a ona ciągle mnie przeprasza - stwierdził.

Był wyraźnie zły. Naleganie stało się jeszcze intensywniejsze.

- Tu jest zbyt głośno - usprawiedliwiała się.

Drugi kelner, potężnie zbudowany mężczyzna o ponurej minie, niemal na nią krzyknął.

- O co chodzi, paniusiu? Ma pani jakieś zwidy? Czy wy zawsze musicie się nas czepiać? Niech pani po prostu zrobi to, o co on prosi, i będzie po sprawie.

- Na pewno nie chcę nikomu sprawiać kłopotów. - Amalda zaczęła wysyłać uspokajające impulsy.

Nagle jakiś trzeci mężczyzna wyrwał spod niej krzesło, a dwaj kelnerzy chwycili ją za ręce.

- Niech pani idzie z nami. Proszę iść z nami.

Bali się. Kierowali się uczuciami, które były dla nich nienaturalne i sztucznie wywołane. To ON nimi sterował!

Harold zerwał się na równe nogi. Biedny głupiec był tak samo dezorientowany jak ona. Poczuli, że Bruce zareagował, ale kelnerzy siłą odciągali ją od stołu. Jeżeli uda im się wywlec ją z sali... wejście do kuchni było tuż tuż. Starła się nie wpaść w panikę. Raptem spostrzegła Harolda, który uwolnił jej ramiona, a następnie spowodował, że napastnicy zderzyli się głowami.

Potem Bruce i dwóch organizatorów otoczyli walczących i zdołali usunąć nieprzytomnych kelnerów z sali bankietowej.

- Uspokój ich, Mally - szepnął Bruce, więc zaczęła emitować takie zadowolenie i spokój, że wszyscy siedzący przy jej stole przerwali jedzenie i uśmiechali się do siebie z rzadką życzliwością.

Zmodyfikowała fale i razem z Haroldem wrócili na swoje miejsca. Udało się jej na tyle opanować wewnętrzne drżenie, że nic nie

wydostało się na zewnątrz i nie wymazało idiotycznego uśmiechu z twarzy Orleya.

Jednak zanim lunch dobiegł końca, wysiłek dał znać o sobie i uwidocznił się w nerwowym zachowaniu Harolda. Była fizycznie wyczerpana. Co by się z nią stało, gdyby ON zdołał ją zaciągnąć na zaplecze i gdyby Harold nie zareagował? Albo gdyby Bruce nie zdążył z drugiego końca sali? Przypuśćmy, że ON...

Bruce znalazł się przy jej boku z determinacją w twarzy. Znała tę jego minę. Lecz teraz bała się opuścić to pozornie bezpieczne miejsce wśród ludzi. Czyżby ON naprawdę próbował ją uprowadzić ze środka zgromadzenia?

Agent policyjny w cywilnym ubraniu pochylił się nad nimi. Wstała z krzesła promiennie uśmiechnięta. Harold również podniósł swe potężne cielsko, lecz na jego twarzy malowała się dziecinna troska.

Niesmak wobec własnej słabości był na tyle silny, że pod Amaldą ugięły się kolana. Red natychmiast otoczył ją imieniem. Wtulila się w niego.

- Wyciągnijmy ją stąd - warknął i gestem kazał agentowi zająć się Haroldem.

- Tędy - powiedział policjant, wskazując kotarę na ścianie sali. Ukryte za nią drzwi prowadziły do małego saloniku. - Związek Zawodowy Kelnerów wszczął raban z powodu tych rozbitych czaszek. Mamy rozkaz wywieźć was stąd jak najprędzej. Co tu się, do diabła, stało?

- Nie jestem pewna - odparła Amalda słabym głosem. Czuła, że wyczerpanie brało górę nad silnym postanowieniem niepoddawania się mu. - Czy naprawdę możemy już wyjść? - Zerknęła przez ramię na uczestników bankietu powoli opuszczających salę.

- Do diabła z nimi - rzucił Bruce zapalczywie.

- Tak mi przykro. Przepraszam.

Amalda miała poczucie porażki. Pierwszy raz próbowała stawić MU czoło i rozsypała się. Zemdlala jak rozhisteryzowana panienska po tym wszystkim, co Daffyd i inni dla niej zrobili! Co za wstyd!

Dostanę cię! Następnym razem cię dostanę! Znienawidzony głos rozbrzmiewał w jej umyśle równie donośnie, jak krzyk Reda.

- Bruce...

Charlie Moorfield wpadł do gabinetu Daffyda, nie zwracając sobie głowy pukaniem.

- Zrobili to! - krzyknął, ledwie wyhamowując przed biurkiem.

Daffyd widział ożywione obrazy w jego myślach i choć wiedział, że zagrożenie już minęło, zerwał się na równe nogi.

- Kto zrobił co? - zapytał Sally. Nie była dość dobra, by „czytać” Charliego.

- Próbowali porwać Amaldę z lunchu na konwencji Morcam - wyjaśnił Daffyd.

- Tyle że Harold porozbijał im głowy.

Sally otworzyła usta ze zdumienia.

- Gillings powiedział, że ta próba i późniejsze aresztowania nastąpiły zbyt błyskawicznie, by ktokolwiek przy stole Amaldy i Harolda zauważył, iż coś się stało - ciągnął Charlie. - Związek Kelnerów podnosi wrzawę z powodu, cytuję, nieuzasadnionego aresztowania trzech związkowców. Żądają kosmicznych odszkodowań. - Nie mają szans - wtrącił Lester, który właśnie wszedł do pokoju wściekły jak osa. - To czysty przypadek immunitetu zawodowego.

- Jak to widzisz? - spytał Daffyd.

Lester westchnął, obrzucając szefa spojrzeniem przepełnionym pobłażliwą tolerancją.

- Amalda jest w naszym rejestrze, czyż nie? Była na tym bankiecie z powodów zawodowych, zatrudniona przez policję. Dlatego nikt, ale to nikt, nie miał prawa jej przeszkadzać. Ci kelnerzy to zrobili, usiłując wyprowadzić ją z sali. Złamali prawo. Ani Amalda, ani Harold nie uczynili niczego sprzecznego z prawem. Nawet jeżeli Orley był nieco nadgorliwy, Talent chroni go przed konsekwencjami.

- Chwileczkę, Les - włączył się Charlie. - To prawo stanowi jedynie, że Utalentowany nie może być pociągnięty do odpowiedzialności, jeżeli...

- A także - Lester pogroził mu chudym palcem - według senatora Joela Andresa i naszych orłów prawniczych głosi, że każdy obywatel przeszkadzający w działaniu zarejestrowanemu Utalentowanemu gwałci to prawo.

- Byłby to pierwszy przypadek odwołania się do ustawy - stwierdził Daffyd.

Lester uniósł oczy ku niebu.

- Więc co w tym złego? A może - spojrzał gniewnie na Sally, która tłumila śmiech - walczyłeś o ochronę tylko po to, żeby z niej nie korzystać?

Op Owen machnięciem ręki przeciął dalszą dyskusję. Lester nie zareagował.

- Sądziłem, że zdążyłeś już poznać cenę idealizmu. Wypociliśmy tę ustawę, nieomal straciliśmy przez nią Joela. Mamy tu czysty przypadek jej pogwałcenia i, do diabła, musisz się do niej odwołać. Oczywiście, o ile Gillings już tego nie zrobił.

Na biurku Daffyda rozbłysła czerwona lampka interkomu. Nacisnął przycisk.

- Komisarz Gillings, sir, w ważnej sprawie.

Daffyd wyraził zgodę na połączenie.

- Op Owen, mamy niezły szum ze strony Związku zawodowego Kelnerów na temat Amaldy, fałszywych aresztowań i podobnych bzdur - oświadczył Gillings bez zbędnych wstępów. - Jak dotąd utrzymujemy, że ich członkowie napastowali Amaldę i dostali słuszną odprawę. Dziewczyna jest wystarczająco wytracona z równowagi, aby powołać się na prawa kobiet. Z drugiej strony mamy uczciwych pracowników, dobrych związkowców z czystą kartoteką kryminalną, natomiast ona poluje na odszkodowanie. - Gillings westchnął z niesmakiem. - Sam wiesz, zwykłe gadki w takich przypadkach. Możemy to bez trudu wyczyścić, stosując ustawę o ochronie zawodowej, ale... - Tu komisarz pokiwał grubym palcem. - Wcale się nie palę, żeby ujawniać zespół. Bruce Vaden powiedział moim ludziom, że znów coś przestraszyło Amaldę, a wiem, że jedyną rzeczą, jaka mogłaby ją przerazić, jest to samo, co się zdarzyło w fabryce. Czy to się rzeczywiście powtórzyło?

- Jeszcze z nią nie rozmawiałem, Frank - odpowiedział op Owen. - Zakładam, że jedzie właśnie do nas z Vadenem. - Gillings przytaknął. - Wobec tego daj mi chwilkę czasu.

- Tylko się pospiesz. Związek robi niezwykły hałas.

Gdy twarz komisarza zniknęła z ekranu, Daffyd poprosił o połączenie z Tedem Lewisem.

- Ted, słyszałeś o próbie porwania Amaldy?

- Cała komenda tylko o tym mówi. Dlaczego po prostu nie powołasz się na ustawę o ochronie? Nie chcesz tego zrobić? - Ted był równie zdumiony jak Lester.

- Czy Roznine ma powiązania ze Związkiem Kelnerów?

- Pewnie, że ma. Teraz nie znajdziesz związku, gdzie by go nie było.

- Jest jakaś szansa na stwierdzenie, czy był dziś po południu w hotelu na konwencji Morcam?

Ted Lewis uniósł dłoń, włączył jakiś przycisk. Nie było słyhać ani jego pytań, ani odpowiedzi - drugi aparat był poza zasięgiem kamery. Na twarzy Lewisa pojawił się wyraz zakłopotania.

- Croner go pilnuje. Mówi, że Roznine jest na seansie trójwymiarowej telewizji w centrum miasta. Co takiego, Croner? Hej, szefie, Croner mówi, że Roznine ostatnio często tam przesiaduje.

- A więc wie, że go obserwujemy. Z takiej sali łatwo się wymknąć bocznymi drzwiami. Świetnie!

Było to wysoce niepokojące, mogło bowiem świadczyć o tym, że Roznine rozwija swój Talent. Gdy się go zbyt mocno przyciśnie... op Owen wzdrygnął się na samą myśl o tym.

- Chodźmy zobaczyć się z Amaldą.

- To był ON - powiedziała Daffydowi.

Była blada, wstrząśnięta i wyglądała jak przerażone dziecko, kiedy siedziała wtulona w Reda Vadena na kanapie w ich mieszkaniu.

- Na ile zdołał się do ciebie zbliżyć?

Potrząsnęła głową.

- Nie było go na sali. Dostrzegłabym go. Ale przebywał gdzieś na tyle blisko, że mnie rozpoznał, to znaczy mój umysł - zadrżała.

Może dlatego ją rozpoznał, że pozwoliła sobie o nim pomyśleć? Chciała spytać Daffyda, czy to możliwe, ale zabrakło jej odwagi. Już wystarczająco mocno go zawiodła.

- Czy ty zdawałeś sobie z czegoś sprawę? - Daffyd zwrócił się do Reda.

- Nie od razu. Później wyczułem zaskoczenie Amaldy. Popatrzyłem na nią i zobaczyłem, jak kelnerzy ją chwycili. Zanim jednak zdążyłem się do niej dostać, zadziałał Harold. - Na twarzy Vadena odmalował się czysty podziw. - Powinienem przeprosić tego faceta. Chyba zdołaliśmy tak to wszystko wyciszyć, że nikt z tłumu nawet się nie zorientował.

Czy po tej próbie jeszcze wyczuwałaś Roznine'a, Amaldo?

- Dopiero kiedy wychodziliśmy z sali. - Zamknęła oczy. - Powiedział: dopadnę cię. Następnym razem cię dopadnę.

Daffyd zerknął pytająco na Reda, który potrząsnął głową.

- Zdarzyło ci się wcześniej odbierać czyjeś słowa? - spytał bezgłośnie.

Spojrzała na niego zaskoczona i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tylko od ciebie - powiedziała na głos. Wyczuwała jego zatroskanie. - To źle, że go „usłyszałam”, prawda? - spytała.

Jej miękki, południowy akcent podkreślał ten żal.

- Niekoniecznie. Mamy jednak pewien problem - zaczął, starannie dobierając słowa. - Wiemy, że Roznine chciałby cię dopaść, Amalda, byś pomogła mu osiągnąć jakiś cel. Przypuszczam, że chce wykorzystać twoje możliwości do niezgodnego z prawem kontrolowania nastrojów społecznych. Musimy przyjąć, iż usilnie cię poszukiwał. Musimy też założyć, że wie, iż Bruce jest niezbędnym ogniwem, by korzystać w pełni z twojego Talentu. To właśnie może być twoim zabezpieczeniem. - Daffyd wzmocnił ostatnie zdanie, przekazując je również telepatycznie. - Tym razem Roznine znów nie był w stanie cię porwać, prawda? Następnym razem także przegra.

- Nie możesz być tego pewien, Daffyd - powiedziała bardzo cichym, przerażonym głosem.

- Wcale nie zamierzam tego sprawdzać - ciągnął, uśmiechając się, żeby dodać dziewczynie otuchy. - Ale bądź uprzejma pamiętać, że już dwa razy zdołałaś mu się wymknąć: raz dzięki ucieczce w samą porę, a dziś dzięki bezpośredniej akcji przeciw jego agentom.

Amalda powoli skinęła głową.

- Kiedy Roznine napala się, by cię złapać, my, to znaczy komisarz i ja, mamy równie wielką ochotę dopaść jego.

Bruce Vaden zeszywniał i spojrzał na Daffyda niemal z nienawiścią. Telepata spokojnie wytrzymał to spojrzenie, wiedząc, że Vaden rozumiał, do czego zmierza. Amalda chyba się jeszcze nie domyślała.

- Roznine jest z całą pewnością uświadomionym Talentem. Wiemy, że potrafi nawiązać kontakt mentalny z Amalda. Nie wiemy, co jeszcze potrafi. W obecnej sytuacji etnicznej miasta jego pozycja ma ogromne znaczenie: może uczynić wiele dobrego lub równie dużo złego. Chcemy, żeby przyszedł do Centrum, najlepiej z własnej woli, tak jak wy to zrobiliście. Sami najlepiej wiecie, co to znaczy żyć z nie

poddającym się kontroli Talentem. - Daffyd mówił to wszystko bardziej do Bruce'a Vadena niż do Amaldy, ale to właśnie dziewczyna mu odpowiadała.

- To straszne, bo jest się okropnie samotnym, a zarazem cudowne. - Uśmiechnęła się blado do Daffyda i choć trzymała wysoko podniesioną głowę, chcąc sprawiać wrażenie pewnej siebie, czuł jej lęk i niezdecydowanie.

- W tej chwili - mówił coraz szybciej - wykorzystując Związek Kelnerów, żeby cię usidlić, Roznine postawił nas w kłopotliwej sytuacji: możemy odwołać się do ustawy o ochronie i wybronić cię bez trudu, ale wówczas będziesz zmuszona pojawić się w sądzie. Wierz mi, na taką rozprawę przybędą wszyscy zainteresowani naszymi tajnymi agentami. Wasza przydatność jako zespołu znacznie się obniży.

- Czy Amalda musi stawić się przed sądem? - spytał nagle Red.

- No tak. Ach, rozumiem, o co ci chodzi. - Daffyd zdobył się na przekonujący uśmiech mimo tego, co zobaczył w umyśle Reda pod przykrywką konstruktywnej propozycji. - To niezły pomysł. Są dwa sposoby. Tak, chyba moglibyśmy ją ucharakteryzować, albo też podstawić kogoś na jej miejsce, W drugim wypadku Amalda musiałaby i tak być fizycznie obecna na sali, bo na pewno będzie tam Roznine i od razu zauważy jej brak. Zresztą, gdyby zażądano identyfikacji EEG, mielibyśmy problemy. Hmm. To naprawdę dobry pomysł.

- Na co może liczyć Roznine, ściągając ją do sądu? - spytał Red. Usiłował ukryć swe pierwsze myśli, zanim Daffyd zdąży je odczytać. Była w nich nuta bezsilności, przeczucie, że szczęście i porozumienie, jakie łączyło go z Amaldą, miało zostać przerwane; to było zbyt piękne, by mogło długo trwać. Daffyd odpowiedział jedynie na pytanie wypowiedziane na głos.

- Tego właśnie nie umiem pojąć.

- Podstawiona osoba? - Wydawało się, że Gillings kategorycznie odrzuca taką strategię, ale nagle powstrzymał się i zamyślił. - Dlaczego? Chyba nie przypuszczasz, że ktoś mógłby być na tyle szalony, by uprowadzić Amaldę z sądu, co? Chociaż... - spojrzął za okno - ...atmosfera jest cholernie niepewna.

- Wiem - zgodził się Daffyd.

Nawet podczas krótkiego przelotu do siedziby policji wyczuwało się utrzymującą się „ciemną” aurę emocjonalną miasta. Pogoda była okropna, panował upał podgrzewający i tak gorącą atmosferę, bezrobocie rosło w zastraszającym tempie, mnożyły się zażalenia na podstawową żywność, na programy telewizji trójwymiarowej; w sumie nic nadzwyczajnego o tej porze roku - jak na razie. Sytuacja nabrzmiewała do wybuchu.

Potrzeba co najmniej dwóch tygodni, aby w zauważalnym stopniu poprawić jakość żywności. Program telewizyjny zostanie naturalnie ulepszony, ale nawet najdoskonalsi telepaci nie wiedzieli na pewno, czego tak naprawdę się po nim spodziewano. Nikt nigdy nie był pewien, co może zaspokoić apetyt publiczny. Op Owen zanotował w pamięci, żeby spytać jasnowidzów o prognozy. W sumie to dziwne, że nie zanotowano dotąd żadnej określonej wizji, kiedy w grę wchodziły takie masy ludzi.

- Słuchaj, op Owen - mówił Gillings. - Musimy mieć zespół do wykrywania zamieszek. Szczególnie w tej chwili. Nie mogę dopuścić do jego dekonspiracji.

- A więc przed rozprawą odpowiednio ucharakteryzujemy dziewczynę.

Gillings wymruczał coś o pieprzonych balach przebierańców i nagle utkwiał w Daffydzie osłupiałe spojrzenie.

Op Owen zrozumiał, że nie uda mu się dłużej niczego przed nim ukrywać.

- Dobra, op Owen, kawa na ławę. Kto próbował porwać tę małą z bankietu? Ten sam facet, co w fabryce? Jeżeli tak, to trzeba go złapać i zapudłować. Ten zespół musi działać. Jest jeszcze nie wycofane oskarżenie o sprowokowanie zajść...

Daffyd zaczerpnął powietrza.

- Zamknięcie Roznine'a nie byłoby rozsądne.

- Roznine! - eksplodował Gillings.

Zerwał się z fotela i opadł jak człowiek, który nagle sobie uświadomił, że jest w sytuacji, nad którą absolutnie nie panuje.

- Roznine! Chryste, op Owen, czy wiesz, co się może stać z tym miastem, gdybyśmy próbowali aresztować przywódcę Słowian?

Jeszcze dłuższą chwilę pieklił się bezsilnie, dopóki nie powstrzymały go uspokajające sygnały op Owena i zwyczajny brak tchu.

- Wcale nie proponowałem, żebyś go aresztował. Byłoby to nie tylko niepolityczne, ale i niebezpieczne.

Komisarz przyglądał mu się, ciężko dysząc. W końcu rzucił krótkie pytanie:

- Jak?

- Roznine ma Talent. Dlatego zdołał przerazić Amaldę.

Gillings znów nie mógł się pohamować. Osłona jego umysłu odsunęła się na tyle, że Daffyd zyskał wgląd w panikę wywołaną tym oświadczeniem.

- Nie! - Słowo to, wypowiedziane przez Daffyda na głos i wzmocnione psychicznie, odniosło zamierzony skutek i przerwało strumień planowanych akcji, jakie rodziły się w umyśle komisarza. - Roznine'a da się załatwić, ale tym razem musimy uniknąć następnej Maggie O.

Gillings nie mógł uciec przed umysłem Daffyda, dlatego ten naciskał go tak długo, aż był pewny, że może liczyć na jego wymuszoną współpracę.

- Roznine nie jest dla nas zagrożeniem, jeszcze nie. Ale zagraża Amaldzie - ciągnął Daffyd. - Jest to realne niebezpieczeństwo. Byłoby głupotą... - dał Gillingsowi czas na przemyślenie swoich słów - ...sprawić, by poczuł się na tyle osaczony, że ujawniłyby się jego dodatkowe możliwości, o których jeszcze nic nie wiemy.

Na twarzy Gillingsa odmalowała się głęboka frustracja. Wyrzucił z siebie stek przekleństw, które tak ucieszyły Daffyda, iż całkowicie pominął fakt, że był ich bezpośrednim adresatem. Wiedział, że komisarz wraca do równowagi.

- Już dawno twierdziłem, że potrzebne jest prawo zabraniające ukrywania Talentu.

Daffyd zaśmiał się sucho.

- Roznine może nie wiedzieć, że jest Utalentowany.

- Nie wie? Akurat! Przy tej całej wrzawie, jaką robicie w telewizji, musiał dowiedzieć się, kim jest. Zwłaszcza że gra w te klocki z Amaldą. Op Owen, ja nie chcę Roznine'a w mieście! Weźcie go sobie, nałóżcie mu uzdę, poddajcie lobotomii, zróbcie coś, do cholery. Bo jeśli nie, to powołam się na wszystkie prawa obowiązujące w tym mieście i zamknę go na zawsze. Nie mogę dopuścić do tego, żeby miasto zmieniło się w pole walki. A może zapomniałeś już o Belfaście?

Interkom zabłysnął ponagłajaco czerwonym światłem. Gillings uniósł pięść, jakby chciał rozwalić urządzenie; powstrzymał się w ostatniej chwili i wduśił przycisk.

- Tak?

Przez moment panowała pełna wahania cisza. Daffyd niemal widział, jak dzwoniący przelyka ślinę, żałując, iż to właśnie on musiał zadzwonić.

- Komisarzu, przyszli prawnicy ze Związku Kelnerów z kaucją za swoich członków. Zwalniamy ich?

- Chciałbym ich zbadać - szepnął Daffyd.

- Graj na zwłokę. Zaraz tam zejdzie ktoś ode mnie. Potem ich wypuść.

Gillings rzucił op Owenowi guzik dość dziwnego kształtu.

- To ci otworzy wszystkie drzwi w tym budynku. Nie oddawaj go nikomu.

Daffyd podziękował mu i zaraz wyszedł. Wiedział, że zwiedzanie policyjnych pomieszczeń nie będzie jego ulubioną rozrywką - natężenie psychicznego hałasu było wyższe, niż mógł znieść telepata o jego wrażliwości.

Żeby uwolnić z aresztu swych członków, Związek Zawodowy Kelnerów przysłał cały pluton prawników. Posadzono ich w poczekalni tuż przy głównym holu więziennej części kompleksu.

Daffyd przeszedł powoli korytarzem z celami zatrzymanych kelnerów, badając szybko ich umysły. Nie spodobało mu się to, co „usłyszał”, ale i potwierdziły się jego podejrzenia, że cała akcja została zaplanowana i przeprowadzona przez Roznine’a. Żaden z mężczyzn nie wiedział nic ponad to, co miał sam wykonać, każdy jednak pragnął do końca wywiązać się z postawionego przed nim zadania, gdyż w przeciwnym razie... Za owym „w przeciwnym razie” czaiły się ciemne, surowe i przerażające konsekwencje.

Op Owen jak najprędzej wrócił do osłoniętej ciszy prywatnej jaskini Gillingsa. Komisarza nie było w gabinecie. Daffyd wykorzystał chwilę spokoju, by poważnie się zastanowić.

Są takie sytuacje, skonstatował, kiedy człowiek musi działać wyłącznie na podstawie instynktu, wycucia. Nie był jasnowidzem, ale zdarzały się momenty, kiedy musiał zapomnieć o racjonalnym myśleniu. Zwłaszcza gdy miał do czynienia z wolnym strzelcem jak

Roznine, po którym trudno się spodziewać przewidywalnych reakcji na różne bodźce.

Niełatwo uniknąć porównania Roznine'a i Maggie O; tym razem jednak Daffyd był bogatszy w doświadczenie i narzędzia.

- Dotąd zwalczaliśmy pożary staroświecką wodą, Frank - powiedział, kiedy Gillings wrócił do biura. - Od teraz będziemy stosować nowocześniejsze metody - pianę i środki uspokajające.

- O czym ty gadasz, człowieku?

- Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Zaufasz mi?

Gillings spojrział na niego podejrzliwie. Przez jego naturalną osłonę przeciekały sprzeczne uczucia: chęć dania wiary, nieufność i pełna irytacji frustracja.

- Chyba nie mam wyboru, co? Ale, do cholery, Dave, jeżeli twoi ludzie nie pohamują Roznine'a...

- Tylko my możemy to zrobić.

Op Owen zaczął uśmiechać się złośliwie, planując całkowicie niemoralne i sprzeczne z zasadami użycie Talentu. Nawet Les nie mógłby tego zaaprobować, ale po co mu o tym mówić?

Przyjęta strategia wymagała powołania się na ustawę o ochronie zawodowej. Daffyd nie przewidział wściekłości i wrzasku, jaki rozległ się, kiedy media ogłosiły wiadomość o rozprawie. Niespodzianie Aaron Greenfield żarliwie stanął po stronie Związku Kelnerów i poparł oskarżenia o wykorzystywanie ludzi pozbawionych nienaturalnych zdolności i chowanie się przy tym za parawanem niesprawiedliwego prawa wywyższającego Utalentowanych. Komitet organizacyjny konwencji starał się uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności i utrzymywał, że nie zatrudnił zespołu Utalentowanych do obsługi bankietu. Jego linia obrony opierała się na twierdzeniu, że legalni uczestnicy spotkania to przestrzegający prawa, spokojni obywatele, więc obecność zespołu nie była konieczna, naruszała ich dobre imię i tak dalej... Greenfield zbierał polityczne żniwo. Nigdy nie popierał ustawy o immunitecie, ponieważ, jak mówił mediom: „było od początku oczywiste, że miała służyć za parawan dla nielegalnego, niemoralnego i nieetycznego naruszania prywatności obywateli; stała się jeszcze jednym przykładem zupełnie niezasłużonych przywilejów przyznawanych mniejszości. Odrzucmy ustawę o immunitecie; żadnych szczególnych przywilejów dla

mniejszości! Niech każdy płaci za siebie! Podatki od wszystkich na tych samych zasadach!”

Jasnowidze zgłaszali niepokojące wizje. Aby zmienić okoliczności, zespół zaczął chodzić w przebraniu, a Amalda i Bruce dostali zaprawioną w bojach ochronę policyjną. Pełnili służbę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przelatując od zgromadzenia do zgromadzenia i usiłując zapobiec wybuchom - zwykle na wiecach. Dwukrotnie jeszcze Amalda wyczuła poszukujący jej umysł Roznine'a. W tych przypadkach natychmiast przestawała nadawać, a zespół opuszczał imprezę.

Pogoda utrzymywała się, było gorąco i parno. Nigdy dotąd nie dochodziło do takich zakłóceń w zaopatrzeniu w żywność, a ogromne zapotrzebowanie na energię wymusiło okresowe przerwy w jej dostawach. Dodatkowe kłopoty.

Plan Roznine'a również ucierpiał z powodu nadgorliwości autora. W dniu rozprawy tak wiele osób chciało bezpośrednio uczestniczyć w tym sprawdzianie ustawy o immunitecie, że Roznine w żaden sposób nie mógł zaplanować porwania Amaldy. Napór chętnych dał policji pretekst do przeprowadzenia selekcji, więc widownię zapelnili Utalentowani spoza miasta, specjalnie zaproszeni przez Daffyda. Telepaci czuwający przy wejściu do kompleksu sądowego sygnalizowali policjantom, kogo nie wpuszczać, i w ten prosty sposób kontyngent Słowian został zdziesiątkowany.

Na prośbę prokuratury Roznine dostał się na salę jako lider Słowian, gdyż jeden z kelnerów był jego narodowości. Po raz pierwszy op Owen mógł przyjrzeć mu się dokładniej. Wygląd Roznine'a nieco go zaskoczył. Miał wielką ochotę go „zbadać”, lecz aura emocjonalna w sali sądowej uniemożliwiła mu to. Telepata zastanawiał się, skąd brały się podświadome wrażenia Gillingsa i Amaldy, ponieważ Roznine był przystojnym, porządnie wyglądającym facetem, ubranym w umiarkowanie drogą bluzę, z czarnymi włosami do ramion, wygoloną brodą i gęstymi, smolistymi wąsami łączącymi się z bokobrodami. Roznine zajął krzesło pod ścianą, z przodu sali, i zaraz się odwrócił, żeby popatrzeć na tych, którzy weszli przed nim.

Op Owen szczerze żałował, że nie może dostać się do jego umysłu. Na pewno coś knuł. Otaczała go aura wyczekiwania. W środku

naładowanej emocjonalnie sali wydawał się niezwykle opanowany i spokojny.

Żadna wizja nie opisała tego wydarzenia. Wprawdzie pojawiały się okazjonalne wróżby, lecz były zbyt zróżnicowane, aby mogły być użyteczne i wskazać kierunek rozwoju wydarzeń. Daffyd wiedział tylko, że, zgodnie z ustaleniami zespołu do spraw korelacji, przebieg dzisiejszej rozprawy nie będzie miał większego znaczenia. Było to niepokojące samo w sobie. Mimo wszystko przygotowano się na wszelkie okoliczności podpowiadane przez zdrowy rozsądek. Między innymi Daffyd ostrzegł Vadena i „przygotował” Amaldę, ładując w nią sporą dawkę pewności siebie. Na sali siedzieli też nie znani dziewczynie Utalentowani, którzy otrzymali swoje zadania.

Zjawił się Bruce Vaden i zajął miejsce z tyłu, przy środkowym przejściu. On również zaczął rozglądać się po sali. Udał, że nie zna Daffyda. Ten pomyślał, że Red szuka Roznine’a, kiedy zauważył, iż spojrzenie Vadena zatrzymało się na moment na jakimś potężnie zbudowanym mężczyźnie, a nie na wąsatej twarzy lidera. Uwagę Roznine’a przyciągnął żyłasty, mały człowieczek w wyświechtanym ubraniu, który wyprostowany dumnie szedł przejściem do krzesła zarezerwowanego dla niego przy stole oskarżenia.

Więc to tak, pomyślał Daffyd, Aaron Greenfield zamierzał skorzystać z okazji. Greenfield pochylił się, poklepał po ramieniu jednego z prokuratorów i wdał się z nim w cichą pogawędkę, nie przestając zerkać na widownię. Pod koniec rozmowy wskazał palcem wolne miejsca przy stole obrony.

Rozjarzyły się światła ogłaszające początek rozprawy i „sędzia” zaczął uciszać salę sygnałami dźwiękowymi. Natychmiast jeden z oskarżycieli wstał z miejsca, by zaprotestować przeciw nieobecności oskarżonej i jej rzeczników, lecz dla Amaldy i jej opiekunek to właśnie było sygnałem do wejścia na salę.

Oczywiście znów rozległ się oczekiwany sprzeciw prokuratorów. Oskarżona przybyła szczelnie okryta obszerną szatą, w peruce i japońskim makijażu, w towarzystwie dwóch identycznie ubranych kobiet. Pod bacznym okiem prokuratorów kobiety przesuwwały się nieustannie, tak że bez Talentu nie można było stwierdzić, kto jest kim.

Jednak ponieważ było to tylko wstępne przesłuchanie, prowadzone przez komputer prawniczy, przesłuchujący „sędzia” nie otrzymał

żadnych wskazówek co do stroju oskarżonych oraz ich adwokatów, o ile nie naruszało to zasad przyzwoitości i higieny. Prokuratura utrzymywała, że oskarżona rozmyślnie zakłócała postępowanie sądowe, pojawiając się w towarzystwie osób, od których nie można było jej odróżnić. Jedna z kobiet wstała i przedłożyła sądowi dwa komplety dokumentów ustanawiających adwokatów oskarżonej, po czym spytała „sędziego”, czy ma w programie instrukcję pozwalającą na wyłączenie ze sprawy obrońcy na podstawie podobieństwa do oskarżonego. Sprzeciw został oddalony.

Oskarżenie zażądało odczytu EEG stwierdzającego, że identyczne kobiety były rzeczywiście tymi, za kogo się podawały.

Obrona nie zgłosiła sprzeciwu i bez zwłoki wykonano odpowiednie badania, ustalając bez wątpliwości tożsamość całej trójki. W tym momencie kobiety powtórzyły swój szybki manewr z przesuwaniem się. Daffyd patrzył, jak na twarzach prokuratorów pojawia się wściekłość, co oznaczało, że manewr się powiódł. Na widowni rozległ się szmer: połowa sali była wyraźnie rozbawiona, druga - kompletnie wygłupiona przez te sztuczki.

Rozpoczęło się właściwe przesłuchanie. Akt oskarżenia dotyczył bezprawnego aresztowania, na co obrona odwołała się do ustawy o ochronie zawodu, żądając w związku z tym odrzucenia zarzutów wobec Amaldy, zarejestrowanej Utalentowanej.

Daffydowi, zadowolonemu z dotychczasowego biegu sprawy, umknęło pierwsze ukłucie niepokoju Amaldy.

- Daffyd - „powiedziała” mu zatroskanym tonem. - On mnie goni.

- Spraw, żeby wszyscy się śmiali - „nakazał” jej. Wykonała to tak zdecydowanie i z taką siłą, że Daffyd nie musiał prosić o wsparcie rezerwowych empatów.

Przez chwilę zastanawiał się, czy to nie lęk tak bardzo wzmacnia jej oddziaływanie, ponieważ cała widownia, łącznie z nim samym i wprowadzonymi w arkana sztuki Utalentowanymi, wybuchła zaraźliwym chichotem. Wyglądało to tak, jakby sala śmiała się z przedstawionych Amaldzie zarzutów.

Daffyd sam stłumił projekcję Amaldy w obawie, by nie paść ofiarą niepohamowanej wesołości. Roznie nie potrafił opanować głupawego uśmiechu od ucha do ucha; oparł się plecami o ścianę, walcząc o odzyskanie władzy nad swoim ciałem. Z wysiłkiem odwrócił głowę, żeby nie tracić z oczu widowni. Daffyd pochylił się

niecو, udając atak śmiechu, i zobaczył, że Red Vaden i inni Utalentowani robią to samo.

Świetnie! Niech Roznine myśli, że to wyłącznie sprawka Amaldy! Lecz czy Amalda, nawet z pomocą Reda, rzeczywiście potrafiła tak silnie nadawać? Jeżeli tak, to...

Przesłuchujący „sędzia” uruchomił brzęczyk i wezwał do zachowania spokoju. Powtarzał wezwanie kilkakrotnie, ponieważ śmiechy nie ustawały. W końcu nakazał wyrzucenie z sali osób zakłócających powagę sądu. Paroksyzm śmiechu, który tak niespodzianie wszystkich opanował, skończył się równie nagle. Ludzie ocierali oczy i poprawiali ubrania. Aaron Greenfield rozglądał się nerwowo dookoła z twarzą wykrzywioną wściekłością. Ten facet nie jest głupi, pomyślał Daffyd. Wiedział, że to sprawka Utalentowanych i czując się urażonym w swej godności podobnymi sztuczkami, na pewno ze zdwojoną siłą będzie walczył o opodatkowanie domniemanych winowajców. Cóż, nie można zrobić jajecznicy bez rozbicia jajek, pomyślał Daffyd filozoficznie.

Kiedy Amalda oraz jej bliźniaczki rzuciły w jego stronę ukradkowe spojrzenie, skinął głową, wyrażając pełną aprobatę dla ich poczynań.

Oskarżenie przedstawiło zaprzysiężone oświadczenie Komitetu Organizacyjnego Konwencji Morcam, stwierdzające, że nie zwracano się o ochronę policyjną. Obrona zareplikowała, iż wszystkie zgromadzenia podlegają przepisom ustawy o zapobieganiu zamieszkom i dlatego policja miała pełne prawo wykorzystania takich technik prewencyjnych, jakie uznała za stosowne. Niespokojna atmosfera miasta była koronnym argumentem uzasadniającym stosowanie wszelkich środków niezbędnych do zapewnienia ładu i porządku publicznego. Adwokat przypomniał „sędziemu”, że wszelkie imprezy, na których gromadziło się dwieście lub więcej osób (na bankiecie konwencji Morcam wydano pięćset dwadzieścia pięć posiłków), podlegały dodatkowej obserwacji bez względu na życzenia organizatorów, kiedy sytuacja w mieście była niepewna. Oskarżenie zażądało wyjaśnienia roli Amaldy w zastosowanej technice prewencyjnej. Obrona odpowiedziała, że dziewczyna jest zarejestrowaną empatką o wrażliwości +15 i zdolności +12 - i zaoferowała przedstawienie referencji wydanych przez instytucje wcześniej ją zatrudniające, które potwierdzały w pełni jej zdolności. Oskarżenie powtórzyło żądanie dokładnego opisu stosowanej przez

Amaldę techniki uspokajania tłumu, więc obrona odwołała się do przepisów odnoszących się do spraw przestrzegania prawa i porządku publicznego, zabraniającego ujawniania działań operacyjnych.

Daffyd nie był pewien, czy prokuratorom chodzi o oddzielenie Amaldy od jej sobowtórów, czy też o odkrycie jej Talentu.

Obrona ponownie poprosiła o oddalenie zarzutów. Nie chciała marnotrawić cennego czasu sądu i pieniędzy podatników, kiedy dowody jasno wskazywały na sytuację *nolle prosequi*.

Oskarżyciele upierali się rozpaczliwie, że był to wyraźny przypadek naruszenia dóbr osobistych i nadużywania przywilejów, dopóki nie rozbrzmiał sygnał oznaczający wyczerpanie się czasu przeznaczonego na to przesłuchanie. Rozległ się cichy szum, gdy „sędzia” przeglądał swą pamięć w poszukiwaniu precedensu. Nie trwało to dłużej niż chwilę. Wkrótce na ekranie pojawiła się data określająca termin właściwej rozprawy: za siedem tygodni.

Nieźle, pomyślał Daffyd, choć w głębi duszy miał jednak nadzieję, że komputer umorzy sprawę. Przy braku precedensów szansa na takie rozwiązanie była znikoma.

Lęk Amaldy uderzył go jak ostrze noża. Próbował dotrzeć do Roznine'a, dowiedzieć się, co wysyła. Bruce Vaden zerwał się na równe nogi i ruszył przejściem w stronę dziewczyny, blokowany przez ludzi zmierzających ku wyjściu.

Daffydowi zdawało się, że każdy Talent na widowni nagle zmarł; Roznine uniósł się ze swego krzesła i runął na ludzi siedzących przed nim. Na jego twarzy malował się wyraz bezgranicznego zdumienia.

- Hej, ten facet zasłabł - rozległ się czyjś głos. - Jest tu gdzieś lekarz?

Bruce Vaden nadal usiłował dostać się do Roznine'a. Daffyd dał znak Utalentowanym, aby mu pomogli. Gdyby teraz udało się ściągnąć Roznine'a do Centrum...

- Jestem lekarką - powiedziała donośnie jakaś kobieta, unosząc wysoko torbę lekarską.

Zrobiło się małe zamieszanie, kiedy Bruce usiłował ją powstrzymać; lecz nie dał rady, bo w tej właśnie chwili Słowianie ruszyli z odsieczą swemu przywódcy. Grupy rosnących mężczyzn przeskakiwały przez rzędy krzesel i odpychały ludzi na bok, starając się ochronić Roznine'a.

Daffyd odciągnął Vadena i odwołał pozostałych.

Z sali wypadł woźny, by wezwać ambulans, natomiast lekarka i trzech Słowian przenieśli nieprzytomnego Roznine'a na stół oskarżenia. „Sędzia” zaczął wzywać do zachowania spokoju, nakazał rozpocząć następną sprawę, wezwał do usunięcia z sali osób zakłócających porządek. Powtarzał swe apele coraz głośniejsze, lecz nie rejestrując pozytywnych skutków swych rozkazów, ogłosił przerwę do czasu przywrócenia porządku.

- No dobra, mamy go na sali chorych bloku sądowego. Dostał masę środków uspokajających - mówił niecierpliwie Gillings - ale to nie takie proste. Cały blok aż roi się od Słowian. Nie możemy aresztować człowieka za to, że zemdlał na sali sądowej. Jak to zrobiliście?

- Jeden z naszych teleportystów go nacisnął - odpowiedział Daffyd z ponurym uśmiechem.

Gillings spojrział na niego ze zdumieniem i podziwem zarazem.

- Trzeba być bardzo ostrożnym - wyjaśnił op Owen przepraszającym głosem - kiedy się majstruje przy tętnicy szyjnej. Nie było innego wyjścia: on dobierał się do Amaldy.

- Zaplanowałeś to! Mimo wszystko spodziewałem się, że zdołacie go tam dopaść i zabrać do siebie. To cholerne przesłuchanie jeszcze bardziej pogorszyło nastroje w mieście. Nie próbuj mi wmawiać, że to przewidziałeś!

Daffyd popatrzył na Gillingsa i na ułamek sekundy zawahał się.

- Robiliśmy, co w naszej mocy.

- Co? Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć?

- Założyliśmy pułapkę z przynętą i nie pozostawało nam nic innego, jak tylko czekać.

- Czekać? Kiedy całe miasto dosłownie wrze?

- Może to dość niezwykle, Gillings, ale osobiście nie wierzę, że dojdzie do wybuchu. Zanotowaliśmy wprawdzie kilka pomniejszych incydentów z udziałem Utalentowanych...

Daffyd skrzywił się, ponieważ przewidywane zdarzenia były tak niejasne, że można było przesłać jedynie ogólne ostrzeżenie do wszystkich Utalentowanych.

Gillings przerwał mu, mrużąc coś z niesmakiem.

- Dprowadzacie mnie do szału! Nawet siebie samych nie umiecie ochronić!

- Uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy - powtórzył Daffyd głosem na tyle twardym, że komisarz musiał wyczuć jego gniew i oburzenie. - Ciebie powinno obchodzić jedynie to, że nasi jasnowidze nie przewidują żadnych istotnych wydarzeń na szerszą skalę. Miasto jest bezpieczne!

- Udowodnijcie to! - ryknął Gillings, lecz Daffyd opuścił jego gabinet bez słowa.

Przez całą drogę do Centrum nie mógł się uspokoić. Oczywiście Gillings musiał być czasami bezlitosny i brać pod uwagę jedynie najszerze aspekty, bezpieczeństwo całej metropolii, lecz op Owen nie umiał pogodzić się z tym, że komisarz tak lekceważąco odniósł się do osobistych przejść Utalentowanych. Daffyd wiedział, że już wkrótce program komputera sądowego wzbogaci się o kilka precedensów zastosowania ustawy o ochronie zawodowej. Fakt, że Utalentowani mogą się teraz bronić w sądzie, nie dawał mu żadnej satysfakcji. Naprawdę wolałby nigdy nie odwoływać się do tej ustawy.

Ciekawe, jak Gillings poradziłby sobie z Roznine'em, gdyby nie Utalentowani? Jak, u diabła, wprowadzić w życie prawo zabraniające ukrywania Talentu? W odpowiednich warunkach zawsze może obudzić się jakiś Talent.

Nie było żadnej wizji związanej z Amaldą, Redem czy Vsevolodem Roznine'em. Każdy jasnowidz Centrum był nastawiony na tę trójkę. To przecież niemożliwe!

Osadzając helikopter na dachu głównego budynku administracyjnego Centrum, Daffyd był w ponurym nastroju. Schodząc po schodach, usiłował wyrzucić z siebie jad goryczy i złości. Zatrzymał się przed drzwiami gabinetu, lecz nie otworzył ich. Musiał się najpierw uspokoić. Taka nadmierna reakcja była zabójcza. Gillings sam był uśpionym Talentem, ale pozostawał nieczuły na problemy Utalentowanych, szczególnie jeżeli stały na drodze do zapewnienia ładu i porządku w jego drogocennym mieście.

Kiedy Roznine leżał nieprzytomny w ambulatorium bloku sądowego, Daffyd wprowadził do jego podświadomości sugestię, że powinien szukać Amaldy w Centrum. Był to praktyczny sposób: niech góra przyjdzie do Mahometa. Góra powinna to zrobić z własnej woli. Gdyby jeszcze Mahomet mógł odegrać rolę Lorelei, sprawy potoczyłyby się szybciej i wielu Utalentowanych uniknęłoby bólu. Ta

myśl powtórnie wzbudziła w nim bezsilny gniew, tak samo jak w gabinecie Gillingsa, i cała sekwencja uczuć ruszyła od nowa.

Szedł ścieżką obok placu zabaw, na którym dzieci wrzeszczały, kłócąc się zawzięcie o jakiś niesłychanie istotny dla nich drobiazg. Drobiazg? Być może dla niego byłby to naprawdę drobiazg, lecz każde z nich zażarcie broniło swoich racji, tak jak i on to czynił w innej sytuacji.

- No i co? - Sally Iselin stanęła na jego drodze. Dłonie położyła na biodrach i patrzyła na niego z niby srogą miną na ślicznej, zuchwałej twarzy. - Nie jesteś zadowolony z przebiegu przesłuchania? - Zmarszczyła nos, wyczuwając jego brak zdecydowania. - Jednak udało ci się zasugerować Roznine'owi, że ma tu się zjawić. Ach, ten Gillings! Co takiego jest w mundurze policyjnym, że człowiek w niego ubrany staje się zgryźliwy?

Tym razem Daffyd się zdziwił.

- Nieźle „czytasz”, Sally.

Niespodzianie poczuł, jak jej umysł zamyka się przed nim i kontakt, który zaczynał już łagodzić jego przygnębienie, urwał się.

- Czego Gillings się po nas spodziewa? - spytała.

- Szczęśliwego zakończenia.

Sally spoglądała na niego przez moment, potem zrównała z nim krok i uśmiechnęła się.

- W każdej bajce jest szczęśliwe zakończenie. Tyle że po Gillingsie nie spodziewałam się tak bajkowego nastawienia.

Jej nastrój podniósł go nieco na duchu, mimo że się przed nim tak zamknęła. Musiał jednak przyznać, że nie czytał jeszcze wizji o szczęśliwym zakończeniu sprawy Kopciuszka.

- Ach, ty! Naprawdę! - Wściekła się dziewczyna. - Czy wiesz, na czym polega twój największy problem, Daffydzie op Owen? Tak naprawdę, to ty wcale nie wierzysz w istnienie Talentu.

- Słucham? - Daffyd aż się zatrzymał.

- Wystarczy, że nikt nie przewidzi jakiejś monumentalnej katastrofy w związku z tą bajkową aferą, a ty już postrzegasz wszystko w czarnych barwach. Czy zawsze sprawy wiążące się z Talentem muszą kończyć się tragicznie? Czy przez całe życie musisz być ponury i gotów na najgorsze? Nie potrafisz uwierzyć, że jeżeli nikt nie ma katastrofalnej wizji, to znaczy, że nic złego się nie zdarzy? Że wszystko dobrze się skończy? Dobry Boże, czy naprawdę przez

cały czas musimy się nurzać w smutku? Stale się zastanawiać, czy mamy prawo do odrobiny szczęścia?

Daffyd sądził, że znał Sally dość dobrze, ale zaskoczyły go takie słowa w ustach dziewczyny zwykle radosnej i pełnej życia.

Odwróciła się do niego i ze złością tupnęła nogą.

- Nie zawsze jestem radosna i pełna życia. Potrafię być jędzą jak każda normalna kobieta!

Rozzłoszczona zapomniała na chwilę o kontrolowaniu swych głębszych myśli. I nagle odsłoniła to, do czego dobre wychowanie nie pozwalało mu dotąd sięgać, a czego jej poczucie honoru nie pozwalało otwarcie okazywać.

Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie, rozkopując się cudownym uczuciem. Sally usiłowała mu się wyrwać. Zapominając o przyzwoitości, sięgnął w głąb jej umysłu poza bariery, które tak pieczołowicie wznosiła, poza śmiałe słowa, którymi maskowała swe najskrytsze marzenia. Ze stłumionym szlochem przywarła do niego i pozwoliła mu poznać wszystkie jej duchowe rozterki. Starszy mężczyzna, dużo młodsza kobieta, pragnienie, żeby być nieco wyższą, elegancką, odpowiednią żoną dla mężczyzny o jego pozycji, zdolnościach; niepoważny obraz siebie wyczytany w jego myślach, poczucie porażki, bo nie umiała wykryć więcej Utalentowanych, żeby dać mu wytchnienie w pracy... wszystkie te małe grzeszki obecne w duszy każdej istoty ludzkiej. Czuł, że stała mu się jeszcze bliższa.

Jedną ręką odchylił do tyłu jej głowę, zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy, nieco rozbawiony, że telepatie potrzebne jest spojrzenie. Kąciki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu, kiedy pomyślała to samo. Czuł gorącą potrzebę wypowiedzenia na głos słów, które przesyłał do jej umysłu, ale zdołał jedynie wymamrotać jej imię. Inne słowa były zbędne.

Następnego ranka mgliste przepowiednie jasnowidzów zostały brutalnie skonkretyzowane. Jeden z policyjnych „odnajdywaczy” został pobity w drodze do Centrum. Obdarzony Talentem mechanik z wielkiego kompleksu parkingowego w centrum miasta został pokaleczony i wepchnięty do bagażnika naprawianego właśnie samochodu. Dwie uzdrowicielki pracujące w szpitalu miejskim zgwałcono i obcięto im włosy. Napastnicy zostali szybko ujęci, ponieważ dziewczyny potrafiły „wezwać” pomoc.

W jasnym świetle poranka Daffyd poważnie się zastanawiał, czy rzeczywiście miał prawo do szczęścia.

- Jeżeli to nie są przedpotopowe, purytańskie bzdety, to już sama nic nie pojmuję! - krzyknęła Sally, wybiegając z łazienki z zjadłością miniaturowego... - I nie jestem niczym miniaturowym, Dai!

W niepełnym stroju, atakując w zaciętrzewieniu jego pesymistyczne myśli, była na tyle zabawna, że przywróciła porannym katastrofom właściwe proporcje.

- Nie wiem, co dobrego mogłoby wyniknąć z tego, że Roznine by tu teraz wmaszerował - powiedziała, rozlewając kawę do filiżanek.

- Miałem nadzieję, że przyjdzie, zaraz gdy odzyska przytomność.

Sally uniosła brwi.

- Dotąd twoje przewidywania cię nie zawodziły. Chyba że... - zacisnęła usta i zmarszczyła nos.

- Amalda go blokuje - domyślił się.

- Wiesz, że się go boi. To kobiecy strach przed dominującym mężczyzną. Lęk seksualny. Och, sam wiesz, co mam na myśli. A tu jest Bruce Vaden i stąd cała ta sprawa.

- Amalda mogła się wczoraj ostatecznie przekonać, że Roznine nie jest w stanie jej zdominować.

- Być może, jeśli chodzi o intelekt czy o siłę Talentu, ale nie o seks. Bruce Vaden ją powstrzymuje. Już wszedł na szczyt Szklanej Góry, a Amalda boi się rzucić kolejne jabłko.

Daffyd wyłapał nie wypowiedziane wątki myśli Sally. Część lęku Amaldy przed przyznaniem się, że Roznine ją pociąga, wywodzi się ze strachu przed utratą Bruce'a, który również ją pociągał, lecz z innych powodów.

- Ona nie jest taka, żeby porzucać prawdziwy skarb dla mrzonki - powiedziała Sally.

- Znów jakieś bajki?

- Czemu nie? Ty mieszałeś mity z moimi bajkami, więc teraz na mnie kolej.

- Zatem pozostają mi tylko przysłowia.

- No i co?

- To znaczy, że Amalda blokuje Roznine'a.

- W przeciwnym razie byłby już tu z nami.

Daffyd rozważał w myślach tę kuszącą możliwość, gdy rozległ się brzęczyk telefonu.

- Szefie, mamy pikietę pod bramą - oznajmił Les z niesmakiem. - Płaćcie, co powinniście płacić. Wszyscy są opodatkowani. Dlaczego nie wy? Żadnych przywilejów dla mniejszości.

Daffyd westchnął głęboko.

- Przy bramie jest Pete. Mówi, że mają legalny program polityczny, że przyjechali głównie z północy stanu i że są zarejestrowanymi członkami partii. Z prawnego punktu widzenia, zgodnie z ustawą o programach politycznych, wolno im nas pikietować, ponieważ senat stanu rozpatruje właśnie sprawę naszego statusu podatkowego.

- Rozmawiałeś z Gillingsem?

- Ha! To policja nas powiadomiła, zanim jeszcze pierwsi demonstranci zebrali się pod naszym progiem. A co się stało z tymi twoimi wczorajszymi makiawelicznymi pomysłami?

- Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz - odpowiedział mu Daffyd. Sally otworzyła usta i uniosła ręce w geście poddania.

- He? - Lester nie zrozumiał.

- Muszę spytać Gillingsa, czy przypadkiem Aaron Greenfield nie widział się z Roznine'em po rozprawie.

- Zaczynasz svirować? Co mamy teraz zrobić?

- Dopilnować, żeby demonstracja przebiegała spokojnie. Zawiadom kontrolę zamieszek.

- Amalę i Reda?

- Nie, nie ich. Wsadź Harolda do portierni. Spytaj Gillingsa.

- Sam go spytaj. Charlie mówi, że właśnie dzwoni.

Zanim Daffyd zdążył zareagować, Charlie przełączył linie, więc pozostało mu jedynie mieć nadzieję, że komisarz nie zauważył jego niechętnego skrzywienia.

- Masz problemy? - spytał Gillings beznamiętnym tonem.

- Nic, z czym nie potrafilibyśmy sobie poradzić.

- O, czyżby pułapka zawiodła? - Mina komisarza wyrażała złośliwe zadowolenie.

- Hmm, dobrze byłoby mieć tu w pogotowiu parę twoich wozów.

Wyraz twarzy Gillingsa zmienił się diametralnie.

- Coś takiego! Myślałem, że Roznine miał przyjść do was w charakterze owieczki.

Daffyd rzucił okiem na Sally, która mruczała coś pod nosem o delegalizacji metafor. Jej dobry humor zupełnie nie pasował do powagi sytuacji, a jednak nieco ją rozładował.

- Roznine to silna osobowość.

- Zaraz go złapię - Gillings był niespokojny.

- Gillings! - Daffyd mówił tonem nieczęsto używanym wobec komisarza policji. - Nie ścigaj go pod żadnym pozorem. Przycisnęliśmy go już wystarczająco mocno. Sam przyjdzie.

Komisarz patrzył na niego w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, op Owen.

- Wiem.

- Brzmiało to bardzo przekonująco - stwierdziła Sally, kiedy połączenie zostało przerwane.

- Ja naprawdę wiem, co robię, Sally. - Daffyd popatrzył przez okno na budynek, w którym mieszkali Amalda i Red. - Dwa wróble w garści, dwa koszyki takich samych jajek, dwa umysły z taką samą ideą...

- Oszczędź mnie, wujku! Poddaję się.

- Dobrze. Zastanówmy się teraz, jak odprężyć Amaldę. Wcale nie sugerowałem Roznine'owi, żeby sprowadził Wielki Las Birnamski do Dusinane.

- Powinam była zgadnąć, że następny będzie Szekspir.

- Biorąc pod uwagę moje skłonności do cytowania Aleksandra Pope'a, wątpię, czy byś trafiła.

- On po mnie przyszedł - powiedziała Amalda na widok chodzących w kółko uczestników pikiet i tłumu otaczających ich gapiów.

Bruce Vaden odchylił głowę do tyłu i wybuchnął donośnym śmiechem. Nie udawał rozbawienia mimo pewnej nutki goryczy w głosie. Lecz zboląła mina Amaldy wyglądała nedorzecznie, a śmiech nie był wyrazem współczucia, jakiego oczekiwała dziewczyna.

- Dziecino, gdyby Roznine musiał bronić swego słowiańskiego ego, uciekając się do takich sztuczek...

- O co ci chodzi, do cholery?

- Roznine po prostu nie może tu przyjść, bez względu na to, co zasugerował mu op Owen.

Wzdrygnęła się. Vaden czuł odrazę, której doświadczała za każdym razem, kiedy stykała się z umysłem Roznine'a. Lecz od czasu, kiedy zobaczył go na własne oczy, nie dawał się zwieść obrazkowi, jaki mu podsuwała.

- Czy naprawdę mu się wczoraj przyjrzałaś?

Amalda obrzuciła go spojrzeniem pełnym urażonej niewinności. Czuł, jak się przed nim zamyka. Na początku sądził, że robiła to z obawy przed Roznine'em, że podświadomie cenzurowała wszelkie wzmianki na jego temat. Teraz wiedział już, że przyczyna leżała gdzieś indziej.

- Mally, kochanie. - Położył dłonie na jej ramionach. - Ja na niego patrzyłem. Dobrze go sobie obejrzałem i, co dziwne, spodobał mi się. - Był to celny strzał. Red wziął głęboki oddech i otworzył się przed nią, żeby nie mogła wątpić w szczerłość jego słów. - To taki typ faceta, któremu bym zaufał i którego bym szanował, nawet gdybym musiał z nim stoczyć walkę. Ach, wiem, słyszałem te wszystkie brednie o jego rynsztokowej świadomości i jego władzy w mieście, ale nie jestem wcale pewien, czy takie badanie mojego własnego umysłu dałoby lepsze wyniki. Nauczyłem się skrywać swe brudne myśli, a przecież jego nikt nie ostrzegł, że otacza go kupa facetów od czasu do czasu zagładających mu w głąb duszy.

Amalda wpatrywała się w niego i nic nie mówiła. Szeroko otworzyła oczy i rozchyliła wargi. Miał ochotę ją pocałować, kochać ją i dodać jej otuchy, lecz nie była pora po temu.

- Pamiętaj, wcale nie uważam go za błędzącego anioła. Walczy z Ratuszem, a kiedy się ma takiego przeciwnika, trzeba korzystać ze wszelkich środków, jakie można wyprosić, wypożyczyć lub... - delikatnie dotknął pięścią jej szczęki - ...wywalczyć. Rozumiem też, że dostał bzika na twoim punkcie. - Nie potrafił opanować lekkiego drżenia głosu na wspomnienie ich pierwszego spotkania. - Jeżeli działasz na niego tak, jak na mnie, to mi go cholernie żal. To musi być dla niego piekło: pragnąć cię i nie móc cię mieć.

Amalda odrzuciła bariery i skrucha, miłość, wdzięczność, zgoda, zrozumienie, duma, lojalność spadły na niego z siłą wodospadu.

- Nie rób tego, Mally. Muszę zachować rozsądek.

Przygryzła wargi, uśmiechnęła się przeprasząco i zapanowała nad emocjami.

- Dzięki. Na czym stanąłem? Tak. Jeśli chodzi o wczorajszy dzień, nie wierzę, żeby Roznine mógł cię wykorzystać. Już nie. Chyba że sama mu na to pozwolisz. Ale ty tego nie zrobisz. Jeżeli tylko to cię gryzie, nie ma sprawy. A może zapomniałaś już, jak łatwo zważyłaś go

z nóg? Musisz spokojnie na niego oddziaływać. On cię kocha, nawet jeśli o tym nie wie.

- Ja się martwię o ciebie, Bruce - powiedziała cichutko ze łzami w oczach.

Objął ją, przytulając mocno szczupłe ciało, żeby wyczuła wszystko, czego nie potrafił jej powiedzieć: że nie jest w stanie egoistycznie traktować swojego Talentu, że ich związek jest zbyt silny, aby ktoś trzeci mógł go zerwać, że posiadanie Talentu to obowiązek większy niż względy osobiste i że teraz właśnie oboje muszą myśleć o innych.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku. Palce rozkoszowały się jedwabistym dotykiem jego brody, wyrażając uczucia, których nie wypowiadała na głos. Nauczyła się już zostawiać decyzje Bruce'owi i teraz również przyjęła jego postanowienie.

- Scena gotowa, kochanie - powiedział wreszcie. - Wszyscy czekają na reżysera. Wpuścisz go?

Wzruszyła niecierpliwie ramionami, wyprostowała się i uśmiechnęła do niego. Jest gotowa przestawiać góry. To właśnie, oprócz tysiąca innych rzeczy, lubił w niej najbardziej. Łagodnym, mentalnym uściskiem okazał jej swą aprobatę. Talent ma jednak pewne zalety.

Roznine rozcierał skronie, zastanawiając się, co to było za świństwo, które dostał niby to na ból głowy.

To ONI coś mu zrobili, kiedy leżał nieprzytomny. Mógł też dać głowę, że to przez NICH zemdlał w sądzie. Nie, nie „oni”: ONA!

Gorące pragnienie, żeby ją dostać w swoje ręce, wróciło na nowo z nieposkromioną siłą. Roznine walczył z nim, rozcierając pękającą z bólu głowę i zaciskając pięści, by wytrzymać siłę tego pragnienia.

Zerwał się od stołu, potracając go i niemal zrzucając na podłogę nietknięte śniadanie. Potknął się o próg i wyrzwał głową o futrynę drzwi. Powtórzył uderzenie raz, drugi - i oparty o ścianę odchylił głowę do tyłu w ataku gorzkiego śmiechu.

- Roznine musi walić głową w mur, ponieważ gdy przestaje, czuje się lepiej!

Wbił palce w futrynę, aż wygiął paznokcie o twardey plastik. Powoli odwrócił głowę, jakby pragnął spojrzeć przed siebie, przez

beton i tworzywo, przez mile dzielące go od Centrum, w którego stronę się zwracał.

- NIE! - Tym razem to pięści załomotały o ścianę. - Roznine nie jest na wezwanie kobiety. To ona musi do niego przyjść!

Jak mogli mu zrobić coś takiego? Jak ona śmie go wzywać? Od kiedy poznał jej imię i dowiedział się, że mieszka w Centrum, kazał swoim ludziom dowiedzieć się o niej wszystkiego. Zarejestrowano ją jako teleempatkę. Sprawdził w słowniku znaczenie tego słowa i znalazł jedynie potwierdzenie własnych przypuszczeń - potrafiła przekazywać uczucia na odległość i prawdopodobnie również je odbierać.

Walił pięściami o ścianę, wysyłając nienawiść i wściekłość wywołane frustracją, że nie ma Amaldy - i z upokorzenia, że dał się tak powalić na oczach swych wyborców, i to przez dziewczynę, którą mógłby zabić jednym ciosem.

Kim był ten rudowłosy facet, który z nią pracował? Jak blisko ze sobą współpracowali?

Do burzy uczuć dołączyła jeszcze zazdrość. Skóra na czaszce pulsowała od nadmiaru złej krwi.

Intensywność pragnienia ujrzenia Amaldy osiągnęła kolejny szczyt. Walczył z nim z całych sił. Nie pójdzie do niej. To ona musi przyjść do niego! Ona, która potrafiła czytać w jego myślach. Niech odczyta i tę myśl. Niech odczyta jego uczucia.

- Nie!

Roznine znieruchomiał. Cały świat się zatrzymał, jego serce, płuca, cząsteczki tlenu we krwi. Zacerpnął powietrza i wypuścił je z płuc ze świstem. Jego szeroko otwarte usta uformowały się w niezwykle uśmiech na nagle spokojnej twarzy.

Nic dziwnego, że ta mała do niego nie przyszła. Umiała czytać w jego myślach. Bała się go, przerażał ją jego gniew. Już kiedyś czuł jej strach, czuł, jak przed nim ucieka. Dlatego zniknęła z fabryki. Nie powinna się go bać. Mogła się obawiać każdego innego mężczyzny, chłopaka czy dorosłego, lecz nie jego, Vsevoloda Roznine'a. Pójdzie do niej. Wyjaśni.

Czort z tym! Czy ta głowa nigdy nie przestanie boleć? Zabrzęczał telefon. Sygnał przeszył mu czaszkę. Gwałtownie chwycił słuchawkę, żeby to przerwać.

- Wszyscy są na pozycjach, szefie.

- Na pozycjach? - Potrząsnął obolałą głową, nie mogąc sobie przypomnieć, o jakie pozycje chodziło.

- Straż Centrum sprawdziła pikietujących. Ta straż to tylko dwóch starsuszków. Nie ma się czego obawiać.

Pikietujących? Pikieta? Przy Centrum? Ach, tak. Rozmawiali o tym z tym małym człowieczkiem z północy. Jak mógł zapomnieć?

- A grupa bojowa?

- Czeka na parkingu lub pracuje w pobliżu. Śmieciarze...

- Starczy! - W głowie miał młot pneumatyczny, ale już wszystko sobie przypomniał. Jakim cudem w ogóle o tym zapomniał? Dziewczyna pracowała w zespole zwalczającym rozruchy, tak? Niech więc opanuje te zamieszki! Ludzie z całego miasta zaleją tę tak prywatną, tak odizolowaną, tak świetną enklawę. Ludzie z tylu grup etnicznych, że on sam nie będzie mógł być o nic oskarżony. Oznaczało to wprowadzić, że część jego dłużników spłaci w ten sposób swoje długi, ale niech tylko dostanie tę małą w swoje ręce!

Otworzył zawczasu przygotowane okno, które zgodnie z prawem powinno być zablokowane - i po linie zjechał w głąb szybu wentylacyjnego. Otworzył okno mieszkania na parterze, na tyłach budynku, szczęśliwie należącego do jego krewniaka, który i tak był niewidomy. Wyszedł tylnym wyjściem. Odnalazł łom i odsunął nim ciężką pokrywę kanału. Zręcznie prześliznął się przez właz i nasunął pokrywę na miejsce. Szedł szybkim krokiem nad niewielkim o tej porze strumyczkiem ścieków. Skręcił dwa razy w prawo, raz w lewo i znalazł się w szerszym kanale z półką biegnącą po lewej stronie. Kolejne dwa zakręty w prawo i dwa w lewo - i wspiał się na metalową drabinę. Właz był otwarty i natychmiast podjechała śmieciarka. Wskoczył do szoferki i wydał rozkazy kierowcy.

Telepata poinformował kwaterę policji, że Roznine po kryjomu opuścił mieszkanie. Gillings natychmiast ostrzegł Centrum i przekazał sygnał wszystkim posterunkom.

Charlie Moorfield zadzwonił do Daffyda.

- Skontaktuj się z Amaldą i powiedz jej, że już idę - odrzekł tenże.

Sally pospiesznie wbijała się w kombinezon. Ze zdenerwowania drżały jej ręce, więc pomógł jej znaleźć rękawy, przytrzymując kołnierz.

- Nadchodzi. Jednak byłś mocniejszy od niego.

- Zobaczymy.

Widział możliwość innej interpretacji sekretnej wyprawy Roznine'a, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę pikietę i rosnący tłum gapiów.

- Rozumiem, Dai.

- Wspomóżmy Amaldę.

Telefon zabrzączał ponownie.

- Szefie, nie mogę złapać dziewczyny.

- Niech Gillings zaraz ściągnie tu wszystkie siły. Zbierz naszych.

Daffyd zaklął, chwycił Sally za rękę i wyciągnął na schody. Nie licząc teleportacji, nigdy jeszcze tak szybko nie znalazł się na dole. Później Sally powiedziała, że pokonał schody w trzech susach.

Amalda i Bruce Vaden opuścili posiadłość bocznym wyjściem. Zbliżyli się do pikiety i mieszając się z tłumem gapiów doszli do bramy głównej. Demonstranci posłusznie skandowali swoje hasła, czterech policjantów rutynowo pilnujących pikiety wyglądało na szczerze znudzonych całą tą hecą. Pasażerski helikopter wylądował na publicznym lądowisku około stu metrów od bramy. Pasażerowie wysiadali zeń, zachowując porządek i niosąc regulaminowo zwinięte transparenty.

- To grupa bojowa, nie żadni demonstranci - szepnął Bruce.

Amalda skinęła głową, wyłapując wzrokiem jedyną osobę, która naprawdę się liczyła. - ON jest wśród nich.

- To chyba ostatnie miejsce, gdzie mógłby nas szukać. Masz szczelne osłony?

Znów skinęła głową. Nie umiała oderwać wzroku od Roznine'a.

Pomyślała, iż rzeczywiście jest przystojny. W jego zachowaniu była jakaś duma i gwałtowność. Bruce miał rację: tak naprawdę nigdy go nie widziała. Za bardzo bała się jego myśli.

Przerwała rozmyślanie, ponieważ Roznine zaczął się nagle rozglądać po tłumie. Stał tuż przy helikopterze wśród nowej grupy pikietujących. Wszyscy niepostrzeżenie mieszały się z gapiami.

- Amaldo, ostrzeż Dave'a i przygotuj się. Widzisz, jak się ustawiają? - Mówiąc to, Bruce przesunął się na pozycję umożliwiającą lepszą współpracę zespołu.

Nowo przybyli zaczęli niby mimochodem otaczać policjantów i dwóch strażników Centrum, mężczyzn o niepozornym wyglądzie,

którzy byli czołowymi kinetykami i potrafili bez kiwnięcia palcem unieruchomić najsilniejszego napastnika.

Pierwsza zmiana demonstrantów opuszczała swoje miejsca i zwijając transparenty, szykowała się do odlotu. Część tłumu przyglądająca się pikiecie z chodnika zaczęła przesuwać się bliżej bramy.

Amalda powoli nadawała odczucie ogromnego znużenia i braku zainteresowania rozgrywającymi się wokół wydarzeniami.

Bruce przeszedł na drugą stronę ulicy, wzmacniając wysyłane przez nią sygnały. Obserwując Roznine'a, dostrzegł, że zeszywniał i powoli odwrócił głowę w stronę Amaldy. Grupa, która dotąd ją otaczała, rozstała się.

Miejsce konfrontacji było doskonale wybrane, przyznał Bruce obiektywnie. Jakby pod wpływem magii ludzie rozsunęli się, robiąc przejście między Amaldą a Roznine'em.

- Tylko się nie przestrasz, kochanie - „przekazał” Bruce, starając się nie tracić kontaktu z Amaldą.

Nagle poczuł się silniejszy, poczuł trudne do opisanego wsparcie i dotyk Daffyda, przemawiającego za jego pośrednictwem do Amaldy. Nie był to jedynie Dave, lecz jeszcze coś, nie, ktoś inny.

Zapadła cisza rozsiewana przez Amaldę, która zaczęła już nieco słabnąć. Bruce dodał jej siły, wyobrażając sobie, jak go uczono, że emocje były czymś widzialnym, czym mógł namacalnie manipulować, tak widzialnym i namacalnym jak woda wypełniająca wolną przestrzeń, splukująca wszystko swym strumieniem.

Wydarzenia toczyły się jak na zwolnionym filmie. Roznine zrobił krok naprzód, potem drugi i kolejne, jak człowiek brodzący w gęstej, lepkiej mazi. Na jego twarzy malowały się wysiłek i skupienie.

Amalda stała z lekko uniesioną brodą. Wyglądała równie godnie i po królewsku, jak na scenie w fabryce. Wydawała się tak pewna siebie, że zmyliła nawet Vadena.

Film kręcił się coraz wolniej: pikietujący, ci prawdziwi i nowo przybyli, padali na ziemię, porzucając swe nieco zbyt masywne transparenty. Wydawali się kompletnie wyczerpani. Mimo rozpaczliwych wysiłków także policjanci nie mogli oprzeć się znużeniu. Osuwali się na kolana i rozciągali na ziemi.

Jedynie Amalda, Bruce i Roznine nie ulegali presji. Dziewczyna nabrała powietrza w płuca i pierwszy raz spojrzała Roznine'owi prosto w oczy.

Bruce miał rację, że Vasha (łatwo znalazła to zdrobnienie, choć nawet w myślach, z próżności, nazywał siebie Vsevolodem Roznine'em) był przystojny, z silnym ciałem i wrażliwymi dłońmi. Zawsze podobały jej się długie, kształtne palce u mężczyzny. Lubiła czuć je na swoim ciele.

- No dobrze, jestem - powiedziała na głos i dała mu mentalny znak, że może próbować nią zawładnąć.

Oczami pożerał jej ciało, sięgając w głąb, aż pod tkanekę.

Jesteś moja. Ja, Vsevolod Roznine, mówię ci: jesteś moja. Rzucił w nią tymi myślami. Miała ochotę się roześmiać, zaśpiewać, bo czuła, jak myśli te zatrzymują się w jej mózgu. Nie docierały nawet do Bruce'a stojącego nie dalej niż o pięć kroków od niej.

- No, na co czekasz? - spytała łagodnie.

Świadomość tak pełnej władzy nad innym człowiekiem wzbudzała w niej pokorę.

Niektórzy z bojówkarzy zaczęli się podnosić, ponieważ zmniejszyła siłę projekcji, żeby skoncentrować się na Vashy. Przez Vsevoloda Roznine'a przeszła nagle uczucie nudności, które natychmiast rzuciło ich na kolana. Wymiotowali gwałtownie na trawę. Równie raptownie cofnęła to odczucie i przerwała nadawanie, wiedząc, że to na tyle zdezorientuje jej ofiary, iż nie będą sprawiały kłopotów.

- Chodź z nami, Vsevolod - powiedziała. - Tak będzie lepiej.

Wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę Centrum. Nie miał wyboru: Bruce zaszedł go z drugiej strony.

Roznine był oszołomiony, szedł bezwolnie z zaciśniętymi ustami. Nie odrywał oczu od Amaldy, pozwalając się jej prowadzić jak matce ciągnącej niesforne dziecko do domu.

Strażnicy przy bramie zaszutowali, kiedy cała trójka weszła na teren Centrum.

- Co, u diabła, stało się z twoim zdrowym rozsądkiem, op Owen? - pytał Frank Gillings. - Wpuściłeś do Rady Miejskiej nie tylko Amaldę i Bruce'a, ale i Roznine'a!

- Spokojnie, Frank. Zespół wykonuje swoje zadanie całkowicie legalnie.

- W Radzie nie ma wybuchowej sytuacji.

Daffyd uniósł brwi w uprzejmym zdumieniu.

- Czyżby? Według Roznine'a nastroje są tak gorące, że nie można zrobić nic konstruktywnego. Każda grupa etniczna upiera się, iż jej członkowie są dyskryminowani. Wzajemne oskarżenia są tak gwałtowne, że przewodniczący zamyka posiedzenie, które w sumie nie wnosi nic nowego. Przepraszam. Zespół będzie studził emocje, dopóki nie zwycięży zdrowy rozsądek. Roznine miał dobry pomysł, żeby wykorzystać Talent Amaldy na Ratuszu. - Daffyd nie dodał, że taką właśnie umowę zawarł z Roznine'em w zamian za jego przystąpienie do Centrum. - Facet chciał jedynie, żeby miejsca pracy były rozdzielane na sprawiedliwych zasadach. - No, może nie tylko o to mu chodziło, poprawił się w myślach Daffyd. Jednak zabrał się do tego ze złej strony.

- A Roznine?

- Jak już ci tłumaczyłem, Frank, Roznine jest parapsychologicznie martwy. Reaguje jedynie na Amaldę, no i może trochę na Bruce'a. W końcu razem się szkolili. Roznine to wyjątkowy, jednostronny Talent, ukierunkowany wyłącznie na Amaldę. Można by powiedzieć, że odnalazł swą uzdę.

Frank Gillings westchnął głęboko, wreszcie uspokojony. Potem spojrział na dyrektora ze zwykłą energią.

- Starasz się o wniesienie poprawki do ustawy o immunitecie?

- Oczywiście. - Na twarzy Daffyda pojawił się złośliwy uśmiezek.

- Senator Greenfield pomaga nam ze wszystkich sił. Poprawka ma być omawiana na najbliższym posiedzeniu Senatu.

- Greenfield?

- Tak. Roznine zaprosił go do nas na pogawędkę. Senator jest jak najbardziej za.

Mina komisarza wyrażała bezgraniczne zdumienie.

- Coście mu zrobili? Zaraziliście go uprzejmością?

- Ależ skąd. Po prostu wykazaliśmy mu, że Centrum nie jest mniejszością, a zbiorem mniejszości, ponieważ są w nim reprezentacje wszystkich grup etnicznych. Obejrzał posiadłość i od razu dostrzegł, że warunki mieszkaniowe znacznie odbiegają od luksusów. Opowiadano mu, że mamy tu baseny i w ogóle

marnotrawimy teren, na którym mogłoby zamieszkać jeszcze wiele rodzin. W sumie pogratulował nam rozplanowania terenu.

Frank Gillings nie dał się na to nabrać.

- Co Roznina miał na niego?

- Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi, Frank.

Zdegustowany komisarz zdobył się jedynie na machnięcie ręką.

- Dave, czy mógłbyś przez jakiś czas nie stwarzać mi problemów?

- W najbliższej przyszłości nie powinno się wydarzyć nic szczególnego.

Ekran zgasł.

- Daffyd, to było wysoce niemoralne, nieetyczne i z gruntu brudne - powiedziała Sally z wyrzutem, podnosząc się z kanapy stojącej poza zasięgiem kamery wideo-telefonu.

Wsunęła mu się pod ramię i objęła w pasie. Potargał lekko jej loki i pocałował w czoło.

- Być może. Ale to Les stale mi przypomina, żebym nie mówił wszystkiego.

- A jednak trochę mi żal Vashy.

- Dlaczego?

- To smutne widzieć, jak taki chłop zmienia się w psychicznego muła.

- Dzięki Bogu, że tak się stało - odpowiedział jej Daffyd. - Przy jego ambicji i przebojowości za pół roku zapanowałby nad światem, gdyby Amalda i Bruce go nie pohamowali.